

DODATEK Z OKAZJI 80. ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

JERZY ZELNIK O AKTORACH W POLITYCE



ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: O CO CHODZIŁO Z „TĘCZOWĄ ZARAZĄ"

ALEKSANDRA RYBIŃSKA: ALTERNATYWA DLA NIEMIEC TO SZANSA CZY ZAGROŻENIE?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 34 (352) 2019
26 sierpnia–1 września
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAROSŁAW KACZYŃSKI I DONALD TRUMP

MĘŻOWIE STANU POD OSTRZAŁEM

ŁĄCZY ICH WIĘCEJ, NIŻ MYŚLICIE.
WYGRALI WBREW MEDIOM I KASTOM,
ROZKRĘCILI GOSPODARKI,
WZMACNIAJĄ PAŃSTWA.
KTO STOI ZA ATAKAMI NA NICH?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
34
9 772544 269908

CYFROWY POLSAT

MAKSIMUM SPORTU!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!

ELEVEN SPORTS











Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Pakiet Ekstraklasa dostępny z ofertą telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV do 30.06.2021 r., z możliwością przedłużenia dostępności. Cały sezon Formula 1®, Bundesliga, LaLiga Santander i Seria A TIM w ELEVEN SPORTS.
The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved.

Dintojra i kara

Powrót do praktyk UB i SB, szczególnie jej IV Departamentu, a także działalność zorganizowanej grupy przestępczej albo mafii oraz spisek i gangrena, a w najłagodniejszej wersji farma trolli – tak opozycja i jej media opisywały sprawę dyskredytowania sędziów, przeciwników rządowych reform wymiaru sprawiedliwości. Akcja, prowadzona głównie w 2018 r. i z udziałem urzędników państwowych, pod wieloma względami obrzydliwa i niedopuszczalna, ma na razie taki skutek, że dymisję złożył wiceminister sprawiedliwości sędzia Łukasz Piebiak, natychmiast zakończono oddelegowanie do ministerstwa sędziego Jakuba Iwańca, a Krajowa Rada Sądownictwa pilnie zażądała wyjaśnień od trzech swoich członków.

Reakcja była szybka i zdecydowana, bo akcja była bezprawna, szkodliwa, moralnie niedopuszczalna. Ale jednocześnie była to żałosna, nieporadna amatorszczyzna, a nie żaden precyzyjnie zaplanowany spisek. Coś bliskiego wyczynom gangu Olsena ze słynnych duńskich filmów. W tle z problemami osobistymi i osobowościowymi głównej postaci tej tragifarsy. I jako część dintojry wewnątrz sędziowskiego środowiska, w którym osoby wspierające rządowe reformy są zdrajcami i sprzedawczykami bez zasad, ich przeciwnicy zaś rozbestwioną nadzwyczajną kastą bez hamulców. Ta dintojra ma też swoje odzwierciedlenie w okropnym języku i regularnym przekraczaniu granic tego, co prywatne.

Opozycja i jej media zwietrzyły w tej nowej aferze szansę na game changera, przełom, decydujące starcie i ostateczne uderzenie w PiS oraz rząd, które mogłoby się okazać wybawieniem z konieczności prowadzenia jakiejś merytorycznej i programowej kampanii. Stąd histeria i „nadgorliwość gorsza od faszyzmu". Z rzeczy głupich i infantylnych, często na poziomie sztubackich numerów, jednak absolutnie niedopuszczalnych, robi się właściwie zamach stanu. I w takim „zamachowym" duchu obraz tej sprawy jest przekazywany zagranicznym mediom. Co wcale nie oznacza, że zaangażowani w akcję dyskredytacji urzędnicy i sędziowie mogą się w jakikolwiek sposób czuć usprawiedliwieni. Nie mogą. Ale to część większej całości, z degrengoladą części środowiska sędziowskiego w tle. Nie oznacza to jednak, że nawet infantylnie i w stylu gangu Olsena wolno prowadzić jakiekolwiek krucjaty, gdy się działa w rządzie czy KRS. Nikomu to nie uchodzi, a funkcjonariuszom publicznym szczególnie. Dlatego nie ma taryfy ulgowej. Ale też nie można dać się zwariować.

Stanisław Janecki



58/26/19

SIECI spis treści



34--37 ***Dwugłos: Bój o Senat*** ***Jakub Maciejewski, Jan Rokita***



53--72 **Dodatek historyczny** ***80. rocznica wybuchu II wojny światowej***



76 **Magia starego kina od Tarantino** ***Łukasz Adamski***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TEFLON SCHETYNY**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PREZYDENCI, KLIMATY, STRACHY...**
Jan Pietrzak

15 **„CYGAN" I POLITYKA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SPACER NA ZDROWIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **TAK RÓŻNI, TAK PODOBNI**
Łukasz Adamski

26 **PRZYWRÓCIĆ WIELKOŚĆ AMERYCE**
Bogdan Szafrański

KRAJ

28 **Z ABP. MARKIEM JĘDRASZEWSKIM**
rozmawiają Jacek Karnowski i ks. Henryk Zieliński

34 **PAKT OPOZYCJI**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **SENAT W ROLI GŁÓWNEJ**
Jan Rokita

38 **POLITYKA Z MROŻKA**
Stanisław Janecki

42 **NOWY MŁOTEK SCHETYNY**
Marek Pyza

44 **Z JERZYM ZELNIKIEM**
rozmawia Marcin Wikło

48 **UCIECZKA W PRYWATNOŚĆ**
Dorota Łosiewicz

50 **Z KRZYSZTOFEM MAZUREM**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

73 **Z SAMBOREM CZARNOTĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

76 **MAGIA STAREGO KINA OD TARANTINO**
Łukasz Adamski

79 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

82 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

84 **Z DARIUSZEM ROZWADOWSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

88 **N JAK NISZCZENIE KOŚCIOŁA**
Hanna Karp

ŚWIAT

90 **ALFABET ALTERNATYWY DLA NIEMIEC**
Aleksandra Rybińska

94 **OGRODNICY PRAWDY**
Marcin Wikło

NATURA DLA LUDZI

98 **TATRZAŃSKIE ŻYWIOŁY**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: MAŁGORZATA BUCZKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **GROŹNA „DRUŻYNA JUTRA"**
Wojciech Reszczyński

106 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **WĘDROWNI GWAŁCICIELE**
Aleksander Nalaskowski

109 **MAGIA DAT**
Wiktor Świetlik

110 **OJCIEC JACEK PLESKACZYŃSKI – POŻEGNANIE**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **POLITYCZE ZOMBIE OŻYWAJĄ**
Ryszard Makowski

113 **ODLATUJĄ BOCIANY...**
Leszek Długosz

114 **PACIORKI I ZIEMIA**
Andrzej Zybertowicz

36/0719/F

eprasa.pl a357259d8c

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88
samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator : Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

***Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.**

eprasa.pl a357259d8c



Sygnalista nadaje

Sprawa lotów marszałka Sejmu nie spełniła marzeń opozycji i nie załamała, ani nawet nie zbiła poparcia dla PiS. Teraz próbują z innej flanki, atakując tezą o „farmie trolli" w Ministerstwie Sprawiedliwości. Co prawda farma okazała się jednoosobowa, ale określenie poszło w świat. Sprawa to dla rządu nieprzyjemna i potencjalnie groźna, bo uderzająca w swego rodzaju splot słoneczny (wiarygodność, przewaga moralna, paliwo dla histerii), ale nie śmiertelna.

Pomogła szybka dymisja wiceministra Piebiaka oraz wysoki poziom komplikacji sprawy, której sensu większość Polaków po prostu nie rozumie. Ważniejsze jednak jest chyba co innego: to nie jest rok 2007. PiS stało się mistrzem reagowania na kryzysy, opozycyjne media straciły rząd dusz, TVP zapewnia minimum pluralizmu, a duża część prawicy nie nabiera się już na manipulacje. Do tego Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej. Takiego rządu nie zabije się gazetą.

Inna sprawa, czy będzie reelekcja. Z sondaży wynika, że większość sejmowa jest na wyciągnięcie ręki, ale pewności nie będzie do końca. Teoretycznie opozycja może uciułać 231 mandatów. Teoretycznie może mieć większość w Senacie. Czy jednak sztuczkami i agresją da się przełamać falę powszechnej prosperity i optymizmu, porównywalną jedynie do tej z pierwszej połowy lat 70.? Chyba jednak nie.

Wiele zależy od samej kampanii. Tu PiS złapało wyraźną przewagę. Pomysł z wakacyjnymi piknikami okazał się strzałem w dziesiątkę. Po pierwsze, pikniki doskonale współgrały z hasłem „Dobry czas dla Polski". Po drugie, pozwalały budować przesłanie bez wywoływania wrażenia, że nęka się ludzi polityką w czasie urlopów (czego ludzie nie lubią). Po trzecie, bardzo wzmacniały pozytywny wizerunek lidera obozu. Na te pikniki opozycja nie znalazła żadnej sensownej odpowiedzi.

Lech Wałęsa mobilizuje opozycję. „Jeśli chcecie Polskę uratować, to bierzmy się do roboty. Jak najszybciej musimy ich rozliczyć i odstawić. A jeśli nie – pierwszy powiedziałem dawno temu – że to się skończy wojną domową. […] Przypilnujcie ich i odstawcie ich – to jest moja prośba, to jest moje żądanie. Jak to zrobicie, to jeszcze raz się z wami spotkam i podziękuję". Nie ufajcie. Robotnikom do tej pory nie podziękował, za to oddał ich fabryki Balcerowiczowi.

Opozycja zdaje się mieć trzy pomysły: mnożenie obietnic socjalnych (ale nie ma tu wiarygodności), kreowanie afer (ale PiS umie grać z kontry) oraz podsycanie neurozy i histerii. Ale tu też trudno o powagę. Bo jak tu głosić wiarygodnie tezę o zamordyzmie, gdy wokół pełno ludzi, którzy dzień w dzień publicznie ostro atakują dobrą zmianę, a jednocześnie świetnie prosperują w biznesie, także tym sprzężonym, choćby pośrednio, ze sferą publiczną?

W czwartym roku rządów PiS światek artystyczny już się nie hamuje w opisach własnej depresji. Konkurencja jest ostra, ale piosenkarka Maria Peszek przebiła wszystkich. „Jestem ateistką i głośno mówię, że to najważniejszy filar mojego człowieczeństwa. […] Z wyboru, choć nie była to łatwa i pozbawiona smutku decyzja, nie mam dzieci. Uważam się za patriotkę i nie jest mi obojętne, jak wygląda ten kraj. Mam poczucie obowiązku. A jednocześnie mówię o tym, że jest to jedna z najciemniejszych ojczyzn, jaką można sobie wylosować" – stwierdziła. Może gdyby tak coś zmieniła w sobie, zobaczyłaby jaśniejsze strony naszej trudnej, ale i cudownej ojczyzny?

eprasa.pl a357259d8c

Zdaniem niektórych artystów jest już nie tylko ciemno, lecz po prostu brunatnie i czarno. Tak znane osoby, jak Andrzej Seweryn, Krzysztof Materna czy Jacek Kleyff, wzięły udział w kampanii opartej na recytowaniu słynnego wiersza pastora Martina Niemöllera: „Kiedy przyszli po Żydów, milczałem/ nie byłem Żydem/ Kiedy przyszli po mnie, nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować...". Dalej są już tylko komory gazowe. I można być pewnym, że też po nie sięgną.

Grzegorz Schetyna zapowiedział, że z list Koalicji Obywatelskiej wystartuje niejaka Klaudia Jachira, niezwykle brutalna i w istocie po palikociarsku wulgarna happenerka. Czy w ten sposób główna partia opozycyjna zamierza walczyć z nienawiścią w życiu publicznym? A może za tym ruchem kryje się plan, by zdemolować przyszły Sejm, gdyby PiS utrzymało władzę? W sumie rzecz obrzydliwa, bo Jachira potrzebuje raczej profesjonalnej pomocy niż miejsca na liście.



W zwycięstwo opozycji zdaje się nie wierzyć nawet sam szef sztabu Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza. Bo gdyby wierzył, to nie rezygnowałby z kandydowania do Sejmu na rzecz walki o miejsce w Senacie. Który młody, ambitny polityk wybiera izbę refleksji, kiedy może być tam, gdzie wszystko się rozstrzyga? A nie mówimy przecież o kimś przypadkowym, ale o szefie sztabu, czyli o bitewnym wodzu! Sprawa jest więcej niż tajemnicza i musi być w niej jakieś drugie dno.



Zdaniem niektórych chodzi o immunitet. „Sprawa jest w sumie dość czytelna. Opozycja liczy, że w Senacie będzie miała większość. A skoro tak, to Senat będzie w stanie odrzucać wnioski o zdjęcie immunitetu poszczególnym senatorom. W każdym razie wydaje się to bardziej prawdopodobne niż blokowanie identycznych wniosków w Sejmie" – pisał, powołując się na anonimowego informatora, portal wPolityce.pl. Trop bardzo prawdopodobny.



Zdaniem działacza Solidarnej Polski z woj. kujawsko-pomorskiego Krzysztof Brejza to ostry zawodnik. „To on stał za zorganizowaną grupą hejterów. To ten poseł wymyślił »wydział propagandy«, to on doprowadził do tego, że w ratuszu w Inowrocławiu zaczęła funkcjonować farma trolli. To oni mnie hejtowali" – mówił Ireneusz Stachowiak. Dodajmy, że inowrocławski ratusz, w którym rządzi ojciec posła Brejzy, odwiedzili właśnie agenci CBA badający aferę tzw. pustych faktur. Z takimi referencjami Brejza powinien zajść w III RP naprawdę wysoko.

Nowy minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński zrezygnował z ochrony Służby Ochrony Państwa, którą nadzoruje. Tak poinformowała „Rzeczpospolita". „Jeśli SOP podlega Kamińskiemu, a on jej nie ufa, to wystawia jej fatalną opinię" – oceniają w rozmowie z „Rz" funkcjonariusze tej służby. Decyzja rzeczywiście zaskakująca, ale niektórzy ludzie – by byli skuteczni – muszą być naprawdę wolni.

Miłujący pokój nasi zachodni sąsiedzi przestają się hamować. „Jeśli wielokrotne rezygnowanie przez Polskę z reparacji ma być unieważnione, to jakie uzasadnienie miałoby przesunięcie polskiej granicy na zachód na Prusy Wschodnie i Śląsk, które przez wieki były w sposób niekwestionowany niemieckimi terenami?" – pyta szef redakcji historycznej „Die Welt" Sven Felix Kellerhoff. Miesza fakty, ale ważne jest co innego: sprawa reparacji coraz bardziej boli Berlin. Dla Polski wniosek jest jeden: nie rezygnować, nie odpuszczać, mówić swoje.

I mówimy. W rozmowie z „Westdeutsche Allgemeine Zeitung" premier Morawiecki podkreślał: „Polska nie otrzymała od Niemiec odpowiedniej rekompensaty za okrucieństwa II wojny światowej. To nie jest sprawiedliwe. Nie może tak zostać". Pytany o konkretną kwotę, wyjaśniał: „Jest dużo do przeanalizowania. Niemcy starli z powierzchni ziemi ponad tysiąc polskich wsi. Dokładnie ustalimy sumę, której będziemy się domagać". Warto tłumaczyć Niemcom, że reparacje to przede wszystkim szansa dla nich, by choć trochę zadośćuczynić za zbrodnie „ich matek, ich ojców".

Przedstawiciel drugiego sąsiada ambasador Rosji w Warszawie Siergiej Andriejew swoje stanowisko wyraził jasno: „Dopóty, dopóki w Polsce oficjalnie zaprzecza się wyzwoleniu (a w istocie uratowaniu) tego kraju przez Armię Czerwoną, wznowienie dialogu i współpracy w kwestiach historycznych jest niemożliwe". Dodał, że „strona rosyjska nie może naturalnie przeszkodzić w likwidowaniu pomników na terytorium Polski, ale nie ma prawa zapominać o tej zniewadze". Ta lodowata pseudo obojętność w relacjach polsko-rosyjskich to chyba maksimum tego, co dziś, przy naturze obecnej władzy w Moskwie, możemy mieć.

Fot. M. Czutko, Julita Szewczyk, AKPA

eprasa.pl a357259d8c

Teflon Schetyny



KRZYSZTOF FEUSETTE

No, dobra, czas się żegnać. Zwycięstwo wyborcze Platformy Obywatelskiej pod szyldem Koalicji Obywatelskiej jest już tak pewne, jak jeszcze nigdy nie było. Wszystko przez listy. Mordercze jak spojrzenie Lectera, chytre jak oczy Tuska, bogate jak słownictwo Owsiaka, różnorodne jak orientacja Rafalali. Tylko sceptycy mogli sądzić, że Grzegorz Schetyna zawierzy przyszłość własnej partii wyłącznie Tomaszowi Zimochowi, który bierze akurat udział w kampanii reklamowej, więc i wyborczą weźmie na klatę. Owszem, wiemy już, że Zimoch jako zwolennik teorii, iż od 2016 r. „mamy w Polsce stan wojenny", może stać się autentyczną lokomotywą Platformy. Jednak jego śladem jak cień (choć bez gabinetu) podąża wytrawny komentator „państwa teoretycznego" na „kupie kamieni" – Bartłomiej Sienkiewicz, herbu „Spalona budka" (nie mylić z posłem Budką ani epizodem pod oknami posła Brejzy, który ucieka do Senatu, jakby mu się paliło). Na razie Sienkiewicz nie zrywa się jeszcze w środku nocy z okrzykiem: „Panie Turek, kończ pan ten kebab!", ale Zimochową narrację o stanie wojennym przyswoił nienagannie. „Służby, cała mundurówka, MSW, administracja – taką władzę ma się wtedy, kiedy chce się wprowadzić stan wojenny" – mówi dzielnie. Chyba już nie pamięta, że przeczuwał zjawiska znacznie gorsze. „PiS będzie walczyło z masturbacją" – straszył kolegów, gdy Kaczyński krytykował seksualną „edukację" przedszkolaków.

A przecież to nie koniec wybitnych postaci na listach KO. O wadze argumentów Henryki Krzywonos nie ośmielę się nawet wspomnieć, od kiedy po jej wizycie zepsuł się tramwaj różnorodności im. Stefy Palety. Ale jest ktoś jeszcze silniejszy – Tadeusz Zwiefka, polityczne zwierzę Brukseli, które na ostatniej prostej wybiło koledze Brejzie „jedynkę" w tzw. Bydgoszczu. Trudno nie przypomnieć wywiadu w RMF, w którym Zwiefka dzielnie stawał na straży chrześcijaństwa przed pisowską nawałą. Zwiefka: „W gronie Platformy jest wielu bardzo aktywnych katolików [...] i naprawdę sugerowanie, że jesteśmy antychrześcijańscy, jest grzechem". RMF (Konrad Piasecki): „Grzechem?". Zwiefka: „Grzechem". RMF: „Jakim grzechem?". Zwiefka: „Bo to jest kłamstwo, bo to jest zarzut, który jest niezgodny z prawdą, a zatem jest grzechem". RMF: „A to które przykazanie narusza?" Zwiefka: „Nie kłam". RMF: „Nie ma takiego przykazania". Zwiefka: „Oczywiście, że jest". RMF: „Które przykazanie?" Zwiefka: „Ja takie stosuję". RMF: „Jest: nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu...". Zwiefka: „Oczywiście, ale to jest popularnie nazwane kłamstwem. Dlatego to jest kłamstwem". RMF: „A które to jest przykazanie?". Zwiefka: „Nie pamiętam".

Petarda, prawda? Takich lokomotyw last minute jest na listach Schetyny dużo więcej. Choćby gwiazdy zespołu Polska Jest Najważniejsza, byli pisowcy biorący przykład z lidera PO – zmieniającego zdanie w każdej istotnej dla społeczeństwa kwestii: od przyjmowania imigrantów (którzy dziś z Niemiec jeżdżą na wakacje do... Syrii), przez 500+, aż po podwyższenie wieku emerytalnego. Ale najtrudniejsze obecnie zagadnienie dla pana Schetyny jest inne: jak pluć pod wiatr, pozostając nieoplutym? Jak na wypadek przegranych wyborów wyhodować sobie własny, polityczny teflon à la Tusk? Z czego wyrzeźbić własnego Palikota? Czym karmić nowego „Niesioła"?

Nie byłby geniuszem zakulisowych gierek, gdyby i na to nie znalazł sposobu. I oto nagle (ale nie po diable) niczym świeżo odhibernowany prestidigitator Jego Charyzmatyczność sięga do kapelusza, by wyciągnąć z niego... Panie i panowie, przed Wami piękna i bestia w jednym. Czysta wrażliwość, empatia, łagodność, kobiecość oraz niewyszukana inteligencja, a przy tym – polityczna pirania. Nie, nie chodzi o Michała Szczerbę, ale o zupełnie nową twarz Platformy Obywatelskiej. Bardziej „scerbatą" od „Scerby", bardziej „nanitrasioną" niż sam Nitras, bardziej „von" niż von Thun und Hohenstein. Twarz, która wypełni klątwę rzuconą na prawicę przez panów Miśka i Morozowskiego w postaci książki „Koniec PiS" (2012). Stanie się to już 13 października 2019 r., równiutko w 10. rocznicą usunięcia Schetyny z rządu Tuska w związku z aferą hazardową. I wreszcie Zbychu przestanie się pocić.

Kto by przypuszczał, że w dekadę po zagadkowej dymisji pan Grzegorz zostanie premierem? A nowa twarz Koalicji Obywatelskiej, Klaudia Jachira, wiedziała. Bo jak każdy członek Nowoczesnej wie wszystko. „Koalicja Europejska przegrała" – mówiła po wyborach. „Przegrała, bo nie ma programu". A ona ma: likwidacja 500+, zasiłków, kopalń oraz ZUS. No i PiS. Polityczni idole? Oczywiście: Stefan „Fasola". Bo „nie bawi się w niuanse". No i fajnie. Sama panna Jachira, jak przystało na polityczne potomstwo wielkiego „jurnego", nurkuje w bagnie znacznie głębiej. Potrafiła odgrywać w internecie schizofreniczne scenki z lalką prezesa PiS, w których ten... prosił Boga „o wskrzeszenie brata, mamusi i Alika". Albo wbijać w gumową kaczuszkę kilkadziesiąt (sic!) szpilek – w ekstazie, że zabawka piszczy. Taka to już wrażliwa natura. Niedawno straszyła, że jeśli PO znowu przegra wybory, ona wyjedzie do Niemiec. Ale przecież teraz nie mogą przegrać.

PS Zwłaszcza że mają jeszcze Misiłę.

36/0819/F

eprasa.pl a357259d8c

Święto Lotnictwa Polskiego



Z okazji Święta Lotnictwa Polskiego pilotom i ich załogom
oraz wszystkim tym, którzy pracują i działają na rzecz polskiego lotnictwa,
składamy życzenia wszelkiej pomyślności oraz dziękujemy za codzienny trud
i wysiłek związany ze służbą.

W tym dniu jesteśmy szczególnie dumni, że to właśnie PZL-Świdnik,
w imieniu koncernu Leonardo, dostarczy Marynarce Wojennej RP AW101,
czyli najbardziej zaawansowane śmigłowce morskie na świecie,
które już niebawem będą strzegły bezpieczeństwa nad Morzem Bałtyckim,
czyniąc służbę polskich żołnierzy jeszcze bardziej skuteczną i satysfakcjonującą.

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy
– w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.

leonardocompany.com *pzl.swidnik.pl*

Helicopters | Aeronautics | Electronics, Defence & Security System | Space

PZL-ŚWIDNIK
a LEONARDO HELICOPTERS company

eprasa.pl a357259d8c

Tragedia na jeziorze

Nic dziwnego, że sprawą żyła cała Polska. Po pierwsze, Piotr Woźniak-Starak należał do jednej z najbogatszych rodzin w Polsce. Majątek Staraków (zwłaszcza ojczyma Piotra) jest szacowany na blisko 6 mld zł. Po drugie, zaginięcie i śmierć blisko 40-letniego producenta filmowego ma w sobie tyle półsekretów, że pobudza wyobraźnię i jest okazją do plotek oraz domysłów.

Tragedia wydarzyła się w nocy z 17 na 18 sierpnia, a późniejsza rekonstrukcja zdarzeń ma posmak celebrycko-sensacyjnej opowieści. Rodzina na pewno dokładała wszelkich starań, by niezręczna sytuacja, w której Piotr Woźniak-Starak wypływa wieczorem łodzią na jezioro wraz z 27-letnią kelnerką z pobliskiej restauracji, nie była szerzej znana publiczności. Przecież z małżonką miało się wszystko układać poprawnie, tabloidy nie podawały plotek o kłopotach, oficjalnie para wyglądała na szczęśliwą – a tutaj mimo wspólnych wakacji mąż znika z młodszą od siebie dziewczyną, w dodatku odprawia ochroniarzy. Przy wykonywaniu manewru oboje wypadają z łodzi, ale dziewczyna dopływa do brzegu – nie zgłasza niczego policji i poszukiwania zaczynają się dopiero, gdy ktoś dostrzega samotną motorówkę na jeziorze.

Cała okolica jest poruszona zaginięciem mężczyzny – w poszukiwania włącza się nawet Wojskowa Obrona Terytorialna, a rodzina wynajmuje prywatnych detektywów i płetwonurków. W czwartek 22 sierpnia odnaleziono ciało Piotra Woźniaka-Staraka, więc potwierdziły się najgorsze przewidywania. Zginął człowiek, ale także celebryta – w obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi, jednak pozycja producenta filmów o Zbigniewie Relidze czy Michalinie Wisłockiej oraz okoliczności tragedii, nadające się na materiał do serialu o rodzinie miliarderów, przysporzyły tragedii ogólnopolskiego rozgłosu.

Zdarzyła się jednak rzecz rzadka – wokół zaginięcia i śmierci producenta udało się mediom zachować wstrzemięźliwość, nie podgrzewać napięcia ani nie nagłaśniać dwuznaczności. Teraz pozostaje nam modlitwa i wyrazy uznania dla dorobku zmarłego.

Jakub Maciejewski





Fot. Jacek Kurnikowski / AKPA, Grzegorz Kamiński/East News

Grenlandia

To nie był dowcip

Prezydent USA odwołał zapowiedzianą na wrzesień wizytę w Danii. Wszystko z powodu Grenlandii. Kiedy amerykańskie media ujawniły, że Donald Trump interesuje się możliwością zakupu wyspy przez Stany Zjednoczone, żarcikom i docinkom nie było końca. Lars Løkke Rasmussen, były premier Danii, w reakcji napisał, że nowina musi „być jakimś remanentem po prima aprilis". Inne opinie były mniej powściągliwe. Doniesienia, o tym, że amerykański prezydent już kilkakrotnie pytał swoich doradców o możliwość kupna tej, z formalnego punktu widzenia, duńskiej prowincji autonomicznej kwitowane były pytaniami o zdrowie psychiczne Donalda Trumpa, sugestiami, że pomylił dyplomację z rynkiem nieruchomości, czy w najlepszym wypadku oskarżeniami o imperialistyczny, XIX-wieczny, światopogląd.



Fot. Shutterstock

Oficjalni przedstawiciele autonomii oświadczyli, że Grenlandia nie jest na sprzedaż, a duńska ambasada w Waszyngtonie dodała, że wyspy nie można kupić „ani za dolary, ani za ruble, ani za juany". I ta ostatnia wypowiedź, bardziej niźli niewybredne żarciki liberalnych mediów, ukazuje istotę problemu. Sprowadza się on do rosnącej rywalizacji światowych mocarstw o wpływy w rejonie arktycznym. Nawiasem mówiąc, sama idea zakupu przez Stany Zjednoczone wyspy nie jest tak bardzo antykwaryczna, jak to mogłoby się wydawać. Z oficjalną propozycją jej kupna za 100 mln dol. w złocie wystąpiła administracja prezydenta Eisenhowera, jednak Duńczycy w 1953 r. odrzucili ofertę. Nie zmienia to jednak faktu, że subsydiowanie wyspy, zamieszkiwanej przez 56 tys. osób, z których 67 proc. chce niepodległości, pochłania rocznie 600 mln dol., co stanowi połowę jej budżetu. Zdaniem wielu autochtonów Kopenhaga uprawia wobec ich kraju politykę kolonialną, uniemożliwia rozwój wyspy

Jak szacują naukowcy, do roku 2050 średnie temperatury na wyspie wzrosną o 3 do 5 °C, co umożliwi z jednej strony eksploatację bogactw naturalnych Grenlandii, a z drugiej uczyni z Północnej Drogi Morskiej międzynarodowy szlak żeglugowy. Kwestie strategiczne też nie są bez znaczenia. Nie tylko dlatego, że Amerykanie wykorzystują wzniesioną w latach 50. bazę sił lotniczych Thule, lecz również z tego względu, że jak oświadczył niedawno szef amerykańskiego Dowództwa Północnego Terrence J. O'Shaughnessy, w Arktyce przebiega główna linia obrony Stanów Zjednoczonych i Kanady. Po to, aby przeciwdziałać rosnącej, również wojskowej, obecności Rosji i Chin na tym obszarze, Waszyngton przystąpił do budowy floty lodołamaczy, a rząd Kanady zapowiedział pod koniec maja nowy, wart niemal 12 mld dol., program rozbudowy floty wojennej.

Marek Budzisz

Nowa Zelandia

Biskup każe zburzyć katedrę

Katolicka katedra Najświętszego Sakramentu w Christchurch w Nowej Zelandii zostanie zburzona. Tak postanowił tamtejszy biskup Paul Martin. Swą decyzję motywował zbyt wysokimi kosztami odbudowy świątyni, która została uszkodzona w czasie trzęsienia ziemi 22 lutego 2011 r.

Dla społeczności katolickiej w Christchurch konsekrowany w 1905 r. kościół przez ponad sto lat stanowił główny ośrodek życia duchowego. Był także perłą architektury neorenesansowej. Zwiedzając to miejsce w 1934 r., George Bernard Shaw nazwał budowniczego świątyni Francisa Pete'a nowozelandzkim Brunelleschim i dodał, że każde miasto powinno mieć tak piękną katedrę. Podobnego zdania była tamtejsza społeczność katolicka, która po trzęsieniu ziemi postanowiła odbudować zniszczony obiekt. Tak samo uważał ówczesny biskup Barry Jones, który często powtarzał, iż „ludzie z zagranicy nie wierzą, że tak wspaniały gmach może istnieć na tak odległym krańcu świata". Rozpoczął więc akcję zbierania funduszy. Udało mu się zgromadzić 30 z 70 mln dol. potrzebnych do odbudowy budynku.

Prace przerwała śmierć ordynariusza. Jego następca, wspomniany bp Paul Martin, prezentował inne podejście niż poprzednik i większość parafian. Uznał, że inwestowanie tak dużych pieniędzy w kamienie jest nieetyczne, jeśli można te środki przeznaczyć na działalność duszpasterską. Dlatego – ku rozczarowaniu lokalnej społeczności – podjął decyzję o rozbiórce gmachu. Co powstanie na jej miejscu, nie wiadomo.

Warto dodać, że trzęsienie ziemi w 2011 r. zniszczyło również katedrę anglikańską w Christchurch. Tamtejsze władze kościelne nie zdecydowały się wówczas na odbudowę monumentalnej neogotyckiej świątyni z XIX w. Zamiast tego zlecono japońskiemu architektowi Shigeru Banowi budowę nowego gmachu z kartonu. W 2013 r. została więc konsekrowana Tekturowa Katedra – pierwszy na świecie tego typu obiekt sakralny zbudowany z tak nietrwałego materiału. Być może będzie to jakaś podpowiedź dla bp. Martina, ponieważ budowa kosztowała tylko 4 mln dol.

Grzegorz Górny



Fot. Shutterstock

eprasa.pl a357



Fot. Shutterstock

Indie

Azjatycka szachownica

Wciśnięty między Indie, Chiny i Pakistan obszar Dżammu i Kaszmiru należy do najbardziej zapalnych punktów świata. W 1947 r., gdy Indie i Pakistan uzyskały niepodległość, został podzielony między oba kraje, stając się przyczyną poważnych konfliktów – w tym również zbrojnych. Każda eskalacja jest niebezpieczna, bo oba zwaśnione państwa mają broń nuklearną. Spór może mieć reperkusje dla całej Azji.

Dżammu i Kaszmir, zamieszkany w większości przez ludność muzułmańską, ciąży ku Pakistanowi, jednak Indie uznają całą prowincję za własne terytorium. W Kaszmirze nieustannie dochodzi do zamachów terrorystycznych, o które władze indyjskie oskarżają sąsiedni Pakistan. W lutym tego roku na tym tle niemalże doszło do otwartej wojny, gdy w ataku przeprowadzonym przez muzułmańskich separatystów zginęło 40 żołnierzy indyjskich wojsk wewnętrznych. Indyjskie samoloty wtargnęły wówczas nad Pakistan, jedna z maszyn została zestrzelona w walce powietrznej. Choć konflikt udało się powstrzymać, ciągle dochodzi do wymiany ognia między oddziałami indyjskimi a Pakistańczykami. Rząd Indii sięgnął więc po dość radykalne rozwiązanie. Na początku sierpnia rządząca Indyjska Partia Ludowa postanowiła znowelizować konstytucję i zlikwidować istniejącą od blisko 70 lat autonomię Dżammu i Kaszmiru. Autonomia gwarantowała samodzielność lokalnym władzom z wyjątkiem obrony, spraw zagranicznych, finansów i komunikacji, które pozostawały w gestii władz w Delhi. Rząd Indii zdecydował też o podziale prowincji na dwa stany: właściwy Dżammu i Kaszmir oraz Ladakh.

W odpowiedzi Pakistan odwołał swojego ambasadora z Delhi, wydalając jednocześnie ambasadora Indii, zawiesił też dwustronne stosunki handlowe i połączenia kolejowe. Premier Pakistanu Imran Khan przyrównał Indie do Trzeciej Rzeszy, określając rząd w Delhi jako „faszystowski" i „rasistowski". Władze w Islamabadzie rozpoczęły też dyplomatyczną ofensywę i, korzystając ze wsparcia sojuszniczych Chin, przeniosły konflikt na poziom Rady Bezpieczeństwa ONZ. Indie nie przejmowały się dotąd takimi próbami, zawsze mogły bowiem liczyć na wsparcie Rosji (a wcześniej Związku Sowieckiego), która blokowała rezolucje w tej sprawie. Tym razem jednak, jak donoszą indyjskie media, Rosja „zdradziła" i nie wykluczyła przyjęcia rezolucji.

Indie uważają, że na zmianę polityki Rosji miały wpływ naciski ze strony Chin. Teraz to Pekin stał się strategicznym sprzymierzeńcem Moskwy w Azji – twierdzą Hindusi. I nie wykluczają, że Rosja poniesie konsekwencje swojej „nielojalności".

Możliwe więc, że w niedalekiej przyszłości dojdzie do poważnej zmiany układu sił w Azji. „Zdradzone" przez Rosję Indie będą się coraz bardziej zbliżać do Stanów Zjednoczonych, a Rosja znajdzie się w cieniu rosnących w siłę Chin. Największy kłopot mogą mieć jednak Amerykanie, którym zależy na dobrych stosunkach zarówno z Indiami, jak i Pakistanem.

Konrad Kołodziejski



USA

Może wielki kryzys nas wybawi?

Wszyscy znają powiedzenie „po nas choćby potop". Lewica, już tak bardzo nie może znieść Donalda Trumpa w Białym Domu, że życzy Ameryce recesji i gospodarczego upadku. Takie nadzieje ma Bill Maher, gwiazda polityczno-rozrywkowego show w HBO „Real Time", który powiedział, że chce, aby do Ameryki, która teraz może się poszczyć fantastyczną sytuacją gospodarczą i niskim bezrobociem, zawitała recesja uniemożliwiająca drugą kadencję Trumpowi. „Mówię o tym przez ostatnie dwa lata. Mam nadzieję, że recesja nadejdzie i wkurzy ludzi. Recesja jest warta pozbycia się Donalda Trumpa z jego urzędu" – oświadczył podczas jednego z programów Maher. On sam jest multimilionerem, który nie tylko skorzystał na obniżce podatków dla najbogatszych przez administrację Trumpa, lecz pewnie suchą nogą przeszedłby przez najcięższą recesję. Mahera poparł korespondent NBC News Richard Engel, który stwierdził, że „krótkotrwały ból może być lepszy niż długotrwała destrukcja konstytucji".

Można odnieść wrażenie, że liberałowie mówiący głośno to, co myślą inni wrogowie Trumpa, zafiksowali się dzisiaj tak jak ich odpowiednicy w Europie. W Polsce opozycja jeździła na skargi do Brukseli. Amerykanie bez względu na przynależność ideową mają inne poczucie patriotyzmu, więc unikają wynoszenia sporów wewnętrznych za granicę. Zamiast tego modlą się więc o kryzys. Nie zauważają jednak, że ich słabe notowania wynikają nie tylko z przyczyn ekonomicznych. Niebieskie kołnierzyki głosują dziś na Trumpa nie tylko dlatego, że za jego rządów gospodarka wraca do zdrowia. Inną, równie ważną przyczyną są kwestie światopoglądowe. Amerykanie mają w większości dość inżynierii społecznej i poprawności politycznej. I tego uczucia nie zmieni żadna, nawet głęboka, recesja.

Łukasz Adamski

Fot. FOTO LINK / LEEMAGE / EastNews

eprasa.pl a357259d8c

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Prezydenci, klimaty, strachy...



Jan Pietrzak

Mało nam znany brazylijski prezydent to wesoły gość. Zapamiętajmy nazwisko: Jair Bolsonaro. Kiedy Angela Merkel zagroziła, że cofnie jakąś wpłatę na ratowanie dżungli amazońskiej, zaproponował, by za te pieniądze zalesiła swój kraj. Szyderstwo to zwróciło uwagę na skrywany aspekt klimatycznej histerii, taki mianowicie, że najbardziej zniszczyły planetę regiony przemysłowe XIX i XX w., jak np. Zagłębie Ruhry. Nikt w czasach rewolucji przemysłowej nie zwracał uwagi na takie detale jak śmierdzące powietrze, zatruta woda, zdegenerowana gleba, wycinane w pień stare lasy... itp. Pamiętam, że dymiące kominy drukowano na banknotach stuzłotowych w PRL jako powód dumy proletariatu. Niech wiedzą burżuje imperialiści, że komuna też potrafi dymić!

Wracając do światowego high life'u... Prezydent Macron gościł prezydenta Putina na Lazurowym Wybrzeżu, by przeczekał w oddali chmurę atomową wędrującą nad północną Rosją. Przy okazji wymienili panowie opinie, która policja efektowniej tłucze demonstrantów znanych jako „żółte kamizelki" i moskiewskie żuliki. Idą na Macrona i Putina ciężkie czasy. Merkelowe Niemcy – jedyne państwo, na które w Europie mogli liczyć – zmierzają żwawym truchtem w stronę recesji. Tak oświadczył nie byle kto, lecz Bundesbank. Brexit również narobi bałaganu w europejskich finansach. Bezkompromisowy Boris Johnson już tego dopilnuje. Kiedy Juncker zrozumiał, co szykuje kontynentalnej Europie zawzięty blondyn, schował się w szpitalu, jak u nas się mówi – poszedł na chorobowe. Do końca swojej kadencji pewnie tam poleży. Co mu zależy? Swoje wypił.

„Nasz" Europejczyk, w podwójnym, a może w potrójnym cudzysłowie, „nasz" Tusk fotografuje się natomiast w gronie wnuków, demonstracyjnie nie zwracając uwagi na wyborcze przepychanki byłych kolesi z boiska. Wyręcza go wieloletni mentor „Bolek", który dyskretnie sugeruje wojnę domową w Polsce. I cóż takiemu patałachowi można odpowiedzieć, żeby zrozumiał? Po ludowemu: „Nie strasz, nie strasz, bo się ze...".

Historia na kontrapunktach

*Z aktorem **Bartoszem Gelnerem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Za niecały miesiąc, 20 września, do kin wchodzi film „Legiony". Kim jest jego bohater Tadeusz Zbarski?

Bartosz Gelner: To chłopak z dobrego domu, który idąc za rodzinną tradycją, postanawia się zaciągnąć do wojska i w czasach, gdy państwa polskiego nie ma, o to państwo zawalczyć. Zaczyna od piechoty, a potem – jak podejrzewam trochę za sprawą koneksji – przenosi się do jazdy konnej.

Jaki był pomysł na tę postać?

Z reżyserem Darkiem Gajewskim i drugim głównym bohaterem, którego gra Sebastian Fabijański, budowaliśmy naszych bohaterów na dwóch kontrapunktach. Józek Sebastiana to człowiek ze społecznych nizin, twardo stąpający po ziemi. Tadeusz jest typem romantyka. Przeniesienie z piechoty do kawalerii powoduje komplikacje w jego relacjach damsko-męskich. Chce wypełnić zobowiązania – i wobec kraju, i ludzi, z którymi jest związany. Jest wychowany tak, by być dzielnym, ale też się boi. Piętno wojny i na nim odciska ślad.

Rozumie pan jego wybory?

Próbowałem. Zadawałem sobie pytanie, czy stanąłbym w szranki, wziął odpowiedzialność. Bardzo to trudne.

Sto lat mocno wpłynęło na myślenie młodych ludzi o powinności obrony ojczyzny?

To przepaść. Nie zazdroszczę tamtym rocznikom. Szybko traciły niewinność. Były stawiane przed dylematami czy sytuacjami, na które – jak sądzę – nie były wewnętrznie do końca przygotowane, ale musiały się z nimi konfrontować. Nie wyobrażam sobie siebie w sytuacji zbrojnego konfliktu. Mam inną filozofię życia, tym bardziej ciekawe było zderzenie się z tym filmem, z tą historią.



Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl a357259d8c

BRONISŁAW WILDSTEIN

„Cygan” i polityka

Ci, którzy nie pogodzili się z przegraną w wyborach, z każdej rzeczy spróbują wykuć pretekst do zaatakowania znienawidzonej władzy. W efekcie funkcjonujemy już nie tyle w zmistyfikowanej, ile zwariowanej rzeczywistości



Śmierć w więzieniu Dawida Kosteckiego ps. Cygan ma niepokojąco sensacyjny charakter. Jednocześnie odsłania schorzenie, które trapi dziś polską rzeczywistość. Ci, którzy nie pogodzili się z przegraną w wyborach – a nie chodzi tylko o polityków ani nawet głównie nie o nich – z każdej rzeczy spróbują wykuć pretekst do zaatakowania znienawidzonej władzy. W efekcie funkcjonujemy już nie tyle w zmistyfikowanej, ile zwariowanej rzeczywistości. Ci, którzy przez dekady łączenie elementarnych faktów i wyciąganie z nich oczywistych wniosków nazywali teoriami spiskowymi, dziś snują ich najdziksze warianty, nie przejmując się jakimkolwiek prawdopodobieństwem. Wiedzą, że ich zakleszczeni w plemiennej rywalizacji kibice łykają je bez śladu krytycyzmu.

Kostecki osiągnął sukcesy w boksie, ale jego staż przestępczy był dłuższy. Wydaje się, że sława w sporcie dała mu poczucie pewności i spowodowała, że rzucił wyzwanie monopolistom seksbiznesu na Podkarpaciu. Byli nimi bracia Rysiczowie, którzy skorumpowali regionalny oddział Centralnego Biura Śledczego. Kostecki z rodziną otworzył im pod nosem trzy kluby nocne pełniące równocześnie funkcję domów publicznych. Szybko zostały one zamknięte, a Kostecki za czerpanie korzyści z nierządu zamknięty został na 2,5 roku. Przebywając w więzieniu, w 2012 r. ogłosił na Facebooku, że jest niewinny i skazany został na skutek działań Rysiczów powiązanych z CBŚ. Do autorstwa tego wpisu przyznaje się dziś Marek K., który alarmował już od jakiegoś czasu o całej sprawie.

Ale prokuratura zarzuty ukraińskim sutenerom postawiła dopiero w 2016 r., także wówczas stracili pracę i zostali zatrzymani osłaniający ich szefowie miejscowego CBŚ.

W tym samym czasie za kolejne przestępstwa następny raz do więzienia trafił Kostecki. Przyznał się do winy i zgodził na współpracę, czym zagroził licznym bandytom.

W czerwcu tego roku z Rzeszowa przewieziony został na Białołękę, gdzie zeznawać miał w sprawie Pawła G., który przebywał w tym samym miejscu. Znajdował się tam także znany z bezwzględności szef gangu mokotowskiego, którego obciążały informacje Kosteckiego. „Cygan” miał zeznawać 1 lipca, ale proces ze względu na nieobecność adwokata oskarżonego został odroczony do 14 sierpnia. Były bokser został znaleziony martwy w celi 2 sierpnia. Lekarz zidentyfikował na jego szyi dwa ślady, które mogłyby powstać na skutek wkłucia igły. Jeden z prokuratorów, którzy wezwani zostali do denata, napisał w służbowej notatce o „możliwym zbrodniczym charakterze śmierci”.

Wyniki sekcji mówią o samobójstwie. Rodzina nie wierzy. Ich reprezentanci, zwłaszcza Roman Giertych, podsycają wątpliwości. Problem polega na tym, że funkcjonowanie tego zombie (copyright Rafał Ziemkiewicz), którego politycznie uśmiercił Jarosław Kaczyński, sprowadza się do szukania za wszelką cenę zemsty na swoim zabójcy. To wystarczyło, aby wcielenie zła III RP przekształciło się w szacownego mecenasa i politycznego mędrca.

Niezależnie jednak od intencji Giertycha niepokoi niechęć prokuratury do przeprowadzenia ponownej sekcji. Bo w sprawie Kosteckiego zdarzyły się rzeczy skandaliczne. Należy do nich przeniesienie go na Białołękę, gdzie znajdowali się przestępcy, w których sprawie zeznawał, i to oni, zdaniem jego znajomego, „zrobili mu piekło”. Opowieści szefostwa więzienia, że potrafiło ich od siebie skutecznie izolować, to bajki dla każdego, kto zna trochę panujące w takiej instytucji warunki.

Jeżeli Kostecki przyjechał tylko na proces, to dlaczego nie wrócił do Rzeszowa po jego przesunięciu?

Niestety, sprawę mąci istotnie jazgot totalnych – w tym Giertycha – którzy usiłują wymyślić kolejną aferę. Oto portal naTemat: „W 2012 r. te rewelacje [Kosteckiego] nie miały jeszcze wielkiego związku z polityką. Pojawiły się one dopiero na początku bieżącego roku, gdy pojęcie »afera podkarpacka« stało się powszechnie znane za sprawą byłego funkcjonariusza CBA Wojciecha J., który przekonuje, iż widział »sekstaśmę« ważnego polityka Prawa i Sprawiedliwości”.

Wynika z tego, że wieloletni, bezkarny proceder handlu kobietami i zmuszania ich do prostytucji przy współpracy z miejscowym CBŚ nie ma znaczenia, natomiast nabrał go wtedy, gdy, jak wszystko wskazuje, niezrównoważony psychicznie osobnik stwierdził, że widział sekstaśmę z Markiem Kuchcińskim. Wprawdzie proceder kwitł pod rządami PO, a zlikwidowała go prokuratura i służby za czasów PiS, ale aferą obciążony jest rząd, bo... ktoś coś powiedział. Tak deklarują poważni (?) politycy opozycji.

A „Cygana” pewnie zamordował Kaczyński.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a357259d8c

OGNIEM NA WPROST

Śladami naszych lotników



Federalny Urząd Statystyczny w Wiesbaden podaje zatrważającą statystykę. Po 1 października 2017 r., kiedy zaczęła obowiązywać ustawa pozwalająca na zawieranie jednopłciowych związków małżeńskich, do końca 2018 r. na „ślubnym kobiercu" stanęło aż około 33 tys. homoseksualnych par. Na nową drogę życia wstąpiło 16 766 par „męskich" i 16 138 par lesbijskich. Wśród nich szczęścia przy boku partnera dostąpiło 21 477 par, które zmieniły posiadany dotąd status ze związku partnerskiego na małżeński. Okazuje się, że już co 14. formalny związek jest homoseksualny. Z tego badania wynika, że uprawnione jest postawienie dwóch pytań, na które bardzo trudno będzie znaleźć odpowiedź. Pierwsze: kto po tych „ślubach" stanie się lepszą połową? A drugie: kiedy populacja przybyszów z Południa osiągnie taki przyrost naturalny, że przejmie władzę w Niemczech i wszystkich tych „nowożeńców" skróci o głowę na Alexanderplatz w Berlinie?

Marlène Schiappa, francuska minister ds. równości kobiet i mężczyzn, jest feministką z zacięciem LGBT. Skądinąd, dlaczego na takie stanowisko nie powołuje się męskich szowinistów z zacięciem seksistowskim? Bo nie pozwala na to politpoprawność, która – jak wiadomo – w ramach „demokratycznych" reguł ma działać tylko w jedną stronę. I jak przystało na lewaczkę z krwi i kości, Marlène Schiappa musiała coś „mądrego" powiedzieć. Inaczej nie byłaby sobą. Wypowiedź minister pojawiła się w wywiadzie dotyczącym książki „Nie więcej niż 4 godziny snu" („Pas plus de 4 heures de sommeil"). W książce poznajemy historię kobiety, która pragnie seksu z 74-letnim obecnie byłym premierem Alainem Juppé, ponieważ uważa, że jest jednym z najinteligentniejszych polityków. Minister zapytana o to, czy również uważa, że Juppé jest najseksowniejszym Francuzem, powiedziała: „Przyznaję, że jestem sapioseksualna". Gwoli wyjaśnienia – sapioseksualizm to pociąg do osób o wysokim ilorazie inteligencji. Znalazł się na liście wielu nowych orientacji seksualnych, na równi np. z panseksualizmem (osobę panseksualną może seksualnie pociągać kobieta, mężczyzna, transseksualista lub człowiek o nieokreślonej płci, czyli każdy). Jednym słowem – bełkot. Jest tylko jedno „ale". Schiappa to mężatka. Co na to jej mąż, 41-letni Cédric Bruguière? Chłop zaniemówił i jak dotąd nie odniósł się do wypowiedzi żony.

Niedawno odwiedziłem Londyn. Tym razem postanowiłem ruszyć śladami naszych lotników z Dywizjonu 302 i rzecz jasna 303, którzy walnie przyczynili się do zwycięstwa w bitwie o Anglię. Brytyjczycy uhonorowali nas dwoma witrażami w nawie (ta na przeciwko głównego wejścia) katedry Westminster. Zdobią one okno w kaplicy RAF-u. Na obydwu umiejscowiono białe orły z wpisanym w nie numerem dywizjonu, w którym walczyli. Co roku w rocznicę 15 września (przełomowe starcie w tej powietrznej batalii) odbywa się tam msza święta. Potem pomnik Polskich Sił Powietrznych koło bazy w Northolt (godzina od centrum) i w końcu zasłużony obiad. Oczywiście w pubie o nazwie The Orchard. Znajduje się on ok. 2 km od miejsca, z którego startowali nasi piloci (baza Northolt) i 79 lat temu to właśnie w nim odprężali się po lotach. Właściciel był tak miły, że tym, którzy akurat nie dysponowali gotówką, siedząc przy jednym piwie, dyskretnie stawiał kolejne. Za zestrzelenie niemieckiego samolotu firma stawiała zwycięskiemu myśliwcowi butelkę szampana. Chwilę po wejściu do The Orchard niespodziewanie zjawił się właściciel i wiedząc już, że przyjechaliśmy z Polski, oprowadził nas po lokalu. Zaprowadził do sali bilardowej ozdobionej znakami polskich dywizjonów walczących o Anglię i archiwalnymi zdjęciami. Jedno z nich pokazuje naszych chłopców imprezujących z dziewczynami w sali głównej. Niestety, dziś wnętrze jest już inne, ale steki smakują chyba tak samo jak za dawnych czasów. Na zewnątrz właściciel zaprowadził nas do dużego modelu Spitfire'a, którym latał słynny Jan Zumbach. Pokazał też miejsce, gdzie kiedyś stał hotel. „Jeśli pilot nie miał rano dyżuru i nie chciało mu się wracać do bazy, nocował zawsze tam. W The Orchard też są pokoje, ale po dobrej zabawie na ogół następowało >>pełne obłożenie<<" – opowiadał szef pubu. Niestety dla niektórych wieczór spędzony w tym pubie był ich ostatnim w życiu. Ale pamięć o nich w Ruislip-Northolt przetrwała do dziś dzięki takim Anglikom jak spotkany dzisiejszy właściciel The Orchard.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a357259d8c

Spacer na zdrowie



Marta Kaczyńska-Zielińska

Nasze zdrowie jest zdeterminowane przez czynniki genetyczne, środowisko, w którym żyjemy, poziom medycyny, na którą jesteśmy zdani, a w ponad 50 proc. przez obrany przez nas styl życia. Za główne czynniki chorobotwórcze współczesnych pokoleń uznaje się trzy zasadnicze błędy: niewłaściwe odżywanie się, palenie tytoniu oraz hipokinezję. To ostatnie pojęcie oznacza niedostatek ruchu. Według Światowej Organizacji Zdrowia bezruch stanowi czwartą z kolei przyczynę śmiertelności na świecie, po chorobach układu krążenia, nowotworach oraz chorobach powodowanych przez procesy starzenia się.

Najnowsze badania wskazują, że co trzeci Polak nie podejmuje aktywności fizycznej, rezygnując z nawet regularnych spacerów. Choć w ostatnich 15 latach liczba osób dbających o swoją kondycję wzrosła trzykrotnie, to jednak daleko nam wciąż do europejskich rekordzistów w krajach skandynawskich i w Beneluksie, w których to ponad 90 proc. społeczeństwa traktuje wysiłek fizyczny jako stały element stylu życia i docenia jego niebagatelny wpływ na samopoczucie. Trenowanie to bowiem nic innego jak zapobieganie wielu przypadłościom. Ćwiczenia wytrzymałościowe przeciwdziałają niewydolności krążenia, chorobie wieńcowej, a także zmianom zatorowo-zakrzepowym. Gimnastyka może korygować wady postawy, wzmacnia stawy, ścięgna, więzadła, a także zwiększa ich ruchomość i odpowiednią elastyczność, zapobiegając zwyrodnieniom. Wytrenowane mięśnie mają większy przekrój i objętość włókien, a zatem stają się bardziej sprężyste i lepiej stabilizują naszą postawę. Lepsza kondycja oznacza silniejszy układ immunologiczny i poprawę zdolności regeneracyjnych organizmu. Sprawniej funkcjonuje również układ hormonalny. Ludzie wysportowani rzadziej też, co oczywiste, cierpią z powodu otyłości i towarzyszącej jej zazwyczaj cukrzycy. Proces starzenia osób regularnie podejmujących aktywność ruchową przebiega łagodniej. Ćwicząc, jesteśmy pogodniejsi i bardziej zadowoleni z życia. Regularna aktywność fizyczna chroni podobno przed depresją.

Szacuje się, że zwiększenie aktywności fizycznej społeczeństwa przyniosłoby wymierne korzyści. Gdyby co druga nieaktywna sportowo osoba zaczęła regularnie się ruszać, to liczba zawałów mogłaby spaść o blisko 11 tys., liczba przypadków raka jelita grubego o 2,2 tys., a liczba przypadków raka piersi o 1,5 tys. Zmarłoby 25 tys. osób mniej, niż wskazują aktualne statystyki.

Według danych sprzed dwóch lat z budżetu państwa na sport i rekreację przeznaczanych było 0,4 proc. PKB., co plasuje nas na ósmym miejscu w Europie. Mniej wydają m.in. Finowie, ale u nich aktywność fizyczna jest powszechnym nawykiem. Polski Instytut Emerytalny podaje, że gdyby zmobilizować do wysiłku fizycznego wspomnianą co drugą osobę spośród nieuprawiających sportu, to koszty stanowiące konsekwencję nieobecności pracowników w miejscu pracy zmniejszyłyby się o 3 mld zł rocznie, a koszty opieki zdrowotnej nad cierpiącymi na choroby będące konsekwencją hipokinezji zmalałyby o 440 mln zł.

Program Pierwszy Polskiego Radia od kilku miesięcy wznowił nadawanie porannej audycji poświęconej gimnastyce. Radio to medium, które odbiera prawie w każdym miejscu. Codziennie przed szóstą wraz z dziennikarzami „Jedynki" można rozpocząć dzień od kilku minut ćwiczeń, niezależnie od tego, czy jest się jeszcze domu, w samochodzie, czy już w pracy. Warto spróbować poćwiczyć albo przynajmniej starać się jak najczęściej spacerować.

Gdyby co druga nieaktywna sportowo osoba zaczęła regularnie się ruszać, to liczba zawałów mogłaby spaść o blisko 11 tys.

REKLAMA





40/0719/F

eprasa.pl a357259d8c

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Klapki



Okazuje się, że wielu uchodźców z Syrii, którzy znaleźli schronienie w Niemczech, wraca do swojego kraju ... na wakacje. „Jeśli ktoś, syryjski uchodźca, regularnie wyjeżdża na wakacje do Syrii, nie może uczciwie twierdzić, że jest prześladowany – powiedział Horst Seehofer, szef niemieckiego MSW" – cytuje portal pch24.pl. Zdaniem ministra niemieckie władze powinny pozbawić takie osoby statusu uchodźcy, bo uchodźca, który wyjeżdża na wakacje do Syrii, z której uciekał teoretycznie w obawie o swoje bezpieczeństwo, nie powinien twierdzić, że jest prześladowany. Niektórym klapki spadają z oczu, a innym klapki spadają z nóg, jak widzą, że klapki z oczu spadają dopiero teraz.

200
tys. zł
– tyle zapłaci rząd za opieszałość urzędów przy legalizacji pracy cudzoziemców. W tej sprawie sądy wydały już ponad 100 wyroków.

36
tys.
– tyle punktów ładowania aut elektrycznych zbuduje koncern Volkswagen do 2025 r. w Europie.

250
mln euro
– tyle będzie kosztowała budowa 36 tys. punktów ładowania aut elektrycznych.

Pozew

I jeszcze Niemcy. Dziewięcioletnia dziewczynka złożyła pozew przeciw chłopięcemu chórowi przy katedrze w Berlinie. Twierdzi, że „nie została przyjęta tylko ze względu na płeć". O sprawie informuje tvp.info. Od niemal 600 lat do chóru przyjmowano chłopców, ale w marcu 2019 r. na przesłuchanie zgłosiła się dziewczynka. Kandydatkę odrzucono. Według jej mamy to dyskryminacja ze względu na płeć. Tacy niby ci Niemcy postępowi, ale nie do końca.



Odcienie wolności

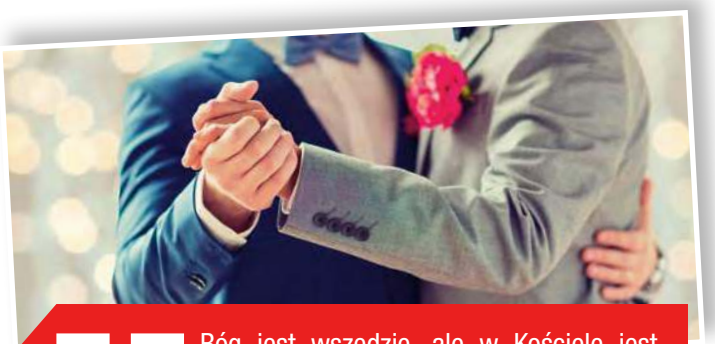


W Norwich w angielskim hrabstwie zwolniono kierowcę autobusu, który nie chciał brać udziału w promocji LGBT. „Pracownik przedsiębiorstwa Konectbus nie chciał prowadzić wozu, w którym wyświetlał się sześciokolorowy symbol LGBT, więc wysiadł z pojazdu i usiadł za kierownicę innego. Jego zachowanie zauważyła i stosowny donos złożyła 19-letnia pasażerka autobusu; przeciw kierowcy pracodawca wszczął postępowanie" – informuje tvp.info. Do tej pory mężczyznę wsparło 23 tys. osób, podpisując się pod petycją przeciw zwolnieniu na stronie Citizen.go. Widać wyraźnie, że w czasach dyktatury postępu myślozbrodnia ma poważne konsekwencje.

eprasa.pl a357259d8c

Na ślubnym kobiercu

Pozostańmy jeszcze przez chwilę w kraju Angeli Merkel. W Niemczech od dwóch lat pary homoseksualne mogą zawierać związek małżeński. Portal dw.com publikuje najnowsze dane na temat ich liczby, ujawnione przez władze. W związku ze zmianą prawa co 14. małżeństwo jest jednopłciowe. Do końca 2018 r. małżeństwo zawarło 33 tys. homoseksualnych par. A rozwój demograficzny? Jak to? Ten przecież zapewnią islamscy imigranci. Tyle że wówczas życie par homoseksualnych może nie być już tak różowe.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×5)

„Bóg jest wszędzie, ale w Kościele jest go coraz mniej" – stwierdziła w wywiadzie z „GW" prof. Magdalena Środa. Głębokie wyznanie, jak na człowieka niewierzącego. Widać, dla walki ideologicznej niektórzy są nawet w stanie uznać istnienie Boga, byle tylko dokopać Kościołowi.

Pomyłka

Caitlyn Jenner pomyliła córki! Na Instagramie złożyła urodzinowe życzenia Kylie, czyli najmłodszej miliarderce na świecie, ale dodała zdjęcie starszej córki. Później poprawiła błąd, zamieszczając zdjęcie z dwiema córkami. Tak na wszelki wypadek. Niech na obronę Caitlyn Jenner działa to, że nie jest matką Kylie, ale ojcem, który cztery lata temu zmienił płeć. Przecież żadna matka nie pomyliłaby swoich dzieci.



PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Trump idzie na zakupy



Dominik Zdort

W czasach PRL krążył dowcip: „Jak rozwiązać problemy Polski? Wywołać wojnę Stanom Zjednoczonym i natychmiast się poddać". Polacy nie tylko tęsknili za dobrobytem, lecz „od zawsze" byli jednym z najbardziej proamerykańskich narodów na świecie. I są nim do dziś – w sondażach badających stosunek Europejczyków do USA jesteśmy od lat na pierwszym miejscu.

Sondaże niestety nie mówią, czy równie chętnie poddaliby się Ameryce Grenlandczycy. Czy byliby zachwyceni, gdyby Stany Zjednoczone kupiły ich kraj od Danii. Taki pomysł narodził się w kręgu Donalda Trumpa. – Prezydent, który ma doświadczenie w kupowaniu nieruchomości, chce się przyjrzeć kwestii możliwości zakupu Grenlandii – poinformował doradca ekonomiczny Białego Domu Larry Kudlow. A Trump potwierdził.

Liberalne media uznały, że to absurd. Bo po co Ameryce ogromna niemal bezludna (0,03 osoby na kilometr kwadratowy) zlodowaciała wyspa? Tymczasem wystarczy spojrzeć na mapę, a jeszcze lepiej na globus. Przejęcie Grenlandii niepomiernie wzmocniłoby bezpieczeństwo Ameryki. Po odłożeniu globusa można jeszcze poczytać w internecie na temat bogactw naturalnych i chińskich inwestycji.

USA już kiedyś – ponad 150 lat temu – dokonały korzystnego zakupu ziemi w rejonie Arktyki. Za ówczesne 7,2 mln dol. (dziś byłoby to ok. 120 mln) przejęły od Rosji Alaskę. Pojawił się wtedy także pomysł zakupu Kanady.

Co do kupna Grenlandii pytanie nie brzmi, czy to ma sens, ale czy towar jest na sprzedaż. I za ile. Harry Truman proponował w 1946 r. za wyspę 100 mln dol. – równowartość dzisiejszych 1,3 mld dol.

Dziś duńscy politycy z oburzeniem pokrzykują, że nie oddadzą ani guzika, bo „Grenlandia należy do Grenlandczyków". Ładnie z ich strony. Proponowałbym pójście dalej i oddać decyzję w sprawie przynależności państwowej mieszkańcom wyspy. Niech sami zdecydują, czy chcą być nadal kolonią Danii (formalnie: „terytorium zależnym"), czy może 51. stanem USA.

A warto przypomnieć, że Grenlandczycy już raz odcięli się od Kopenhagi, bo bardziej im się opłacały bliskie związki (handlowe i gospodarcze) z Ameryką. Grenlandia była bowiem pierwszym krajem, który – na długo przed Wielką Brytanią – wystąpił ze wspólnoty europejskiej. W referendum w 1982 r. mieszkańcy postanowili, że wyspa powinna wyjść z EWG, co zrealizowano trzy lata później. Ciekawe, kogo wybraliby dziś.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a357259d8c

RZECZY POSPOLITE

Polska trzeźwość



Tomasz ***Łysiak***

Tradycyjnie już polski episkopat ogłosił sierpień miesiącem trzeźwości, prosząc o abstynencję przynajmniej przez 31 dni, symbolicznie, jako wyraz troski o dobro ojczyzny. To piękne hasło, wołanie o trzeźwość towarzyszy Polakom od czasu upadku Polski w wieku XVIII, bo gdy patrzeć na przyczyny rozkładu Rzeczypospolitej, to poza oczywistym wpływem złodziejskich monarchii rabujących nam państwo, istotnym jego czynnikiem były i wady narodowe. Pośród nich pijaństwo stało w pierwszym rzędzie, gdyż nadmierne picie powodowało upadek obyczaju, wpływało na sposób myślenia, łamało charaktery i oddawało duszę w ręce „złego". Ci, którzy pili ponad miarę, stawali się łatwym łupem szatanów, którzy w Polsce „byli czynni". Nasi rodacy przechodzili na stronę Moskali, zdradzali, dawali się przekupywać i za ruble dokonywali najpodlejszych czynów. Ta ciemna, smutna strona naszej historii to więc także opowieść o spowodowanym pijaństwem upadku ducha. Stąd w wieku XIX tak popularne były różne środowiska tradycyjne i patriotyczne, które nawoływały do walki z nadmiernym piciem, zaś w największych ośrodkach miejskich powstawały towarzystwa trzeźwościowe. Co więcej – wiązano stan abstynencji ze stanem ogólnego trzeźwego patrzenia na świat, umiejętnością podejmowania racjonalnych decyzji. Trzeźwość miała więc także znaczenie przenośne – chodziło o zdrowy rozsądek, rozum, umysł wolny od wpływu substancji oddziałującej na uczucia, zabierającej umiejętność zdrowego, racjonalnego patrzenia na świat i ludzi.

Niektórzy bohaterowie walk o niepodległość stawali się często abstynentami z wyboru, wskazując, że tylko Polak trzeźwy może być prawdziwie wartościowym obywatelem. Tak zrobił chociażby Zygmunt Sierakowski, jeden z przywódców powstania styczniowego, czy słynny naukowiec i członek powstańczego Rządu Narodowego Benedykt Dybowski.

A dziś także – szczególnie po tych długich latach, gdy komuna rozpijała Polaków, by ich niszczyć moralnie, by redukować ich ducha – bardzo potrzeba nam trzeźwości. Nie tylko w sierpniu.

Przychodzi Shrek do lekarza



Piotr ***Cywiński***

Hip, hip, hurra! – Platforma, pardon, Koalicja Obywatelska, czy jakoś tak, wybrała kandydatów do Sejmu, których powinni w październiku wybrać obywatele, iżby tam zasiedli jako wybrańcy narodu polskiego całego, najświatlejsi z światłych, z bezdenną wiedzą, a i doświadczeni, ale przede wszystkim z inwencją, że „po całym świecie możesz szukać i nigdzie nie najdziecie", jak pisał Wyspiański w „Weselu", gdy mu coś w klatce pukało.

Ach kogóż my tam, ach kogóż, mamy? Pośród primus inter pares, czyli pierwszych wśród równych sobie, bo Polacy nie gęsi, jest ta, którą z nazwiska wyróżnił sam Grzegorz Schetyna, i podziękował, że „wspiera nas [znaczy PO/KO, czy jakoś tak – dopisek mój] i będzie wspierać, i będzie kandydować z naszych list" – Jachira Klaudia!

Kto zacz? No, to wie każdy głupek w tym naszym „chlewie robionym z kurnika", ta, która nie bała się wyjawić światu, że „polski naród zabił więcej Żydów niż Niemców", i niczego w ogóle się nie boi, poza przegraną PO/KO, czy jakoś tak, wtedy wyemigruje do Niemiec. Jest też równie elokwentna i zasłużona Gasiuk-Pihowicz Kamila, bohaterka memu: „Kupiłam trzy deski do krojenia i żadna nie kroi!", więc i jej przedstawiać nie trzeba. Kolejną „jedynką" wśród równych sobie jest Mucha Joanna, całościowo uzdolniona eksministra sportu, recytatorka i pieśniarka „puczu" gwiazdkowego, o której oddaniu pisał nawet niemiecki „Bild", jak we wcześniejszej kampanii wyborczej wprzęgła swoje dzieci, po czym porzuciła je i męża, by mogła lepiej służyć krajowi. Jak ze swego fryzjera zrobiła wiceszefa Centralnego Ośrodka Sportu, jak katolikom polskim fundnęła koncert Madonny na Stadionie Narodowym i z jaką odwagą uznała wszczepianie endoprotez starcom za nieopłacalne, bo i tak nie będą biegać – takich ludzi, takich ministerek Polska potrzebuje i ministrów też.

„A różneć są dary, ale tenże Duch" – stoi w liście św. Pawła do Koryntian, więc w tymże duchu na liście PO/KO, czy jakoś tak, figurują tak wybitne jednostki jak zbrojony Grabarczyk Cezary vel „Spółdzielnia", co mówi wszystko o tym ministrze infrastruktury za Donalda Tuska i sprawiedliwości w rządzie Ewy Kopacz, były wiceminister zdrowia i szef Klubu PO Neumann Sławomir, którego czepia się prokurator o coś tam, czy zasłużony doradca Kopacz Sławomir Nitras, który w żarze i w śniegu... – mniejsza z tym, wszystkich, których wymienił Schetyna, i tak nie wymienię. Cały on, cały Shrek. À propos: „Przychodzi Shrek do lekarza, a ten przerażony: – O nieee, to mnie przerasta!". Mnie też.

eprasa.pl a357259d8c

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, TIA DUFOUR/WHITE HOUSE, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, MICHAŁ KLAG/PAP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Rafał Oleksiewicz/REPORTER, PAP/Paweł Supernak

Tak różni,

Milioner ze stanu Nowy Jork musiał zabrać zza szyby swojego samochodu czerwoną czapeczkę z hasłem „Make America Great Again". Syn mu wytłumaczył, że straci szybę. Nienawiść do Trumpa jest podobna do nienawiści wobec Kaczyńskiego. Poziom negatywnych emocji to niejeden punkt styczny między tymi politykami



ŁUKASZ ADAMSKI

Antytrumpowską opozycję charakteryzują dziś trzy słowa. Zanim wyjaśnię (zrobię to w dalszej części tekstu), o jakie słowa mi chodzi, zaznaczam, że nie mam na myśli KKK (Ku Klux Klanu). Choć i tak zdaję sobie sprawę, że tekst ten zostanie wrzucony do szufladki z napisem „rasizm". Przecież dziś każde pozytywne słowo o prezydencie USA Donaldzie Trumpie jest zestawiane z jakąś formą rasizmu. Podobnie jak poparcie dla PiS traktowane jest na szeroko pojętej opozycji w najlepszym razie jako przejaw głębokiej ignorancji i pazerności na 500 zł. Niedaleko jednak leżą oczywiście rasizm, ksenofobia i obowiązkowa w tym zestawieniu homofobia.

W przypadku Trumpa ten ostatni zarzut jest mocno przestrzelony, reprezentuje on bowiem prawicę akceptującą obyczajową rewolucję LGBT. Nie przez przypadek enfant terrible amerykańskiej prawicy Roger Stone (polecam wybitny dokument „Get me Roger Stone"), który zakulisowo prowadzi swoje przebiegłe gry od czasów administracji Richarda Nixona, aż po prezydenckie promowanie Trumpa uważanego wówczas przez mainstream prawicy za robiącego show celebrytę, otwarcie popiera LGBT. Moim zdaniem poza stosunkiem do rewolucji moralnej i obyczajowej, skutecznie przeprowadzonej w zachodnich krajach przez ruch LGBT, oraz stosunkiem do gospodarki (wolny rynek i indywidualizm vs kolektywizm i hybryda socjalizmu z kapitalizmem) i amerykańska, i polska prawica nie różnią się w znaczących kwestiach.

NIEPOPRAWNI POLITYCZNIE

Zarówno Donald Trump, jak i Jarosław Kaczyński zrywają z liberalnym dogma-

eprasa.pl a357259d8c



tak podobni

Zarówno Donald Trump, jak i Jarosław Kaczyński zrywają z liberalnym dogmatem o fukuyamowskim „końcu historii" i bezalternatywności dla liberalnej demokracji

tem o fukuyamowskim „końcu historii" i bezalternatywności dla liberalnej demokracji. I obaj z taką ideą trafiają do masowego wyborcy i ludu. O ile Kaczyński w swoich przemowach przemyca język żoliborskiego inteligenta, o tyle Trump pełną parą mówi językiem prostego robotnika, korzystając z całej palety showmańskich umiejętności wyniesionych z czasów, gdy był jednym z najbardziej rozchwytywanych celebrytów (bijący rekordy oglądalności show „The Apprentice", występy w „Saturday Night Live"). Przemowy Trumpa na wiecach przebijają wszystko, co robił nawet były hollywoodzki aktor Ronald Reagan. Są idealnie luzackie, pełne niepoprawnych politycznie dowcipów rodem ze stand-upów i wyreżyserowane przez twórców najlepszych telewizyjnych show. Kaczyński choć nie ma showmańskich umiejętności (jak żaden polski polityk), może jednak się pochwalić podobną charyzmą i naturalnością w swych wypowiedziach co Trump. Zarówno amerykański prezydent, jak i Kaczyński są naturalni i nie udają (poza wymaganymi przez PR sytuacjami) kogoś, kim nie są. Dostrzegają i doceniają to wyborcy.

REDNECKI, MOHERY I WOJNA NA LEWICY

Obaj dostrzegli siłę w zapomnianej, a potem otwarcie pogardzanej przez liberałów „milczącej większości". Momentem zwrotnym w kampanii Hillary Clinton było nazwanie wyborców Trumpa „godnymi pożałowania". Polscy liberałowie do dziś nie mogą zrozumieć, skąd bierze się siła PiS i ich niemożność przebicia szklanego sufitu. Najlepiej wyraziła to promowana przez polskich celebrytów grafika szydząca z „moherowych" Polaków, biorących świadczenie 500+ i porównująca ich do kundli warujących przed panem. Dopiero oskarżenia o klasizm (zestawiony z rasizmem), płynące ze strony przedstawiciela nowej lewicy Jana Śpiewaka, spowodowały zniknięcie tego rysunku z profilu aktorki Krystyny Jandy. Szyderstwo z tzw. rednecków (pojęcie wzięło się od opalonej szyi farmerów), noszących broń oraz jeżdżących pickup'ami ma silną tradycję w całej amerykańskiej popkulturze.

Wojna w gronie opozycji między nową falą lewicy a „tłustymi kotami" z bezpiecznego centrum również upodabnia pozycje Kaczyńskiego i Trumpa. W najbliższych wyborach w Polsce głosy opozycji rozbiją się na progresywną lewicową koalicję i bezideowych centrystów z Koalicji Obywatelskiej. Dezerterujący z KO PSL, mające teraz na listach będące w wielu sprawach na prawo od PiS środowisko Pawła Kukiza, pokazał, jak wymyślona w oderwaniu od ludu żyjącego poza placem Zbawiciela polityczna symbioza zaszkodziła polskiej opozycji. Lewica i liberałowie wciąż nie rozumieją, że nawet jeżeli Polacy klaszczą i śmieją się na widok filmowego księdza pijącego wódkę i żyjącego z gosposią, to nie zaakceptują szargania świętych dla nich symboli. Ludowy an-

eprasa.pl a357259d8c

tyklerykalizm (nieraz słuszny) ma długą tradycję, ale nie przekłada się znacząco na wiarę, czego nie pojmują ci, którzy wierzyli, że filmy Smarzowskiego i Sekielskiego cokolwiek politycznie zmienią.

W USA wojna skrajnej lewicy z mainstreamem demokratów wygląda jeszcze mocniej. W ostatnich dniach zdarzyło się coś, co do tej pory nie działo się w amerykańskiej polityce. Urzędująca kongresmen dostała zakaz wjazdu na terytorium Izraela, przy publicznym (twitterowym) aplauzie prezydenta USA. Kongresmenki ze skrajnie lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej (Rashida Tlaib i Ilhan Omar) zostały zbanowane przez premiera Izraela Beniamina Netanjahu za swoje antyizraelskie (Trump nazywa je „antysemickimi") wywody nawołujące do bojkotu tego kraju za politykę wobec Palestyny. Od kilku tygodni opisuję na tych łamach awantury w Partii Demokratycznej, która jest rozrywana od wewnątrz przez rewolucyjnie nastawioną skrajną lewicę pod batutą senatora Berniego Sandersa. „Squad" kongresmenek Alexandrii Ocasio-Cortez, Ilhan Omar, Ayanny Pressley i Rashidy Tlaib nie tylko wali jak w bokserski worek w Trumpa, lecz toczy boje z takimi lewicowymi weteranami jak liderka demokratów Nancy Pelosi i Joe Biden. Wraz ze wschodzącą gwiazdą lewicy senator Kamalą Harris uderzają już nawet w administrację Obamy z pozycji skrajnie lewackich (globalne ocieplenie, wojna w Iraku, polityka imigracyjna).

Najmocniej na tej wojnie korzysta Donald Trump, świadomy tego, że Amerykanie nie są gotowi na „europeizację" swojego kraju. Podobnie Jarosław Kaczyński z rozbawieniem musiał patrzeć na samobójstwo tęczowego PSL na wsi i pląsanie Grzegorza Schetyny wśród skrajnie progresywnych rewolucjonistów.

TRZY RAZY R

Na początku tekstu przywołałem trzy litery definiujące politykę opozycji nie tylko w USA. Te litery to RRR. Trzy litery R (Rosja, rasizm, recesja) stoją dziś za całą polityką demokratów, liberalno-lewicowych mediów i Hollywood, które nigdy tak otwarcie nie gardziło żadnym prezydentem USA jak teraz. Śledząc antytrumpowskie media, wyraźnie widzimy, że opozycja nie ma w tej chwili żadnego spójnego planu na pokonanie znienawidzonego rezydenta Białego Domu. Przepływają między trzema zaklęciami na literę R, co chwila zderzając się ze ścianą.

Oskarżenia ekipy Trumpa o spisek z Rosją został rozbity w pył po zeznaniach specjalnego prokuratora Roberta Muellera. Polska opozycja, która notabene straszyła, że jak PiS wygra wybory, „to będzie wojna z Rosją", również nie potrafi poza prymitywnymi hasłami i dwiema żałosnymi książkami czwartoligowego dziennikarza pokazać wspólnych interesów Polski i Rosji. Straszenie recesją też uderza jak groch o ścianę.

Polska może się pochwalić rekordowo niskim bezrobociem i wysokim wzrostem gospodarczym. Obniżający podatki Trump również poruszył gospodarkę bardziej, niż spodziewali się tego najbardziej optymistyczni analitycy. Zwolennicy demokratów, tacy jak Bill Maher, wpływowy prowadzący polityczno-satyryczny show na HBO, mówią wprost, że życzą Ameryce recesji gospodarczej, byleby przepędzić Trumpa z Białego Domu. Polska opozycja chętnie straszy kryzysem gospodarczym spowodowanym przez socjalną politykę PiS (sama obiecuje jeszcze większe transfery finansowe w tym obszarze). U nas podobną rzecz do Mahera ogłosił przecież doradca Ryszarda Petru i potem Roberta Biedronia – Jakub Bierzyński. „Polski wzrost gospodarczy jest już nie do uratowania, spróbujmy uratować polską demokrację. Celem opozycji nie powinno być przejęcie władzy, i co za tym idzie odpowiedzialności za bankructwo polityki swoich przeciwników, lecz zapewnienie kontroli, która zniweczy ich autorytarne plany" – pisał na łamach „Rzeczpospolitej", dając do zrozumienia, że najlepiej by było, by recesja dotknęła rządy PiS.

Życzenie Polakom i Amerykanom kryzysu gospodarczego w imię walki z Kaczyńskim oraz Trumpem, wrzucanie obu do worka z Putinem i oskarżanie o rasizm (w Polsce o rzekome wsparcie narodowców, a w USA o sprzyjanie białym suprematystom) – to metody lewicy bez względu na szerokość geograficzną. To wszystko widzą wyborcy głosujący swoim portfelem i patrzący na bezpieczeństwo na ulicach. Nieposiadający willi i mieszkań na ogrodzonych osiedlach i zarabiający nie tyle, ile Maher i Bierzyński, by móc przejść suchą nogą przez recesję, wystawią za ten rodzaj propagandy rachunek.

FAKE NEWSY

Najgorsze jest to, że do politycznej agendy partyjnej dołączają media. Nie mam na myśli nawet twitterowych harcowników czy zamkniętych w bańce poprawności politycznej i marksistowskiej wiary w historyczny determinizm proroków nowego wspaniałego świata. Sprowadzenie rządów Kaczyńskiego czy Trumpa do tych liter R odbywa się w mediach do niedawna uważanych za rozsądne, mimo odchylenia ideologicznego. Tyle że dziś media zamieniły się w zbrojne ramie partii politycznych. Zarówno z lewej, jak i prawej strony. Nie można jednak nie zauważyć, że amerykańskie mainstreamowe media po prawej stronie, krytykujące ostro Baracka Obamę czy Billa Clintona, przynajmniej zachowywały standardy w poszanowaniu urzędu prezydenta USA. Nie mówię już nawet o atakach Hollywood, którego do niedawna Trump był częścią, a dziś jego czołowe gwiazdy używają wobec niego publicznych obelg, takich jak „jeb...any idiota i przestępca" (Robert De Niro) czy „skur...syn" (Samuel Jackson), ale o stosunku poważnych mediów.

Ataki CNN, MSNBC i papierowych gigantów, jak „New York Times" czy „Washington Post", każdego dnia przekraczają tę granicę. Manipulowanie wypowiedziami i wycinanie ich z kontekstu, powielanie fake newsów i tworzenie wiecznego poczucia zagrożenia to obraz dzisiejszych masowych środków przekazu. Znakomicie i lapidarnie ujęła to jedna z ikon konserwatywnego dziennikarstwa Rush Limbaugh. „Dziennikarstwo dziś polega na jednej rzeczy: dorwać Trumpa!" – powiedział w swoim radiowym show kilka dni temu. „Książka »Unfreedom of the Press« jest o tym, jak ci, którym powierzyliśmy opisywanie nam rzeczywistości w nowoczesnych mediach, niszczą

eprasa.pl a357259d8c



Donald i Melania Trump podczas wizyty w Polsce w 2017 r.

Fot. Stanisław Kowalczuk/East News

wolność prasy" – pisze w swojej przenikliwej książce (mam nadzieję, że zostanie przetłumaczona na język polski) Mark R. Levin, autor bestsellerów, publicysta i były doradca m.in. Ronalda Reagana. Dodaje, że to nie opresje rządu, któremu zawsze trzeba patrzeć na ręce, ani Donald Trump walczący jak żaden inny prezydent w historii USA z dziennikarzami są winni niszczenia w Ameryce wolności słowa. Levin uważa, że to zblatowani z politykami demokratów dziennikarze (demokratyczny gubernator Nowego Jorku Andrew Cuomo jest np. bratem gwiazdy CNN Chrisa Cuomo) i spowodowana poprawnością polityczną autocenzura prowadzą do niszczenia wolności słowa. „Celem wolnych mediów i wolności słowa jest pobudzanie umysłu, zderzenie idei, rzucanie wyzwania ideologiom, wymiana pojęć, inspirowanie kreatywności i reprezentowanie fundamentów, które zbudowały Amerykę" – pisze Levin. Jak można jednak inspirować debatę publiczną, zamykając oponentowi usta przez łamanie norm poprawności politycznej? Nawet lewicowy filozof Slavoj Żiżek uważa, że poprawność polityczna sprowadziła na świat kult ofiary. Na YouTubie można znaleźć jego niedawny występ na amerykańskiej uczelni, gdzie opowiada, jak lewicowy liberał pouczał w jego obecności Indianina, że ten nie powinien sam na siebie mówić Indianin, bo to... rasizm.

Amerykańscy dziennikarze i liderzy opinii są tak zafiksowani na punkcie poprawności politycznej, że w szaty rasizmu i faszyzmu opakowują już niemal każdą wypowiedź Trumpa. Polskie media liberalno-lewicowe oczywiście ślepo kopiują tę modę, ale ich motywacje są bardziej przyziemne. Walka z Kaczyńskim ma podłoże bardziej środowiskowe i partyjne niż ideologiczne. Konserwatywny FOX News (pisałem o tym w tym miesiącu w „Sieci") był liderem oglądalności na półce programów informacyjnych przed erą Trumpa. Amerykanie są przyzwyczajeni, że republikanie wymieniają się władzą z demokratami co kilka lat (w ostatnich trzech dekadach to prawica miała czterech prezydentów, a lewica tylko dwóch). W Polsce zaś rządzić mieli w planach „ojców założycieli III RP" wyłącznie namaszczeni przez samozwańcze autorytety moralne politycy plus koncesjonowana i oswojona z „ludźmi na poziomie" (mówiąc UD-eckim klasykiem) prawica.

PONADNARODOWA OBŁUDA

Polskie i amerykańskie media liberalne mają natomiast jeden wspólny mianownik. Jest to zupełnie otwarta obłuda i hipokryzja. Gdy psychopatyczny rasista popierający politykę imigracyjną Trumpa dokonał masakry w Wall Marcie w El Paso w Teksasie, czołowi politycy demokratów oskarżali, że do masakry doprowadził „rasizm i ksenofobia" Trumpa. Nieważne, że mniej więcej taką samą politykę imigracyjną (5 mln deportowanych) prowadziła administracja Obamy. Nieważne też, że w dniu masakry w Teksasie masowego mordu w Ohio dokonał satanista i socjalista (jak sam się określał), otwarty zwolennik lewicowej senator Elizabeth Warren, pragnący „zabić" starą gwardię demokratów reprezentowaną przez Bidena. Lewicowe media nabrały w tej sprawie wody w usta. A przecież to „Squad" atakujący nie tylko Trumpa, lecz i przedstawiciela starych demokratów Joego Bidena zbudował klimat walki ze starą Ameryką reprezentowaną przez białych chrześcijan. Czy można więc powiedzieć, że krew na rękach ma Ocasio- Cortez i koleżanki uderzające w białą, protestancką Amerykę? Nie słyszałem takiego zarzutu w Fox News.

Tak samo wygląda podejście do lewackich bojówkarzy z Antify. Organizacji, która – mam nadzieję – zostanie uznana w USA niebawem za terrorystyczną. Gdy zaatakowano fizycznie na marszu Antify w Portland konserwatywnego dziennikarza Fox News Andy'ego Ngo, prawicowe media nie oskarżały o czyn polityków Partii Demokratycznej prowadzących radykalną kampanię przeciwko Fox News i Trumpowi. Lewica nie była nawet chętna potępić ataku. Nie pomogło to, że Ngo jest Azjatą i na dodatek otwartym homoseksualistą. Jest z prawicy, co wyrzuca go poza nawias chronionej mniejszości. Poza Joem Bidenem niewielu polityków potępiło za to głośno Antifę. Czyż nie tak samo jest w Polsce, gdzie słowa (słuszne) potępienia są kierowane przeciwko agresji chuliganów od narodowców, a Antifa jest przedstawiana wyłącznie jako skrajnie lewicowa grupa?

Mój amerykański przyjaciel John jest w swoim miasteczku w stanie Nowy Jork właścicielem największej fabryki. Ma okazałą willę z basenem na wzgórzu ponad miastem. Był wpływowym rotarianinem i jest osobą powszechnie szanowaną w okolicy. Jeździ m.in. wykonanym na zamówienie chevroletem corvettą. Opowiadał mi, że jako wyborca Trumpa woził w corvetcie czerwoną czapeczkę „Make America Great Again". Syn ostrzegł go, że zostanie mu wybita szyba, więc lepiej nie ryzykować. Takiej paranoi politycznej nie było w USA od czasu wojny w Wietnamie i epoki Richarda Nixona. Tylko dlatego, że w Białym Domu rządzi ktoś spoza establishmentu (w prawyborach Trumpa popierało niewielu republikanów, a rodzina Bushów ostentacyjnie okazuje mu pogardę), kto mówi głosem ludu. Co wam to przypomina?

eprasa.pl a357259d8c

Przywrócić wielkość Ameryce

Utrzymanie dobrych rezultatów w gospodarce USA to klucz do reelekcji Donalda Trumpa na prezydenta w 2020 r. Wie o tym sam Trump, wiedzą też jego wpływowi przeciwnicy. Dlatego robią wiele, by wmówić Amerykanom, że z planu Trumpa „Make America Great Again" został tylko pusty slogan



BOGDAN SZAFRAŃSKI

Trump kilka dni temu na wiecu wyborczym do licznie zgromadzonych zwolenników powiedział, że wybór na prezydenta jednego z kandydatów demokratów równa się podniesieniu podatków i kryzysowi gospodarczemu. A to zniszczy aktywa emerytalne milionów Amerykanów – tzw. 401k (polskie PPK to marny ich odpowiednik o słabszych cechach i możliwościach). Dlatego Amerykanie niezależnie, czy go lubią, czy nie, zdaniem Trumpa będą musieli na niego głosować w swoim własnym interesie. Przeciwnicy Trumpa od wielu miesięcy cierpliwie tropią wszelkie sygnały i przejawy rzekomo zbliżającego się kryzysu gospodarczego w USA, kryzysu, który rozpocznie się, jeśli nie teraz, to może choć w ciągu najbliższych dwóch lat.

„MAKE AMERICA GREAT AGAIN"

Trump w 2016 r. wygrał wybory prezydenckie jako kandydat republikanów nie tylko dlatego, że demokratka Hillary Clinton była dość słabym przeciwnikiem, ale głównie dlatego, że zaproponował wyborcom bardzo atrakcyjny plan ekonomiczny ogłoszony w 2015 r., m.in. na jego stronie internetowej donaldtrump.com. Wśród propozycji z okresu walki przedwyborczej była np. kwota wolna od podatku dochodowego w wysokości 25 tys. dol. (w Polsce to nadal niewiele więcej niż odpowiednik jednego tysiąca), co uwolniłoby od podatku ok. 50 proc. amerykańskich gospodarstw domowych. Inna korzystna propozycja to uproszczenie podatków i wprowadzenie czterech stawek podatkowych: 0, 10, 20 i najwyższa 25 proc. Stawka podatku dochodowego dla wszystkich biznesów – od wielkich korporacji z rankingu Fortune 500 po najmniejsze rodzinne sklepiki – miałaby wynosić tylko 15 proc. Nic dziwnego, że tak sprawny, zdeterminowany, elastyczny i doświadczony marketingowiec, jakim jest Trump, z łatwością sprzedał te pomysły ubożejącej od lat klasie średniej i pozostałym jeszcze niżej sytuowanym wyborcom.

Oryginalny plan ekonomiczny Trumpa został opisany i dokładnie wyliczony przez profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine (UCI) Petera Navarro i wybitnego oraz skutecznego inwestora Wilbura Rossa – to teraz czołowe postaci zajmujące

Fot. AP

eprasa.pl a357259d8c

się gospodarką w Białym Domu. Plan ten zawierał i do pewnego stopnia kopiował podstawowe zasady reaganomiki, jak obniżenie podatków, deregulacja, solidny pieniądz, ale wzbogacał go o nowe elementy tradycyjnie bliższe demokratom, jak np. rewitalizacja infrastruktury, ochrona i odbudowa przemysłu, quasi-protekcjonizm oraz radykalna zmiana polityki handlowej, energetycznej i ochrony środowiska (w tych elementach był duży wkład Petera Navarro, od dawna zwracającego uwagę na rosnącą groźbę ze strony Chin). Celami nadrzędnymi było osiągnięcie stopy wzrostu gospodarczego na poziomie 3–4 proc. (ekonomiści głównego nurtu przyjęli, że USA stać już najwyżej na wzrost na poziomie 1–2 proc.), stworzenie do 15 mln nowych miejsc pracy w ciągu ośmiu lat, zrównoważenie chronicznego deficytu handlowego, przywrócenie konkurencyjności przemysłowi amerykańskiemu – cele te podsumowane zostały w haśle wyborczym z 2016 r.: „Make America Great Again".

Jednak sprawne i szybkie wprowadzenie w życie tych zawartych w planie daleko idących rozwiązań blokowane było przez grupy lobbingowe, polityków i to zarówno demokratów, jak i republikanów (głównie na forum Kongresu) oraz ciągle niezależny zarząd FED – bank centralny USA. Ale nawet rozwodniony plan ekonomiczny Trumpa uzyskał wyjątkowe rezultaty. Gospodarka amerykańska w niektórych kwartałach osiągnęła ponad 3-procentowy wzrost GDP, bezrobocie spadło do najniższego od 50 lat poziomu 3,7 proc., a kapitalizacja giełdy od momentu wyborów jest wyższa o 50 proc. – więc i o tyle średnio wyższe są oszczędności emerytalne, jak np. wspomniane 401k. W obszarze deregulacji Trump zarządził, aby jedna nowa regulacja likwidowała dwie dotychczasowe. Prezydent niedawno na Twitterze ogłosił, że likwidowane są nawet trzy. Jeśli te wyniki zostaną przez następny rok utrzymane lub poprawione, to są one na tyle atrakcyjne i wartościowe dla większości wyborców, że Trump będzie miał zapewnioną reelekcję.

WOJNA HANDLOWA NA WIELU FRONTACH

W skali międzynarodowej największym wyzwaniem dla prezydenta USA jest Państwo Środka ze swoim ambitnym planem polityki przemysłowej „Made in China 2015". Trump jednak rozpoczął zmianę relacji handlowych z łatwiejszymi głównymi partnerami. Już zmieniony został Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu (NAFTA) – import z Meksyku i Kanady to ok. 600 mld dol. Najbardziej brutalna wojna handlowa toczy się jednak z Chinami, które od wstąpienia do Światowej Organizacji Handlu (WTO) lekceważą jej zasady, korzystając z niej kosztem przede wszystkim USA, a to import o wartości ok. 500 mld dol. Co więcej, Chiny nie realizują umówionych wcześniej, np. w Mara Lago, ustaleń. Dlatego Trump ponawia i powiększa groźby wprowadzenia ceł na import z Chin. W odpowiedzi Chiny powróciły do manipulacji kursem walutowym. Niedawna dewaluacja juana o 12 proc. spowoduje, że stracą nie tylko w handlu z USA, lecz i resztą świata.

Na rozgrywkę z niepokojem patrzy Unia Europejska, bo negocjowany długo układ handlowy pomiędzy USA a UE Trump schował do szuflady. Unia obawia się zmiany korzystnych dla niej warunków handlowych – najbardziej pod presją są Niemcy – tam wzrost gospodarczy już zamarł. Niemcy być może żałują, że nie mają już narodowej waluty, którą np. mogliby w razie potrzeby zdewaluować w celu ratowania eksportu i gospodarki.

Ameryka ma dodatkowy problemem w relacjach handlowych z większością państw świata, którym jest mechanizm stosowania podatku VAT według zasad WTO. Stany Zjednoczone, jako jedyny wysoko rozwinięty kraj, nie mają VAT. Podatek ten jest jednym z powodów gróźb ze strony USA, iż wyjdą z WTO. Kolejnym jest klauzula najwyższego uprzywilejowania (most favoured nation), która jest niekorzystna dla USA szczególnie wobec postawy Chin – wejście na rynek chiński jest blokowane, a na amerykański łatwe i tanie.

Klimatyczne Porozumienie Paryskie jest również, zdaniem Trumpa, niekorzystne dla USA, które najwięcej tracą na tej polityce, szczególnie jeśli chodzi o konkurencyjność w stosunku do Chin, Indii czy Rosji, które nie redukują swojej szkodliwej produkcji.

NIEDOSYT W RELACJACH Z POLSKĄ

W wojnie handlowej toczonej już przez USA na wielu frontach przeciwnicy Trumpa upatrują możliwość wywołania ewentualnego kryzysu gospodarczego, a to pogorszyłoby dotychczasowe dobre wyniki. Nieprzychylne Trumpowi media zauważają każde, nawet najmniejsze pogorszenie tych wyników, wyolbrzymiają je i wielokrotnie krytycznie oceniają, aby wywołać wrażenie zbliżającej się katastrofy w gospodarce USA.

Jak na razie sytuacja pogarsza się jednak w Chinach i Niemczech – to kraje najbardziej zależne od eksportu, dlatego groźba wojny handlowej najbardziej tych krajów dotyczy. Trump ostatnio mocno krytykuje restrykcyjną politykę monetarną FED, który od początku 2016 r. dziewięć razy podniósł stopy procentowe. Wpływa to na wzrost kursu walutowego, hamuje eksport i wzrost gospodarczy USA, działa więc wbrew wysiłkom Trumpa luzowania polityki fiskalnej poprzez obniżkę podatków. Nic dziwnego, że krytyka Trumpa jest tak ostra i zapewne doprowadzi do sukcesywnego obniżania stóp procentowych przez FED, skoro robią to inne banki centralne, w tym europejski.

Polska rozwija i zacieśnia polityczno-wojskowe relacje z USA, nie widać jednak refleksji ani analiz, że niesie to z sobą wiele ekonomicznych i handlowych zagrożeń, ale i szans. Dobre zrozumienie genezy, zasad i celów polityki ekonomicznej Trumpa pomoże uzyskać polskiej gospodarce możliwie najlepszy rezultat. Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju niewiele tu pomaga, wiele mówi o innowacyjności, efektywności czy konkurencyjności polskiej gospodarki, ale sprawy międzynarodowe potraktowane są w niej marginalnie, raczej hasłowo na poziomie promocji handlowej, relacje ze Stanami Zjednoczonymi pominięte są całkowicie. Sam zakup LNG i nowoczesnego uzbrojenia (co daje szansę na atrakcyjny offset, który jednak trzeba umiejętnie wynegocjować) jest niezwykle ważny dla bezpieczeństwa kraju, ale to całokształt relacji gospodarczych jest istotny, a te są tylko jednostronne i dla gospodarki polskiej niewystarczające.

Wizyta prezydenta Trumpa i jego współpracowników w Polsce to doskonała okazja do rozmowy także o potrzebie intensyfikacji naszych gospodarczych relacji.

Autor jest amerykanistą i ekonomistą związanym z Uczelnią Łazarskiego i Polonia Institute

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Henryk Zieliński

Pasterze Kościoła nie mogą milczeć, gdy prawda jest negowana

Myślę, że jest szansa na przebudzenie się całego społeczeństwa katolickiego: duchownych i wiernych świeckich. Szczególnie świeccy biorą dziś na siebie ciężar tej walki. Pięknym przykładem może być choćby 15-letni chłopak, Jakub Baryła, który w Płocku stanął z krzyżem w dłoniach naprzeciw tzw. marszu równości. Stawką jest normalność, której niektórzy chcą nas pozbawić

Z abp. Markiem Jędraszewskim, zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, rozmawiają Jacek Karnowski i ks. Henryk Zieliński

Porównał ksiądz arcybiskup ideologię LGTB z ideologią marksistowską. Dlaczego?

Abp Marek Jędraszewski: Powiedziałem, że ma ona te same korzenie, sięgające jeszcze czasów Marksa i Engelsa. Podczas homilii nawiązałem do wiersza sprzed 75 lat. Wtedy to Józef Szczepański „Ziutek" świadomy, że po drugiej stronie Wisły stoi Armia Czerwona i nie daje powstańcom warszawskim żadnego realnego wsparcia, pisze, aby ta „czerwona zaraza" wreszcie przyszła i „wyzwoliła nas od czarnej śmierci", czyli od bezwzględnej eksterminacji, jaka z rąk Niemców groziła nie tylko samym powstańcom, lecz i ludności cywilnej. Wiadomo przecież, jak dokonała się rzeź Woli. Z jednej, niemieckiej, strony czekała Polaków okrutna śmierć, natomiast z drugiej, radzieckiej, „zaraza", czyli śmiertelna choroba. Choć zachodziło duże ryzyko, że zaatakuje ona wszystkich, to nie oznaczało to wcale,

eprasa.pl a357259d8c

że wszyscy jej ulegną. Przecież podczas każdej epidemii są tacy, którzy mają szansę przeżycia. „Ziutek" Szczepański bardzo trafnie i precyzyjnie zdiagnozował zatem sytuację powstańczej Warszawy pod koniec sierpnia 1944 r.: z jednej strony wszystkim groziła nieubłagalna „czarna śmierć", a z drugiej pojawiało się widmo „czerwonej zarazy", która przynajmniej niektórym dawała jakąś szansę przeżycia.

Ksiądz arcybiskup zestawił tę „czerwoną zarazę" z „tęczową zarazą". Dlaczego?

Dokładnie powiedziałem, że dzisiaj nie ma już w Polsce, na szczęście, czerwonej zarazy, ale jest inna, która usiłuje zawładnąć naszymi sercami i umysłami, a która ma kolor tęczowy. Tym, co może zawładnąć sercami i umysłami Polaków i co może doprowadzić ich do bardzo niebezpiecznej choroby ducha, jest coś, co odnosi się do świata idei, a więc pewna kłamliwa ideologia. Moja wypowiedź z 1 sierpnia nie była zatem skierowana przeciwko konkretnym osobom (one przecież nie są w stanie zawładnąć naszymi sercami i umysłami), ale przeciwko określonej ideologii zbudowanej na fundamentalnym kłamstwie antropologicznym. Przed laty takim kłamstwem była niewątpliwie ideologia komunistyczna, która interpretowała człowieka w kategoriach czysto materialistycznych (tzw. materializm dialektyczny), a całe życie społeczne w kategoriach walki klas oraz teorii bazy i nadbudowy (tzw. materializm historyczny). Ideologia ta w państwie sowieckim i w tych wszystkich krajach, gdzie komuniści doszli do władzy, była wprowadzana za pomocą przemocy, permanentnej inwigilacji i nieustannie sączonego wszystkim kłamstwa, w ramach tzw. dyktatury proletariatu. Na ten temat powstało wiele znakomitych opracowań naukowych, m.in. Leszka Kołakowskiego. Ja natomiast chciałbym się odwołać do dwóch dzieł, które w zamiarze ich autorów były skierowane do bardziej powszechnego czytelnika i które doskonale ukazywały mechanizm zniewalania człowieka.

Pierwszym z tych dzieł jest „Rok 1984" George'a Orwella. Orwell przedstawił w nim działanie państwa totalitarnego zwłaszcza poprzez dwa jego ministerstwa: Ministerstwo Prawdy, którego głównym zadaniem jest propaganda i nieustanne fałszowanie wszelkich informacji, oraz Ministerstwo Miłości, odpowiedzialne za permanentną inwigilację swych obywateli oraz egzekucje, przyjmujące najczęściej kształt tzw. ewaporyzacji – całkowitego zniknięcia jakiegoś człowieka, łącznie z wszelkimi danymi odnoszącymi się do jego przeszłości, czyli doprowadzenie do powszechnego przekonania, że tego człowieka po prostu nigdy nie było. Bohater powieści Orwella, Winston Smith, dopuścił się kilku „zbrodni" wobec Partii, m.in. zakochując się w Julii, co dla członków Partii było rzeczą zakazaną. Jego „przestępstwa" wyszły w pewnym momencie na jaw, Smith został aresztowany, poddany śledztwu, a następnie swoistemu praniu mózgu. W jego następstwie wyrzekł się tego, co było dla niego najświętsze: miłości do Julii, co więcej, poczuł w sobie poryw miłości do Wielkiego Brata. I dopiero wtedy, gdy zdradził siebie, swoją duszę, został zabity. Do istoty systemu sowieckiego należało bowiem to, żeby najpierw zabić duszę człowieka, a dopiero potem jego ciało.

„Rok 1984" jest powieścią. Natomiast drugą książką, którą chciałbym przywołać, jest „Po wyzwoleniu (1944–1956)" pani prof. Barbary Skargi, autobiograficzny zapis jej przeżyć, począwszy od chwili, gdy w ramach akcji „Burza" jako żołnierz AK brała udział w wyzwoleniu Wilna. Po wyzwoleniu doszło do zdrady. Sowieci zaprosili dowódców AK na spotkanie, podczas którego ich aresztowali, a następnie rozpoczęli „polowanie" na pozostałych żołnierzy. Barbara Skarga była tylko łączniczką, a mimo to dostała wyrok dziesięciu lat łagrów i dożywotniego osiedlenia na Syberii. Do Polski wróciła pod koniec 1955 r. W swej książce, powstałej w latach 80. ubiegłego wieku, Skarga opisała swoje więzienne i łagrowe przeżycia, obejmujące lata 1944–1956. Największe wrażenie zrobił na mnie rozdział poświęcony porównaniu systemu panującego w niemieckich obozach koncentracyjnych z systemem radzieckich łagrów. Jak wiadomo, więźniów niemieckich obozów witał umieszczony na obozowej bramie napis: „Arbeit macht frei". Zdaniem Skargi, kryło się w tym coś z kupieckiego ducha Europy: jeśli dasz z siebie pracę, to będziesz wolny. Niektórzy z więźniów w to nawet uwierzyli, starając się dać z siebie wszystko. Było to oczywiste kłamstwo, bo Niemcy wykorzystywali obozową siłę roboczą do maksimum, a kiedy na skutek głodu i wyczerpania więzień przestawał być wydajny i jego praca z ekonomicznego punktu widzenia była mniej warta niż kromka chleba i miska zupy z brukwi, to posyłali go do gazu, a jego zwłoki palili w krematorium.

> Jedynie Polacy nie godzili się z wyrokami sowieckich sądów. Uważali się po prostu za niewinnych. Nie dali się duchowo złamać. Dlatego współwięźniowie innych narodowości nazywali ich „panami"

A jak było w sowieckich łagrach?

W łagrach natomiast pośrodku obozu był napis po rosyjsku: „Uczciwą pracą wynagrodzisz za zbrodnie wobec narodu radzieckiego". Było to praktyczne zastosowanie zasady prawnej, którą wprowadzono za czasów Stalina. Mówiła ona o różnicy między niewinnością subiektywną a obiektywną winą. Subiektywna niewinność miała miejsce wtedy, gdy ktoś został aresztowany przez NKWD i podczas przesłuchań twierdził, że jest niewinny. Jeśli jednak sąd partyjny uznał, nawet w trybie nadzwyczajnym, że jest on winny, to w tym momencie stawał się on obiektywnie winny i na tej podstawie dostawał odpowiedni wyrok. Pani Skarga

eprasa.pl a357259d8c

opisywała prawdziwie przerażające przemiany, które zachodziły w świadomości skazanych, pochodzących z różnych stron ówczesnego Związku Sowieckiego: z całą pokorą przyjmowali ten wyrok jako słuszny, a ich zdaniem był słuszny właśnie dlatego, że tak, a nie inaczej osądziła ich władza radziecka. Jedynie Polacy nie godzili się z tymi wyrokami. Uważali się po prostu za niewinnych i skrzywdzonych przez władzę. Nie dali się duchowo złamać. Do końca zachowywali wolność wewnętrzną i dlatego współwięźniowie wywodzący się z innych narodowości nazywali ich „panami". Wielu naszych rodaków straciło w łagrach życie, ale odchodzili z tego świata jako ludzie wewnętrznie wolni. Natomiast inni łagiernicy dawali się złamać. Pracowali w katorżniczych warunkach i z całą swoją zniewoloną przez kłamstwo świadomością „wynagradzali" za rzekome zbrodnie wobec państwa. Co do nich sprawdzała się zasada sowieckiego systemu: najpierw duchowo złamać ludzi przez kłamstwo, a dopiero potem odebrać im życie.



Fot. Damian Klamka / EastNews

Polska była jedynym z krajów opanowanych przez Sowietów, ale nie dała się złamać. Nie dała się złamać Sowietom, ale i teraz stawia opór ideologiom genderyzmu i LGBT, mimo potężnej presji.

W czasach komunizmu byliśmy oparciem dla naszych sąsiadów jako naród i jako Kościół. To poczucie wspólnoty doświadczeń ciągle istnieje między nami. Dzisiaj przejawem tej duchowej więzi jest najpierw oświadczenie kardynała Dominika Duki z Pragi, który nie tylko wyraził swoje poparcie dla biskupów polskich, lecz także zaapelował o zajęcie podobnego stanowiska przez biskupów węgierskich i słowackich. Kilka dni temu pojawił się także ważny komunikat o podobnej treści opublikowany przez rzymskokatolickich biskupów Ukrainy. Wszyscy, którzy przez prawie pół wieku żyli pod jarzmem komunistycznym, doskonale wiedzą, czym jest totalitaryzm i tym bardziej mają prawo i obowiązek, aby mu się solidarnie przeciwstawiać we wszystkich jego przejawach.

To ważne stanowisko biskupów z Europy Środkowej, ale są też głosy wsparcia z Polski dla księdza arcybiskupa: abp Gądecki, kard. Dziwisz, abp Hoser, abp Dzięga, abp Michalik, bp Mering i inni.

Trzeba zwrócić uwagę także na jednoznaczne stanowisko, jakie w tej sprawie zabrał pierwszy – jego pismo nosi datę 5 sierpnia tego roku – kard. Zenon Grocholewski z Watykanu. Abp Stanisław Gądecki, który 8 sierpnia podkreślił siłę obecnej ofensywy genderyzmu i LGBT+, zwrócił się jednocześnie z apelem „do władz samorządowych o niepodejmowanie decyzji, które – pod pozorem przeciwdziałania dyskryminacji – skrywałyby ideologię zaprzeczającą naturalnej różnicy płci i komplementarności mężczyzn i kobiet" oraz „do parlamentarzystów, aby oparli się dalekosiężnym planom środowisk LGBT+ polegającym na zmianie polskiego prawa na rzecz wprowadzenia tzw. małżeństw homoseksualnych oraz możliwości adopcji przez nie dzieci". Jest to bardzo ważna wypowiedź, ponieważ nie wyraża ona tylko solidarności z moją osobą, ale domaga się zdecydowanych działań na poziomie zarówno władz samorządowych, jak i państwowych.

Szerokim echem odbiła się wypowiedź dominikanina o. Pawła Gużyńskiego, który wezwał do dymisji księdza arcybiskupa. Czy to, że zakonnik posuwa się do takich zachowań, nie świadczy o dużym kryzysie dyscypliny i lojalności w Kościele? To są rzeczy, które zasługują na określenie „gorszące".

To pokazuje, że także pośród duchownych może dochodzić do pewnego kryzysu tożsamości. Mamy do czynienia z niezrozumieniem, czym jest Kościół – jest on dla każdego katolika Mistycznym Ciałem Chrystusa. Pragnę

eprasa.pl a357259d8c

jednocześnie podkreślić, że kryzys ten nie dotyka jakiejś znaczącej części duchownych. Przeciwnie, docierają do mnie niezwykle liczne wyrazy solidarności, wiem, że wielu księży w parafiach modli się za mnie. Osoby takie jak o. Gużyński są celowo stawiane na piedestale przez niektóre media. Także po to, by stworzyć wrażenie, że istnieje jakieś głębokie pęknięcie obejmujące rzesze duchownych. Tymczasem nie jest to prawdą. Jest to manipulacja, której celem jest – mówiąc językiem Nietzschego – „przewartościowanie wszystkich wartości". W przypadku ideologii gender i LGBT chodzi o przewartościowanie wartości małżeństwa i rodziny.

W swoich wypowiedziach ksiądz arcybiskup ostrzegał przed ideologią LGBT, przed „tęczową zarazą". A jakie jest stanowisko księdza arcybiskupa wobec osób z tzw. środowisk LGBT? Padają zarzuty, że krytykowanie genderyzmu czy LGBT oznacza pogardę wobec tych ludzi.

Odwołam się raz jeszcze do słów poety mówiącego o „zarazie". Jeśli ktoś walczy z zarazą, np. z epidemią dżumy czy cholery, to czy tym samym jest wrogiem tych, którzy na te choroby chorują i znajdują się w niebezpieczeństwie życia? Oczywiście, że nie. W tym kontekście warto przywołać niezwykłą postać dr. Karola Marcinkowskiego, lekarza, wielkiego społecznika, powstańca listopadowego, patrona mojego liceum w Poznaniu. W 1834 r. postanowił wrócić z emigracji do ojczyzny, jednak po przekroczeniu granicy Prus został – jako powstaniec listopadowy – aresztowany i skazany na pobyt w twierdzy w Świdnicy. Zwolniono go po trzech latach, w 1837 r., na skutek starań mieszkańców i władz Poznania, zarówno polskich, jak i niemieckich, ponieważ w ówczesnym Wielkim Księstwie Poznańskim wybuchła epidemia cholery, a on uchodził wtedy za autorytet w walce z tą zarazą. Czy dlatego, że jako lekarz oddał się z wielką ofiarnością walce z cholerą, można go uznać za osobę gardzącą ludźmi, którzy na nią zachorowali? Pytanie czysto retoryczne.

Czy stwierdzenie księdza arcybiskupa w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego o „tęczowej zarazie" było takim „non possumus", wynikającym z rozeznania sytuacji zagrożenia, czy spontanicznym stwierdzeniem? Miał ksiądz arcybiskup świadomość, jakie przez to ściągnie na siebie ataki?

Sytuację zagrożenia współczesnymi ideologicznymi kłamstwami widziałem już stosunkowo dawno, to rozeznanie dojrzewało we mnie od dobrych kilku lat. Nie pierwszy raz ostrzegałem przecież przed ideologią gender i LGBT. Czyniłem to jeszcze w Łodzi, często mówiłem o tym także przy różnych okazjach i w różnych miejscach, na przykład podczas tegorocznej procesji Bożego Ciała na Rynku Głównym w Krakowie.

> Słowo „zaraza" niezwykle trafnie określa problem kulturowy, z którym przychodzi nam się dzisiaj zmagać

Liczni uczestnicy tej uroczystości zareagowali oklaskami, ale medialnej burzy nie było.

Co do samej homilii z 1 sierpnia – podobnie jak czynię to zazwyczaj – nie miałem przygotowanego tekstu, tylko notatki. W odniesieniu do końcowej kwestii, jaką chciałem poruszyć, zapis moich notatek brzmiał następująco: „zmaganie o duszę polskiego narodu trwa – neomarksizm, barwa tęczowa". Samo sformułowanie o „tęczowej zarazie" powstało podczas homilii w kościele Mariackim, jako parafraza słów wiersza poety powstańca. Paradoksalnie okazało się, że słowo „zaraza" niezwykle trafnie określa problem kulturowy, z którym przychodzi nam się dzisiaj zmagać. Przesłanie, które chciałem przekazać, zwłaszcza ludziom wierzącym, narażonym na kłamstwo nowych współczesnych ideologii było niewątpliwie inspirowane słowami poety sprzed 75 lat, Józefa Szczepańskiego ps. Ziutek.

Zarówno działacze LGBT, jak i część tzw. Kościoła otwartego próbują wpisać wypowiedź księdza arcybiskupa w kontekst przedwyborczy, polityczny. Czy to zarzut uczciwy?

Jest to zarzut wysoce nieuczciwy, choćby dlatego, że mówiłem o tych sprawach wielokrotnie wcześniej. W kościele Mariackim, mówiąc o powstaniu warszawskim, chciałem uświadomić wiernym, że ofiara kilkuset tysięcy poległych, ofiara zniszczonego miasta, zobowiązuje nas, współczesnych Polaków, spadkobierców ich poświęcenia i heroizmu, aby przeciwstawiać się zarazie, która chce dzisiaj zawładnąć naszymi sercami i umysłami.

W jaki sposób ludzie dobrej woli, chrześcijanie, katolicy, powinni się przeciwstawiać temu zagrożeniu? Presja, i to na poziomie globalnym, jest ogromna, to wchodzi poprzez popkulturę, rozrywkę, wciska się do szkół, a ci, którzy się przeciwstawiają, są brutalnie atakowani. Jak się bronić?

Na pewno tego problemu nie załatwi się samymi ustawami, choć odpowiednie uregulowania prawne są konieczne. Jest to sprawa wszystkich ludzi, nie tylko wierzących, wszystkich, którzy mają na tyle silne i prawe sumienie, że wciąż im mówi: „Czyń dobro, nie wolno ci czynić zła". Obok dobrze ukształtowanego sumienia ważne jest, aby w sposób racjonalny umieć ocenić zagrożenie wynikające z tych zgubnych dla każdego człowieka ideologii. To dzięki rozumowi człowiek poznaje świat, a w tym jego naturalny porządek. To biologia, a zatem nauka par excellence, stwierdza, że człowiek to albo kobieta, albo mężczyzna i tylko ze związku kobiety i mężczyzny może się zrodzić potomstwo. To jest tak oczywiste, że jeszcze kilka lat temu wydawało się, że nie sposób tego podważyć. Szaleństwo człowieka pozbawionego Boga i odrzucającego rozum okazuje się jednak nie mieć granic.

Dziś to Kościół jest często jedyną instytucją, która broni zdrowego rozsądku.

W tym kontekście encyklika Jana Pawła II „Fides et ratio" z 1998 r. nabiera

eprasa.pl a357259d8c

wymiaru wręcz proroczego. Papież bronił w niej rozumu, choć przecież od czasów oświecenia to właśnie Kościołowi zarzucano, że jest ciemnogrodem, a religia zabobonem. Od publikacji tej encykliki minęło już ponad 20 lat i coraz wyraźniej widzimy, że nie tylko wiara – jak to się działo w minionych wiekach – lecz i rozum są dziś zagrożone. Jestem przekonany, że wciąż są ludzie, którzy w imię rozumu będą bronili prawdy o świecie i człowieku. Paradoksalnie, kiedy w czasach PRL było w naszym kraju tylko kilka szkół katolickich, to właśnie do nich wysyłali swoje dzieci liczni przedstawiciele ówczesnej komunistycznej elity. Wiedzieli z całą pewnością, że w tych placówkach otrzymają one dobrą i gruntowną formację ludzką, prawdziwie humanistyczną.

Dziś też mamy do czynienia z podobnym mechanizmem. Establishment liberalny bardzo chętnie wysyła dzieci do szkół katolickich. Dla ludu trucizna, ale własne dzieci chronimy.

Jeśli tak jest, to można w tym widzieć swego rodzaju głęboki cynizm. Dla ludu chleb i igrzyska, a dla elit rozum i ciągłość władzy.

Jak wobec zagrożenia, o którym rozmawiamy, powinna się zachowywać władza publiczna?

Przede wszystkim powinna mieć odwagę odpowiednio nazwać tę sytuację. Powinna wyraźnie stwierdzić, że jest to zagrożenie dla narodu i dla państwa. Jeżeli tego stwierdzenia nie ma, to w obywatelach może się rodzić poczucie, że ideologia LGBT jest jednym z możliwych fundamentów budowania życia społecznego, gdy tymczasem prowadzi ona do jego destrukcji. Przyzwolenie na tę ideologię byłoby katastrofą dla całego naszego narodu, a w konsekwencji także dla państwa.

Jak w tym kontekście ksiądz arcybiskup ocenia obecną ekipę rządzącą?

Nie sądzę, aby przedstawiciele obecnej władzy nie zdawali sobie sprawy ze skali zagrożeń. Osobiście jestem przekonany, że sama poprawa warunków bytowych większości Polaków, która niewątpliwie nastąpiła w ostatnich czterech latach, nie może rozwiązać podstawowych wyzwań społecznych, z którymi obecnie mamy do czynienia. „Nie samym chlebem żyje człowiek" – mówił Pan Jezus do złego ducha (por. Mt 4, 4), odrzucając jego kłamstwo. Już Dostojewski w „Braciach Karamazow", nawiązując do tych słów, wskazywał, że człowiekowi obok chleba, a nawet ponad chleb, potrzebne są pewne idee, które by niejako niosły jego ducha. Idee oparte na rzetelnej, obiektywnej prawdzie o człowieku, jego naturze i osobowej godności.

Kilka dni temu prezes PiS Jarosław Kaczyński powiedział, odnosząc się do ataku na rodzinę: „To trzeba odeprzeć. Sądzę, że wielu z nas jest wdzięcznych ks. abp. Markowi Jędraszewskiemu za to, że w zdecydowanych i w jednoznacznych słowach ujął ten problem". Jak ksiądz arcybiskup przyjął te słowa?

Jestem wdzięczny za te słowa nie tylko dlatego, że chodzi tu o moją osobę, lecz przede wszystkim dlatego, że pan prezes dostrzegł w tym, co powiedziałem, wielkie i nieustanne zmagania Kościoła katolickiego w Polsce o obiektywne dobro instytucji małżeństwa i rodziny. Tutaj widzę płaszczyznę dobrej współpracy między Kościołem a państwem, tym bardziej że w obecnej konstytucji znajdują się następujące zapisy: „Państwo w swojej polityce społecznej i gospodarczej uwzględnia dobro rodziny" (art. 71) oraz: „Rzeczpospolita Polska zapewnia ochronę praw dziecka. Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją" (art. 72).

Jak w ocenie księdza arcybiskupa wyglądają relacje pomiędzy Kościołem instytucjonalnym a obozem rządzącym? Dzień w dzień opozycja wbija Polakom do głów, że Kościół oraz Prawo i Sprawiedliwość to jedno, choć przecież nie ma to wiele wspólnego z prawdą. Co więcej, łatwiej dziś usłyszeć księdza czy zakonnika wspierającego opozycję i atakującego rząd niż kogoś, kto wspierałby otwarcie politykę obecnych władz. Jeden z księży oklaskiwał nawet słynne wystąpienie Leszka Jażdżewskiego.

Jak czytamy w konkordacie: „Państwo i Kościół Katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju człowieka i dobra wspólnego". Najlepszym, choć jednocześnie trudnym dla katolików wyrazem tej autonomii jest chociażby to, w jaki sposób rządzący podchodzą obecnie do sprawy aborcji. Ale z drugiej strony, jakże nie witać z radością zaangażowania obecnych władz, mającego na celu budowanie solidaryzmu społecznego i stwarzania równych szans rozwoju dla wszystkich obywateli mieszkających w różnych, niekiedy dotąd zaniedbanych gospodarczo regionach Polski? To po pierwsze. A po drugie – już od dawna Kościół głosi, że to przede wszystkim wierni świeccy powinni wdrażać naukę społeczną Kościoła, idąc za głosem swego dobrze ukształtowanego sumienia. Po trzecie, mamy dziś do czynienia z sytuacją nieznaną w naszych dziejach od czasów zaborów, a może nawet i wcześniej, kiedy to zarówno głowa państwa, jak i inni czołowi przedstawiciele nawy państwowej są ludźmi wierzącymi, którzy nie boją się o tym mówić i tego publicznie okazywać. A przecież w ten sposób niektórym się narażają, i w Polsce, i poza nią.

Opozycja oczekiwała od Kościoła nawet nie neutralności, ale wręcz przyłączenia się do nagonki na rząd. Czy nie jest tak, że agresja wobec Kościoła ma swoje źródła w tym rozczarowaniu? Są także pretensje, że Kościół wciąż wychowuje wiernych w duchu patriotycznym.

Wiele środowisk patrzy na Kościół jako swego głównego „przeciwnika ideologicznego" – i to jest tradycja rodem z PRL, wzbogacona o środowiska liberalne. Wrogość ta uwidacznia się szczególnie, gdy podejmowane są dyskusje na temat aborcji czy eutanazji. Paradoks polega natomiast na tym, że te środowiska niekiedy zapominają o swoim „odwiecznym przeciwniku", jakim jest Kościół i żądają od niego, aby towarzyszył im w konkretnych bataliach politycznych przeciwko aktualnemu rządowi. Mamy więc do czy-

eprasa.pl a357259d8c

nienia z próbami otwartej i cynicznej instrumentalizacji Kościoła. Trudno zatem się dziwić, że są rozczarowani jego postawą i że teraz, w okresie wyborczym, w sposób bardzo nasilony dają wyraz swoim frustracjom. Ale, w gruncie rzeczy, czego one od Kościoła oczekują? Braku pamięci o przeszłości i schizofrenii? Natomiast co do patriotyzmu, czyli autentycznej miłości do ojczyzny, to wynika on z IV przykazania Dekalogu. Od Dekalogu Kościół odstąpić nie może. Jego zadaniem jest właśnie uczyć i wychowywać w szacunku do ziemi, z której się wyrosło, narodowej kultury, która już nieraz nas ocaliła, zwłaszcza w czasach zaborów. Niezwykle przejmująco mówił o tym Jan Paweł II w 1980 r. na forum UNESCO w Paryżu.

Czy obecna sytuacja, nasilające się ataki LGBT, stwarzają szansę na pewne pozytywne przesilenie, choćby poprzez mobilizację katolickiej opinii publicznej?

Myślę, że jest szansa na przebudzenie się całego społeczeństwa katolickiego: duchownych i wiernych świeckich. Szczególnie świeccy biorą dziś na siebie ciężar tej walki. Pięknym przykładem może być choćby 15-letni chłopak, Jakub Baryła, który w Płocku stanął z krzyżem w dłoniach naprzeciw tzw. marszu równości. Stawką jest normalność, której niektórzy chcą nas pozbawić. Dziś nie mamy do czynienia z wyborem między „czarną śmiercią" a „czerwoną zarazą", jak w 1944 r. pisał „Ziutek" Szczepański, lecz między normalnością a bardzo niebezpieczną, duchową chorobą. Chodzi o to, by ocalić w sobie autentyczną wolność.

Czy da się głosić teologię, głosić prawdy wiary, podtrzymywać religijność, w momencie zdruzgotania antropologii? Bo religia jest relacją między Bogiem a człowiekiem. Skoro nie mogą zabić Boga, próbują zabić człowieczeństwo. Czy to nie jest właśnie ten diabelski zamysł?

To jest diabelski zamysł, który trwa i jest urzeczywistniany już od pewnego czasu. Zarówno totalitaryzm hitlerowski – brunatny, jak i bolszewicki – czerwony, próbowały zabić człowieczeństwo. Co więcej, oficjalnie głosiły, że będą trwać przynajmniej tysiąc lat. Jednakże tego rodzaju zamysły są skuteczne tylko do czasu. To jest przesłanie, które znajdujemy w książce „Pamięć i tożsamość" Jana Pawła II. Papież wyraźnie stwierdza: jest miara Bożej cierpliwości. Każde zło ma swój kres. Papież pisze też, że system komunistyczny musiał upaść, ponieważ tkwił w nim błąd antropologiczny – wielkie kłamstwo o człowieku.

Ale paru pokoleniom zniszczyło jednak życie. Tak może być i tym razem.

Tak może, niestety, być. Ideologie gender i LGBT są także wielkim błędem antropologicznym, szalenie niebezpiecznym. W komunizmie, dzięki Kościołowi, dzięki ludziom niezłomnym, jednak się ostaliśmy. I była w ludziach ciągle ta nadzieja, którą wyraził „Ziutek" Szczepański, pisząc: „Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły/ Nowa się Polska – zwycięska – narodzi/ i po tej ziemi ty nie będziesz chodzić/ czerwony władco rozbestwionej siły". Oczywiście, zawsze jest pytanie, kiedy to się stanie i za jaką cenę. Dziś jeszcze nie ulegliśmy, jeszcze walczymy, zmagamy się. Ale kto powiedział, że przegramy?

> Szaleństwo człowieka pozbawionego Boga i odrzucającego rozum okazuje się nie mieć granic

To, że dochodzi do takich zdarzeń jak „podrzynanie gardła" kukle z przyczepionym zdjęciem księdza arcybiskupa, pokazuje, jak wielka jest skala nienawiści środowisk, którym przeciwstawił się ksiądz arcybiskup.

To zdarzenie jest potwierdzeniem słów, które 1 sierpnia wypowiedziałem w kościele Mariackim w Krakowie: „Doświadczamy paradoksu, który tak bardzo trafnie uchwyciło społeczeństwo rzymskie antycznych czasów, kiedy potęga Cesarstwa była wznoszona na jego prawie. Wtedy właśnie powstało powiedzenie: Summum ius, summa iniuria – »gdzie jest najwyższe prawo, tam bardzo często mamy do czynienia z najwyższą niesprawiedliwością«". Nawiązując do tego powiedzenia, powtórzę to, co mówiłem wczoraj na Jasnej Górze: „Największa tolerancja to zarazem szczyt nietolerancji. Na ustach tych, którzy głoszą wszem wobec tolerancję, pojawiają się przemoc, poniżanie, szyderstwo z najświętszych znaków: z Najświętszego Sakramentu, z Matki Bożej Częstochowskiej, z Przenajświętszej Dziewicy, a ostatnio także z symbolu Polski Walczącej". Pozostaje wszakże przesłanie, którym zakończyłem tę homilię: nie wolno nam się poddawać, trzeba wiernie, krok po kroku, iść naprzód z orędziem prawdy o człowieku stworzonym na Boży obraz i Boże podobieństwo.

Nie waham się stwierdzić, że te słowa księdza arcybiskupa: „Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąca opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa", przejdą do historii. Siła ataku jest jednak tak wielka, że niektórzy pytają, czy nie złamią księdza arcybiskupa? Czy nie wygrają ci, którzy otwarcie atakują, lub ci, którzy po cichu intrygują?

Zwycięstwo należy do Jezusa Chrystusa, który powiedział do swoich uczniów: „Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat" (J 16, 33). Kościół, którego Głową jest Chrystus, od samego początku głosi ewangeliczną prawdę o człowieku i jego osobowej godności. Pasterze Kościoła nie mogą milczeć, gdy ta prawda jest negowana. Tym bardziej że jest to prawda uniwersalna, która nikogo nie wyklucza, ale każdego człowieka prowadzi ku pełni jego człowieczeństwa – także tego człowieka, który jeszcze nie zna Pana Boga lub który się od Niego odwrócił. Bo z całą pewnością bogaty w miłosierdzie Bóg czeka na każdego.

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Stefan Maszewski/REPORTER

Pakt opozycji

W 1989 r. mieliśmy do czynienia z Sejmem kontraktowym, w którym odgórnie ustalono liczbę miejsc dla strony PZPR-owskiej. 30 lat później totalna opozycja zawarła pakt, w którym dzieli jednomandatowe okręgi wyborcze do Senatu wedle partyjnych porozumień – chce wystawiać tylko po jednym kandydacie, by pokonać PiS. Plan jednak ma małe szanse powodzenia



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

30 lat temu przy „okrągłym stole" politycy zarezerwowali 65 proc. miejsc w Sejmie dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej przybudówek. Nie wiemy, jakiego kształtu był stół, przy którym się dogadywali przedstawiciele obecnej opozycji, ale dokonali równie precyzyjnego podziału. Jak na ironię, jakby dla podtrzymania analogii z tchórzliwym kompromisem 1989 r. przed kamerą portalu dziennika „Rzeczpospolita" ustalenia tzw. paktu senackiego ogłosił Tadeusz Zwiefka, kandydat na posła z ramienia PO, onegdaj gorliwy pracownik PRL-owskiej telewizji. 80 miejsc na 100 na listach wyborczych w jednomandatowych okręgach wyborczych ma przypaść Koalicji Obywatelskiej, a pozostała pula ma być rozdzielona pomiędzy Lewicę i PSL z kukizowcami. W ten sposób opozycja chce odebrać Zjednoczonej Prawicy Senat – bez względu na różnice programowe, korzenie ideowe i personalne spory. I jak tu nie nazywać ich totalnymi?

POLITYKA TO NIE JEST ZWYKŁE DODAWANIE

Z arytmetycznego punktu widzenia plan jest prosty. Wybory do Senatu odbywają się w jednomandatowych okręgach wyborczych, a więc tylko jeden z kandydatów w JOW zasiądzie w izbie wyższej parlamentu. Środowiska lewicowo-liberalne z góry założyły, że to Prawo i Sprawiedliwość ma miażdżącą przewagę w wyborach, więc wystawienie po kilku kandydatów rozdrobni głosy antypisu i pozwoli Zjednoczonej Prawicy zwiększyć przewagę. Pierwszy sygnał, że opozycja chce przejąć Senat w ramach przedwyborczego kontraktu, wyszedł już jesienią 2018 r. ze strony Marka Borowskiego. Plan zatwierdził główny organ antypisu ustami Jarosława Kurskiego: „Senat jest do wygrania – mówił zastępca redaktora naczelnego »Gazety Wyborczej« w marcu tego roku. – Matematycznie oni wygrają Sejm, ale mając blokujący głos Senatu, nie będą w stanie realnie rządzić. Ale trzeba pozwolić im rządzić". Publicysta przekonywał, że nie uda się przejąć władzy oraz że hamulcowym odzyskiwania III RP byłby Andrzej Duda.

Jednak optymizm opozycji jest zdecydowanie przedwczesny. Głosy wyborców nie sumują się po dogadaniu się przez polityków. Niekoniecznie zwolennicy PO poprą PSL-owskiego barona Waldemara Pawlaka we Włocławku, a centrowi wyborcy z Płocka nie będą ochoczo głosowali na byłego PZPR-owca i członka SLD – Jerzego Wenderlicha.

SENAT W TYCH SAMYCH RĘKACH

Prof. Antoni Dudek, politolog i znawca najnowszej historii Polski, nie wróży paktowi senackiemu sukcesu: – Partia, która zwycięża w wyborach do Sejmu, zawsze uzyskuje samodzielną większość w Senacie – mówi naukowiec tygodnikowi „Sieci". – Dodajmy do tego fakt, że PiS nadal prowadzi w sondażach, więc jeśli nie wydarzy się naprawdę poważna afera, to prawica w Senacie utrzyma swoją przewagę – dodaje.

eprasa.pl a357259d8c

Podobnie uważa inny politolog, prof. Kazimierz Kik: – Tzw. pakt senacki nic nie zmieni, PiS i tak wygra w Senacie – mówi tygodnikowi „Sieci". – Opozycja może się łączyć wedle najróżniejszych konfiguracji, a PiS i tak może być spokojne o ok. 57 miejsc w izbie wyższej – komentuje. Prof. Kik wskazuje, że ewentualnie na Pomorzu czy w Lubuskiem głosy antypisu mogą się zsumować i kandydaci opozycji mogą zwiększyć swoją przewagę w poszczególnych okręgach. – Ale tam i tak by wygrali, nawet gdyby o mandat ubiegało się wielu kandydatów – konstatuje profesor.

Prof. Dudek wskazuje, że mimo wszystko dla opozycji to dobry znak, że potrafiła się zjednoczyć w obrębie wyborów do Senatu: – Wyborcy opozycji oczekiwali takiego porozumienia. Jednocześnie przypomina, że w niektórych okręgach walka może się odbyć nie tyle na szyldy partyjne, ile na osobowości. – Bardzo ciekawym kandydatem PiS jest Krzysztof Mazur z Krakowa – twierdzi politolog. – Choć stolica Małopolski jest bardziej za PO niż za PiS, to jednak Mazur jest tam rozpoznawalny, jest nauczycielem akademickim, jest młody i dynamiczny.

To zresztą typowe dla ordynacji JOW, w której w trudnych okręgach partia wystawia „wojowników", którzy może mają mniejsze szanse na zwycięstwo, ale pokazują swoją determinację i sprawność organizacyjną. – Młody Mazur może nas zaskoczyć – przekonuje prof. Dudek.

Ale PiS nie odpuściło także wielu innych okręgów. W Warszawie do walki z Aleksandrem Pociejem stanie szanowany lekarz i urolog prof. Piotr Radziszewski, drugim kandydatem w Krakowie będzie prof. Jan Duda, ojciec urzędującego prezydenta, a w Katowicach z Markiem Plurą (KO) zmierzy się Bronisław Korfanty – bliski krewny bohatera powstań śląskich.

OPOZYCJA PRZETASOWANA – I CO Z TEGO?

Prof. Kik inaczej patrzy na zawarcie paktu. – Umowa, w której komitety nie wystawiają swoich kandydatów, bo ich liderzy się dogadali, jest w pewnym sensie instrumentalizacją polityki – twierdzi politolog.

Dlaczego jednak plan ma małe szanse powodzenia? – Inżynieria polityczna nie zastąpi prawdziwej wyborczej walki. Zwłaszcza że opozycja jest jak ziemia bez króla – śmieje się profesor. Odwracając sens średniowiecznego przydomka „król bez ziemi", politolog przekonuje, że opozycja dysponuje różnymi zasobami, ale bez prawdziwego lidera ma marne szanse na zwycięstwo.

Kik wskazuje na jeszcze jeden atut PiS, o którym do tej pory nikt nie wspominał. – Pakt senacki może wręcz zwiększyć przewagę Zjednoczonej Prawicy. Przecież obecna władza jest jednolita, dysponuje rozpoznawalnymi politykami, nie jest – w przeciwieństwie do opozycji – skłócona ani różnorodna ideowo. Cała gama takich drobnych przewag PiS może się okazać kluczowa przy urnach wyborczych, zwłaszcza w porównaniu z opozycją i jej nieustannymi przetasowaniami – konkluduje politolog.

Gdy prof. Kik przekonywał, że opozycja zanadto zajmuje się walką o miejsca na listach, w tym samym czasie kilku polityków PSL kwestionowało sens paktu senackiego. 20 i 21 sierpnia ludowcy przekonywali w mediach, że chcą iść oddzielnie. Poseł PSL Piotr Zgorzelski stwierdził w radiowej „Jedynce", że jego partia nie zgodzi się na deal wokół Senatu, członek rady naczelnej tej partii Marek Kos potwierdzał to w rozmowie z TVP Info, a w Polskim Radiu o tym samym zapewniał inny działacz partyjny – Andrzej Grzyb. Wiele wskazuje na to, że PSL chce postawić opozycję pod ścianą i wymusić dodatkowe ustępstwa w poszczególnych okręgach wyborczych. A więc na siedem tygodni przed wyborami obóz antypisu nadal nie ma sensownej strategii na grę o władzę. W dodatku nieco wyborców odbiorą mu Bezpartyjni Samorządowcy, którzy chcą wystawić swoich kandydatów. Ten ruch polityczny zabiega głównie o liberalny elektorat, w dodatku najwięcej zwolenników ma w rejonach tradycyjnie platformerskich – na Pomorzu Zachodnim czy w województwie dolnośląskim. Przed opozycją piętrzą się więc kolejne przeszkody – i to na tym polu, gdzie antypis wróżył sobie największe szanse na sukces.

WIELE ZACHODU O NIC

A gdyby opozycja jakimś cudem wygrała Senat? Izba wyższa parlamentu jest w Polsce nazywana „mniejszym Sejmem", zgromadzeniem o mniejszym znaczeniu. Jeśli Senat zawetuje jakąś ustawę zaproponowaną przez Sejm, to Sejm nadal może ją przeforsować – wystarczy do tego bezwzględna większość głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Czyli cały trud senatorów „kontraktowych" będzie mogła zniwelować partia rządząca.

Zatem jeśli spełniłby się plan marzeń opozycji, to jedyną korzyścią mogłoby być wydłużanie procesu legislacyjnego. Senat mógłby odrzucać propozycje Sejmu i procedowanie nad nowymi ustawami by się przedłużyło – ale nie zmieniłoby wyniku politycznych zabiegów.

W obecnej totalnej retoryce i oskarżeniach wobec PiS o autorytaryzm taka formuła na pewno przyjęłaby rolę obstrukcji z mocnym akcentem propagandowym, jednak nie zatrzymałaby walca zmian. Jeszcze 21 sierpnia redaktor „Gazety Wyborczej" Paweł Wroński apelował, by zwiększyć stawkę i nie koncentrować się tylko na Senacie („Opozycja musi grać o pełną pulę"), ale wołania publicysty na kilka tygodni przed wyborami są mocno spóźnione.

NAPOLEONAMI TO ONI NIE SĄ

Wynika z tego, że przez niemal cały rok jedyna strategia, jaką opracowała opozycja, to podzielenie między siebie jednomandatowych okręgów wyborczych w zmaganiach o Senat. Nawet jeśli jakimś cudem plan się powiedzie, to nie przyniesie on władzy ludziom Schetyny czy Czarzastego, ale jedynie opóźni niektóre reformy Zjednoczonej Prawicy. Z planów wielkiej koalicji, o której tyle rozprawiał Grzegorz Schetyna, zostało marzenie o kontraktowym Senacie i spory z politykami PSL o kilka stołków w izbie wyższej. Wokół tego nie ma żadnej dyskusji programowej, żadnej wspólnej wizji państwa czy ogólnokrajowej polityki – jest tylko marzenie o odsunięciu PiS od władzy. Jak na siedem politycznych partii (PO, .N, PSL, Wiosna, SLD, Razem, Zieloni), tysiące polityków w całym kraju, lewicowo-liberalne salony dużych miast i gwiazdy niektórych prywatnych mediów to strategiczny urobek totalnej opozycji przedstawia się nadzwyczaj marnie.

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Piotr Molecki/East News

Senat w roli głównej

Przy pewnej koincydencji zdarzeń Senat mógłby po raz pierwszy zyskać szansę na odegranie pierwszoplanowej roli w polskiej polityce



JAN ROKITA

Taką możliwość otwiera w każdym razie sierpniowe porozumienie wyborcze pomiędzy PO, Lewicą i PSL. Co prawda pod koniec sierpnia 2019 r. nadal za prognozę najbardziej realistyczną trzeba uznać październikowe zwycięstwo PiS i bezwzględną większość partii Jarosława Kaczyńskiego w obu izbach na następne cztery lata. Jednak fakt, iż w końcu narodził się, choć w przewlekłych bólach, tzw. opozycyjny pakt wyborczy do Senatu, otwiera hipotetyczny horyzont przedarcia się izby wyższej do wielkiej polityki, po 30 latach wegetowania na jej marginesie. Bo politycznie marginalna okazała się przecież nawet rola pierwszego Senatu, tego z 4 czerwca 1989 r., który był pierwszą i jedyną wówczas demokratycznie wybraną reprezentacją narodu. Wyszła wtedy z tego gremium raptem jedna ważna ustrojowa inicjatywa, czyli reforma gminna 1990 r., która przez całe następne 30 lat pozostała jedynym faktem, jakim Senat zapisał się w polskiej najnowszej historii. I to jak dotąd wszystko.

„Senacki pakt", jak wbrew protestom zezłoszczonych działaczy PSL nazwano w mediach porozumienie trzech partii opozycyjnych, stworzył sytuację, w której możliwy jest taki rezultat październikowych wyborów, który dawałby bezwzględną przewagę w izbie poselskiej PiS, zaś w izbie senatorskiej opozycji. Czyli sprawił, iż jeden z realistycznych powyborczych scenariuszy musi zakładać kohabitację walczących z sobą na śmierć i życie obozów politycznych. Powtórzmy: nie jest to na razie najbardziej realistyczny scenariusz, ale taki, który w obecnych okolicznościach może się zdarzyć, więc dlatego warto poddać go bliższej analizie.

Dopóki można było przypuszczać, że partie opozycyjne będą z sobą rywalizować o głosy wyborcze w obu izbach, należało rozsądnie prognozować ich wielce prawdopodobną porażkę. D'Hondt w Sejmie, jako metoda przydzielania mandatów partiom, oraz system większości względnej w Senacie – byłyby tutaj ze wszech miar decydujące. Nowość sytuacji po sierpniowym „pakcie" polega na tym, iż we wszystkich albo niemal we wszystkich jednomandatowych okręgach wyborczych do Senatu opozycja rezygnuje z konkurencji o głosy, nie wystawiając w 80 okręgach konkurentów wobec nominatów PO, w 14 – wobec nominatów PSL, zaś w 6 – wobec nominatów Lewicy. Nawet jeśli wobec krnąbrności PSL, które jak ognia chce uniknąć posądzenia o powtórne wyborcze wiązanie się ze Schetyną i Biedroniem, tu i ówdzie ów „pakt" zostałby złamany, to i tak nie zmieniłoby to zasadniczego kształtu senackiej kampanii, która po stronie opozycji ma być wzajemnie niekonkurencyjna.

Oczywiście taki model paktu nie jest najmocniejszym możliwym sposobem wspólnego wystąpienia w wyborach przez trzy partie. Dla globalnego wyniku opozycji w Senacie byłoby lepiej, gdyby partie zawiązały wspólny komitet wyborczy, nadały mu jednolitą nazwę i wezwały swoich zwolenników do okazania partyjnej lojalności wobec wspólnie przedłożonej listy 100 kandydatów. Tak się nie stało, a to na skutek licznych animozji, jakie pomiędzy szefostwem PO, Lewicy i PSL zrodziły się po przegranych wyborach europejskich i rozpadzie wówczas utworzonego bloku. Obecne porozumienie to w istocie tylko coś na kształt „paktu o niekonkurencyjności i nieagresji", który bynajmniej nie skłoni aktywu trzech partii do czynnego wspierania jedynego kandydata opozycyj-

eprasa.pl a357259d8c

nego w okręgu. Wobec licznych i emocjonalnych konfliktów pomiędzy działaczami łatwo przewidzieć, iż – powiedzmy – antyreligijni aktywiści Lewicy z Ursynowa i Wilanowa nie uznają za „swojego" kandydata byłego pisowskiego ministra Kazimierza Ujazdowskiego, a z kolei działacze PO z Płocka niekoniecznie zaangażują się w kandydaturę ikony peeselowskiej nomenklatury, jaką jest były premier Waldemar Pawlak. To tylko przykłady, podczas gdy realnych konfliktów tego rodzaju może być w kampanii bardzo dużo. A każdy z nich będzie demobilizować wyborców i tak przecież mało skłonnych do oddawania swego głosu na polityków partii, z którymi albo nie czują emocjonalnych więzi, albo nawet wobec których czują niechęć bądź abominację. Znamiennie realistyczne są tu deklaracje szefa SLD Włodzimierza Czarzastego z wywiadu dla portalu OKO.press. Wspólna promocja kandydatów? „Nie sądzę". Jakaś wspólna konferencja prasowa? „Nie spodziewam się". Wspólne zdjęcie? „Wykluczone".

Niemniej jednak sam fakt braku opozycyjnej alternatywy musi zwiększyć szanse na zyskanie wymaganej ordynacją względnej większości przez tego, który będzie jedynym antypisowcem w okręgu. I gdyby się tak zdarzyło, że w efekcie to opozycja przekroczy liczbę 50 mandatów w Senacie, kohabitacja ustawodawcza pomiędzy dwiema izbami zaczęłaby się zapewne od kryzysu i paraliżu legislacyjnego. Tyle tylko, że taki paraliż i przeciąganie liny przez każdą ze stron są możliwe tylko na krótką metę. Po paru tygodniach musiałoby zapewne dojść do jakiegoś rozjaśnienia sytuacji. A wtedy każdy z możliwych scenariuszy musiałby się wiązać z zaskakującym przeniesieniem (przynajmniej na jakiś czas) punktu ciężkości całej polskiej polityki do izby senatorskiej.

Można założyć, że wysiłek PiS skoncentrowałby się z początku na próbach zbudowania swoistych „personalnych koalicji" z poszczególnymi senatorami opozycyjnymi, którzy pozwoliliby rządowi na skuteczne przeprowadzanie przez parlament swoich projektów ustaw. Mogłoby to zaowocować różnymi znanymi z praktyki politycznej sytuacjami, jak np. obejmowanie przez opozycyjnych senatorów wysokich stanowisk państwowych, być może nawet w samym rządzie, czy też przydzielaniem dobrze płatnych posad w państwowym biznesie dla współpracowników owych senatorów (co zbliża się do politycznej korupcji). Najbardziej interesująca dla PiS mogłaby się tutaj okazać część senatorów PSL, dla których w opozycyjnym „pakcie" (jak informowała Katarzyna Lubnauer) zarezerwowano aż 14 ze 100 okręgów. Zapewne PSL, które w dotychczasowym Senacie ma tylko jeden mandat (matematyka i profesora Józefa Zająca z Chełma, figury zatem dość nietypowej dla tej partii), nawet połowy z owych 14 „rezerwacji" i tak nie uda się wygrać. Ale nawet nieliczna, kilkuosobowa grupa senatorska tej formacji mogłaby odegrać istotną rolę w ukształtowaniu politycznych warunków skutecznej legislacji, jakie musiałby zaakceptować rząd i PiS. Paradoksalnie to właśnie owo nieliczne grono mogłoby przynajmniej do jakiegoś stopnia urzeczywistnić przesadne aspiracje Władysława Kosiniaka-Kamysza, rysującego iście napoleońską wizję potęgi partii i decydowania przez nią o kształcie przyszłego obozu władzy.

> Możliwy jest taki rezultat październikowych wyborów, który dawałby bezwzględną przewagę w Sejmie PiS, w Senacie zaś opozycji

O wiele ciekawszy politycznie byłby inny, poważniejszy scenariusz, wymuszający dłuższy okres (może nie całej czteroletniej kadencji) ustawodawczej kohabitacji nienawidzących się PiS i PO. Tak musiałoby się stać wówczas, gdyby wygrała twarda partyjna dyscyplina, wymuszająca pełną zwartość senackich szeregów po stronie zarówno przyszłej władzy, jak i opozycji. Szefostwo PiS zdaje się świadome wyjątkowego znaczenia przyszłej dyscypliny w Senacie, na co wskazuje pozbywanie się senatorów okazujących dotąd pewną samodzielność myślową i polityczną (jak np. rzeszowskiego senatora i byłego rektora uniwersytetu Aleksandra Bobki). Także po stronie PO widać trend do zdominowania reprezentacji senackiej przez zależnych od kierownictwa partii i z reguły posłusznych funkcjonariuszy partyjnych. A nie bywało tak bynajmniej w przeszłości, gdy PO lubiła wystawiać na mandaty senatorskie intelektualistów czy celebrytów. Najciekawiej kwestia dyscypliny może wyglądać po stronie PSL, stowarzyszonego nie tylko z Pawłem Kukizem, lecz także z różnej maści odszczepieńcami partyjnymi, o rozmaitych politycznych doświadczeniach i przekonaniach. Raczej więc należy wątpić, czy szef partii Kosiniak-Kamysz będzie mieć realną moc trzymania w garści nawet jakiejś bardzo małej liczebnie reprezentacji PSL w Senacie. Bardziej prawdopodobne, iż owa hipotetyczna mała grupka senatorów dyktowałaby raczej swoje warunki partii, która ich wyznaczyła na kandydatów.

W każdym razie, gdyby opozycyjne partie wykazały się pełnym panowaniem nad swymi senatorami, wówczas tylko fundamentalne układy między PiS i kierownictwami partii opozycyjnych mogłyby umożliwić parlamentowi i rządowi jakie takie normalne funkcjonowanie. Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie w ogóle taką sytuację wyobrazić, gdy – powiedzmy – Kaczyński i Schetyna muszą wytworzyć wspólny mechanizm konsultacyjny, umożliwiający uchwalanie ustaw przez parlament. Ale w polityce jest tak właśnie, że to obiektywne warunki brzegowe mogą wymuszać całkowite zmiany partyjnych (a także państwowych) strategii. Jeśli nawet bośniaccy Serbowie i Muzułmanie zostali przez okoliczności zmuszeni do wspólnego uchwalania praw swojego kraju, to tym bardziej twarde fakty mogłyby zmusić do tego pisowców i platformersów. Zapewne oznaczałoby to jeszcze po drodze wiele kryzysów politycznych i zawirowań wokół polskiego parlamentu. Ale z punktu widzenia tych, którzy naprawdę uważają, iż polski interes państwowy wymaga obniżenia poziomu politycznego konfliktu, taki rozwój zdarzeń mógłby nieść zaskakujące, ale niekoniecznie złe perspektywy polityczne na przyszłość.

eprasa.pl a357259d8c

Polityka z Mrożka

Polska scena polityczna może po jesiennych wyborach przejść wielkie oczyszczenie. Najbardziej ucierpią Kukiz'15, Wiosna oraz Partia Razem



STANISŁAW JANECKI

Gdyby rok temu Paweł Kukiz, Robert Biedroń i Adrian Zandberg mogli się przenieść w czasie i posłuchać tego, co mówią dziś, uznaliby to albo za fałszerstwo, albo za coś, co nie może się zdarzyć. A już Paweł Kukiz, zabawiający działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego piosenką „Miasto budzi się" (z projektu Yugopolis & Paweł Kukiz), fetowany przez nich i obściskujący się z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, uznałby zapewne swój występ za jakiś projekt z użyciem holografii.

Polska polityka w czasie wakacji 2019 r. funkcjonuje tak, jakby była alternatywną rzeczywistością czy światem równoległym, choć to wszystko dzieje się w świecie i okolicznościach dobrze nam znanych. Albo w świecie znanym z literatury bądź filmu, gdzie można się spodziewać nawet najbardziej absurdalnych i nieprawdopodobnych zwrotów akcji. W tym sensie można by powiedzieć, że konstrukcja polskiej polityki jest obecnie najbliższa powieści peruwiańskiego noblisty Mario Vargasa Llosy „Ciotka Julia i skryba". Albo filmu Davida Finchera „Gra" (z Michaelem Douglasem), gdzie mistrzowsko rozegrano „wkręcanie" głównego bohatera w alternatywną rzeczywistość.

A najbardziej opozycyjna scena polityczna przypomina rzeczywistość ze sztuk Sławomira Mrożka, poczynając od „Policji" (1958), gdzie wszystko jest postawione na głowie, a gdy ostatni przeciwnik policyjnego państwa podpisuje lojalkę, sama policja musi produkować przeciwników ustroju, a kończąc na „Karnawale, czyli pierwszej żonie Adama" (2013). Szczególnie ta ostatnia sztuka wybitnego polskiego dramaturga (np. w znamiennej, choć niezbyt udanej inscenizacji Jarosława Gajewskiego w warszawskim Teatrze Polskim), gdzie wszyscy wszystkich zdradzają w farsowo-kabaretowej atmosferze, dobrze oddaje ducha polskiej polityki tego lata.

Z NÓG NA GŁOWĘ

Jeszcze kilka tygodni temu dla Pawła Kukiza nie było w polskiej polityce nic bardziej systemowego, establishmentowego, zakłamanego, obrotowego i stanowiącego istotę III RP jak Polskie Stronnictwo Ludowe. Epitety w rodzaju „zorganizowana grupa przestępcza" były tylko wisienką na



torcie w charakterystyce PSL jako najbardziej typowej partii w zgniłym systemie politycznym III RP.

Jeszcze kilka miesięcy temu dla Adriana Zandberga nie było nic bardziej postkomunistycznego, moralnie zdyskredytowanego, ideowo załganego, historycznie skompromitowanego jak Sojusz Lewicy Demokratycznej z Włodzimierzem Czarzastym jako jego liderem. Jeszcze kilka miesięcy temu były sekretarz generalny SLD Krzysztof Gawkowski uciekał do ugrupowania Wiosna Roberta Biedronia, gdyż (podobnie jak lider nowej partii) uznawał Sojusz za formację schyłkową, gnijącą, anachroniczną, sklerotyczną, historycznie przegraną i ideowo zdelegitymizowaną. I w tym politycznym świecie z jednej strony przypominającym „wyczerpanie" i „zmierzch" z najgłośniejszej pracy niemieckiego filozofa i historyka Oswalda Spenglera „Zmierzch Zachodu. Zarys morfologii historii powszechnej" (1918–1922), z drugiej zaś „płynną ponowoczesność" z prac Zygmunta Baumana z lat 90. XX w., tylko lider SLD Włodzimierz Czarzasty potrafił czekać, aż rewolucyjno-ponowoczesne ukąszenie przejdzie Zandbergowi i Biedroniowi, deklarując, że obu „kocha" i jest otwarty na współpracę. Podobne, choć mniej ostentacyjne w kategoriach miłości, deklaracje składał prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, otwarty „na centrum", a nie lewicę – jak w przypadku Czarzastego.

Paweł Kukiz potrzebował około pięciu lat, żeby stać się politykiem pląsającym między działaczami PSL, przyjmującymi i fetującymi go jak swego, czyli żeby wejść w system, który zwalczał od czasu złożenia pierwszych politycznych deklaracji kilkanaście lat temu. Zabawne jest przy tym powoływanie się na porozumienie programowe PSL i Kukiz'15, w którym partia Kosiniaka-Kamysza przyjmuje podstawowe postulaty ruchu Kukiza (JOW, referenda, poszerzenie biernego prawa wyborczego, instytucja sędziów pokoju). PSL może zaabsorbować każdy postulat Pawła Kukiza i nie tylko jego ugrupowania, żeby pokazać swoją centrowość i chadeckość, tylko w praktyce to zupełnie nic nie znaczy, bo – jak wiemy – papier wszystko przyjmie.

Adrian Zandberg potrzebował około czterech lat, żeby zapomnieć o swoich korzeniach (przynajmniej z deklaracji) identyfikowanych z kręgami „niepodległościowych socjalistów", czyli PPS z czasów międzywojnia (Ignacego Daszyńskiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Mieczysława Niedziałkowskiego czy Norberta Barlickiego) i wojennych (Kazimierza Pużaka, Adama Ciołkosza czy Antoniego Pajdaka) i wejść w sojusz z postkomunistami. Czyli, oczywiście w mniejszej skali i bez porównywalnego politycznego znaczenia, zrobił coś, co kadłubowa PPS zrobiła w grudniu 1948 r., łącząc się z prosowiecką, komunistyczną Polską Partią Robotniczą. A Robert Biedroń potrzebował zaledwie kilku miesięcy, żeby inność i odrębność swojej Wiosny (już sama nazwa miała wskazywać na nową jakość) sprowadzić do pustych sloganów i znaleźć się po tej samej stronie, a właściwie nawet wewnątrz postkomunistycznej formacji, z którą miał nie mieć nic wspólnego.

> Wyborcy czy sympatycy opozycyjnych partii i koalicji nie nadążają za woltami politycznych liderów. Mają je przyjmować i nie narzekać. Co myślą, gdy Paweł Kukiz opiewa PSL jako ostoję politycznej niezależności i bezkompromisowości, zobaczymy wkrótce

Już wcześniej, bo w 2018 r., podobny manewr jak w wypadku Wiosny i Partii Razem zrobiła Nowoczesna pod wodzą Katarzyny Lubnauer, która miała być (w ramach projektu firmowanego przez Ryszarda Petru) nie tylko odtrutką na Platformę Obywatelską, lecz wręcz jej zaprzeczeniem, choć pozostając w obrębie liberalnego paradygmatu. O jeszcze większej wolcie ideowej można mówić od 2018 r. w wypadku skrajnie lewicowej Inicjatywy Polska Barbary Nowackiej, która została łatwo wchłonięta przez Platformę Obywatelską, choć kadrowo było to ugrupowanie wyłącznie kanapowe.

Do pełnego obrazu dodać trzeba kolejne transformacje prawicowego (deklaratywnie) politycznego tworu zwanego Konfederacją, gdzie wszystko z wszystkim da się złożyć, a potem rozłożyć. Gdzie każdego polityka można przytulić, a następnie wykopać w imię tych samych racji. Gdzie jedynym spoiwem wydaje się obecnie konglomerat prorosyjskości oraz antyamerykanizmu – w imię obrony Polski przed żydowskimi roszczeniami, będącymi pierwszym krokiem do pozbawienia polskiego państwa suwerenności oraz podmiotowości.

ROBIENIE WARIATA

Mniejsza z tym, że opozycyjne ugrupowania, które jeszcze kilka miesięcy temu przedstawiały siebie jako nową jakość polskiej polityki, po kolei stają się częścią tego, co miały zwalczać. Najważniejsze jest to, że te ugrupowania kompromitują, a właściwie negują takie kategorie jak wiarygodność, przewidywalność, odpowiedzialność czy zaufanie.

Latem 2019 r. doszło do sytuacji, w jakiej polska polityka nie była przez ostatnie 30 lat. Nigdy wcześniej partie tak bardzo i tak otwarcie nie kpiły z własnych wyborców, tak często nie robiły im wody z mózgu, a partyjni działacze i liderzy nie robili z siebie pośmiewiska na taką skalę. Znamienne są obrazy z ostatnich miesięcy i tygodni. Choćby uścisk Kukiza i Kosiniaka-Kamysza w stylu „niedźwiedzia" Leonida Breżniewa i Ericha Honeckera na tle rozentuzjazmowanej sali (z wyjątkiem zdystansowanego byłego premiera Waldemara Pawlaka). Choćby przeradosne wspólne fotki liderów lewicy, gdzie na kilometr widać fałszywe uśmiechy i wiszące w powietrzu pytanie, kto pierwszy odegra rolę Brutusa. Choćby trudne do zapamiętania kolejne konfiguracje personalne Konfederacji przesuwające się przed mikrofonami ustawionymi w Sejmie i zapewniające, że to już wersja ostateczna. Choćby zapewnienia polityków Koalicji Europejskiej,

Fot. Stefan Maszewski / REPORTER

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

że to związek równych, choć wszyscy widzą, że Grzegorz Schetyna robi, co chce, a koalicjanci nie mają cienia tych przywilejów, jakie PZPR zapewniała ZSL, a nawet różnym kanapowym związkom katolików świeckich.

Wyborcy czy sympatycy poszczególnych partii i koalicji nie nadążają za woltami politycznych liderów, którzy nawet się nie starają tych skoków w bok wytłumaczyć. Wyborcy mają je przyjmować z całym dobrodziejstwem inwentarza i nie narzekać. Choć pewnie nic nie rozumieją z tego, gdy Paweł Kukiz opiewa PSL jako ostoję politycznej niezależności i bezkompromisowości. Choć mogą się zgubić, gdy Władysław Kosiniak-Kamysz, teraz konserwatywny chadek, jeszcze 3 maja oklaskiwał libertyna Leszka Jażdżewskiego, a wcześniej przez lata nie przeszkadzała mu współpraca z lewicą. Dla wielu wyborców nie jest to przejaw niezbędnej w polityce elastyczności, lecz satyra z zasad i stałości w polityce.

Liderzy wiedzą, że w łączeniu wszystkiego z wszystkim nie chodzi o kolejny etap historycznej syntezy w stylu Hegla, lecz o to, by w ogóle przetrwać, by być w Sejmie. Gdy sondaże dawały Wiośnie kilkanaście procent poparcia, propozycje Włodzimierza Czarzastego, by rozmawiać o współpracy, były kwitowane wybuchami śmiechu i wielką porcją kpin. Podobne nastroje panowały w Partii Razem, nawet gdy nie przekraczała progu, ale mogła liczyć na ponad 3-procentowe poparcie, gwarantujące budżetowe finansowanie. Zawrót głowy w podobnym stylu dotyczył także ruchu Kukiz'15, gdy poparcie dla niego oscylowało na poziomie 10 proc. Gdy jednak zajrzało im w oczy widmo klęski i wyeliminowania najpierw z parlamentu, a potem z polityki w ogóle, żarty się skończyły, a zaczęły się schody, czyli nagle stali się koncyliacyjni i skłonni do zawierania koalicji. Tyle tylko, że to wszystko dotyczy politycznych elit, natomiast wyborcy i sympatycy zostali potraktowani jak mięso armatnie czy nawóz historii. Część zawsze jest w stanie to przełknąć, ale dla wielu takie zachowanie jest nie do zaakceptowania. Nie tyle z powodu samych wolt, ile stylu, a więc wejścia w poetykę sztuk i opowiadań Sławomira Mrożka. Wyborca wiele może znieść, ale czy robienie z niego „wariata" też kupi?

WIELKIE OCZYSZCZENIE

Tylko w alternatywnej rzeczywistości „robienia z tata wariata" politykom opozycji się sumuje. Ale realnie poparcie znacznie częściej się redukuje, niż dodaje, o czym uczestnicy Koalicji Europejskiej mogli się przekonać 26 maja 2019 r., a wcześniej w wyborach samorządowych 21 października 2019 r. (w pierwszej turze, w wyborach do sejmików wojewódzkich oraz w powiatach i gminach). A przecież Koalicja Europejska starała się utrzymać powagę, czemu sprzyjała specyfika tamtych wyborów.

Jednak przed wyborami do Sejmu i Senatu 13 października 2019 r. powaga już dawno pierzchła, a dominuje robienie wyborcom wody z mózgu. To wszystko może znacząco i negatywnie wpłynąć na udział zwolenników opozycyjnych bloków w wyborach i wynik mniejszych ugrupowań, gdyż wyborcy nie dadzą robić z siebie idiotów. PO jakoś przetrwa w niezłej kondycji, kanibalizując Nowoczesną i mniejsze koalicyjne człony, ale bloki lewicowy oraz centrowy mogą się spotkać z częściowym bojkotem, a w najlepszym razie z obojętnością. Proste sumowanie się elektoratów jest najmniej prawdopodobnym wariantem. Najbardziej prawdopodobna jest redukcja „po skrzydłach", czyli w elektoracie najbardziej ideowym i najbardziej pragmatycznym. Ten ideowy nie wybacza zdrad, ten pragmatyczny nie pozwala z siebie kpić. Sondaże tego nie oddają, gdyż czym innym jest sympatia deklarowana w badaniach (na zasadzie: na bezrybiu i rak ryba), a czym innym wyborcza decyzja przy urnie, gdzie jednak rozważa się kwestię tego, czy głos nie zostanie zmarnowany. I w razie poważnych wątpliwości najczęstszą reakcją jest pozostanie w domu.

Polska scena polityczna może po jesiennych wyborach przejść wielkie oczyszczenie, przede wszystkim z ugrupowań wziętych z Mrożka. Wiele wskazuje na to, że najbardziej ucierpią Kukiz'15, Wiosna oraz Partia Razem. Ale chwilowo wzmocnione SLD oraz PSL też nie mają przed sobą świetlanej przyszłości, gdyż nie będą już miały drugiej szansy połknięcia mniejszych ugrupowań. Na tej samej zasadzie, na jakiej na jesienne wybory parlamentarne nie odtworzyła się Koalicja Europejska. Z kolei Konfederację najprawdopodobniej czeka podobny los jak wcześniejsze mutacje tego, co skupiało się wokół Janusza Korwin-Mikkego i narodowców.

Wiele wskazuje więc na to, że wykrystalizuje się podział na dwa bloki: PiS oraz antypis, co będzie wstępem do systemu dwupartyjnego. Tę tendencję wzmacnia to, że przed wyborami 13 października 2019 r. po raz pierwszy od lat nie pojawiło się żadne nowe ugrupowanie.

13/0419/F

eprasa.pl a357259d8c

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl a357259d8c



Fot. TOMASZ HOLOD / POLSKA PRESS

Nowy młotek Schetyny

Grzegorz Schetyna już nie udaje. Wpuszczając na listy wyborcze do Sejmu Klaudię Jachirę, autoryzuje zawodowy hejt. Podnosi jego rangę do regularnego narzędzia polityki. Gra na najniższych instynktach i liczy, że w kolejnej kadencji jeszcze bardziej rozhusta społeczne emocje, według strategii „tysiąca małych Wietnamów”



MAREK PYZA

U Che Guevary „Wietnamów” miało być dziesięć. Chodziło o wywołanie wielu lokalnych wojen w Ameryce Łacińskiej, by przeciwstawić się amerykańskim wpływom w tym regionie. Schetyna próbował tej taktyki w polskiej wersji – przeciw Prawu i Sprawiedliwości – w mijającej kadencji. Nazywała się „ulica i zagranica” i poniosła całkowite fiasko. Teraz lider Platformy Obywatelskiej najwyraźniej chce pójść dalej. Bo czemuż innemu ma służyć próba wprowadzenia do parlamentu Klaudii Jachiry?

OD PALIKOTA DO PO

Cztery lata temu startowała z list Nowoczesnej. Uzyskała 629 głosów. Nie załamało jej to. Poczuła artystyczną wenę i zaczęła zamieszczać w internecie krótkie filmy własnej produkcji. To w założeniu emanacja jej aktorskiego talentu i zamiłowania do kabaretu, jednak treści te sytuują ją bliżej grona tzw. patostreamerów, czyli ludzi szokujących wulgarnym zachowaniem, przemocą czy alkoholowymi libacjami. Szef sztabu PO Krzysztof Brejza określał ją mianem „niepokornej satyryczki”. Katarzyna Lubnauer mówi: „Pani Jachira jest youtuberką, która być może jest kontrowersyjna. Na pewno jej estetyka nie do końca również do mnie trafia. Natomiast jest ona skierowana do osób dużo młodszych ode mnie”. A więc to jest ten język, którymi PO-KO chce się komunikować z młodymi ludźmi?

Jachira tak właśnie jest przedstawiana – jako aktorka, blogerka, satyryczka i youtuberka. Aktorką w popularnym rozumieniu nie jest, bloga nie prowadzi, satyrą jej występy trudno nazwać, za to faktycznie na YouTubie zamieszcza swoje „dzieła”. Jaki poza tym jest jej dorobek zawodowy? Internetowa Encyklopedia Teatru Polskiego wspomina o jednej roli teatralnej (w teatrze studenckim). Można ją też było zobaczyć w przedstawieniu dla dzieci dolnośląskiego Teatru Bąbli „Skąd się biorą kolory?”. Na scenę wpuścił ją również krakowski teatr Łaźnia Nowa, by w większej dawce mogła przedstawić swoje „satyry”. W bazie na stronach filmpolski.pl znajdujemy jej nazwisko w trzech produkcjach: jednym odcinku (nr 2 646) serialu „Na Wspólnej”, jednym „Galerii” (nr 31) oraz pięć ról w „serialu fabularnym” „Pierwsza miłość”. Dowiadujemy się też, że ukończyła wrocławską filię Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej na Wydziale Lalkarskim. Z lalką nie rozstaje się do dziś. Tą przypominającą

eprasa.pl a357259d8c

Jarosława Kaczyńskiego. Jest ona kluczowym elementem jej programu „Satyry Klaudii Jachiry" uwielbianego przez działaczy KOD, którzy niekiedy zapraszają ją na występy.

W „Gazecie Wyborczej" opowiadała: „Po studiach najpierw grałam w Gliwicach, potem w spektaklu dla dzieci. Prowadziłam warsztaty teatralne i eventy w galeriach handlowych. Na podwórku robiłam z koleżankami projekt teatralny na podstawie przypowieści Kołakowskiego, dla sąsiadów. Może nie pracowałam w instytucjonalnym teatrze, ale robiłam fajne projekty, zaangażowane społecznie, spektakle o schizofrenii i przemocy w rodzinie. Ale miałam niedosyt działalności publicznej. Bo mi się zawsze tak wydawało: że jestem coś światu winna. Od dziecka chciałam być aktorką, ale chciałam też działać publicznie i politycznie. Mam to po rodzicach. Mama z wykształcenia jest nauczycielką, potem zajęła się ubezpieczeniami, bardzo się angażowała. Tato, już nie żyje, był adwokatem, chodził ze mną na spacery i opowiadał bajki o Unii Wolności. »Zobacz, jacy tam piękni ludzie. Popatrz na posła Geremka«. »Tak, tato, ma bródkę jak koziołek«. »To dzięki nim mamy wolną Polskę«. Może ktoś powie, że to indoktrynacja. Dla mnie to było naturalne".

Dalej dowiadujemy się, że miała kontakty z działaczami Palikota (to wyjaśnia estetykę, w jakiej dziś się porusza), od których dowiedziała się, że startuje nowa partia Balcerowicza: „Potem się okazało, że nie do końca partia Balcerowicza, tylko jego ucznia. Ale zaczęłam chodzić na spotkania, spodobało mi się. Mówili o kulturze, że trzeba przeprowadzić reformę, mieli wolnorynkowe poglądy. Odpowiadało mi to. Jeździłam z Ryszardem Petru po Polsce i robiłam mu konferansjerkę".

SCHETYNA DZIĘKUJE ZA HEJT

Po słabym wyniku wyborczym (wspomniane 629 głosów) i kolejnych kompromitujących filmikach podziękowano jej za współpracę w dziecięcym teatrze: „Nie przedłużyli umowy. Pani dyrektor spytała, jak mogę obrażać człowieka, który stracił brata. Teraz staram się oddzielać pracę od satyry, nie wymieniam miejsc, w których pracuję". Nawet w ugrupowaniu Petru stwierdzono, że może być groźniejsza i działać na formację bardziej autodestrukcyjnie niż sam lider: „W Nowoczesnej też mi powiedzieli, że ośmieszam wizerunek partii, że to niepoważne i nie chcą być powiązani. I nie chcieli mnie przyjąć w szeregi".

Gdy przeprowadzała „wywiad psychiatryczny" z kukłą przypominającą Kaczyńskiego, nie powstrzymała się od takich żartów: Kukła: „Czy posłom wolno się całować?". Jachira: „Nigdy się nad tym nie zastanawiałam". Kukła: „Wolno, ale nie w pisię, hy, hy, hy...".

W innym filmie „rozmawia z Bogiem", który przemawia do niej i poleca, by opozycja się zjednoczyła. Pomówienia, obelgi, drwiny z Jarosława Kaczyńskiego, PiS, Kościoła, wiary to dla niej chleb powszedni. Jak w filmie, w którym jej kukła rozmawia z obrazem Chrystusa: „Jak wiesz, trochę wydaliśmy na uroczystość Twojej intronizacji, wcześniej Świątynia Opatrzności Bożej i 500+, teraz szykują się deportacje+. Słowem brakuje pieniędzy w budżecie... Do kasy to nie do Ciebie? A do kogo? Do szatana? A masz do niego numer?".

> Nawet sami wyborcy PO-KO czują, że obecność tej pani na liście wyborczej to przekroczenie granic i prosta droga do wyborczej porażki

W kolejnym przekonywała że „polski naród zabił więcej Żydów niż Niemców". I jeszcze jedna próbka jej nikczemnej „satyry": „Dla PiS istotą funkcjonowania było dostarczanie młodych mężczyzn Jarosławowi Kaczyńskiemu [...] tysiące młodych patriotów mające ochotę nadstawić tyłka prezesowi jest w rozterce".

„Chciałem podziękować Klaudii Jachirze, która wspiera nas i będzie wspierać, i będzie kandydować z naszych list" – mówił Schetyna, ogłaszając nazwiska części kandydatów PO-KO do Sejmu. Jachira ma się znaleźć na 13. miejscu w okręgu warszawskim.

Nawet sami wyborcy PO-KO czują, że obecność tej pani na liście wyborczej to przekroczenie granic i prosta droga do wyborczej porażki. Pokazali to w ubiegłym tygodniu, gdy Jachira w Radiu Tok FM opowiadała, jak trafiła na listy Platformy (poprzez swoje kontakty z Zielonymi). W zdecydowanej większości komentarzy pod artykułem na stronie stacji druzgocąca krytyka „artystki" mieszała się z niedowierzaniem i załamaniem, że Schetyna promuję specjalistkę od internetowej nienawiści. Oto kilka z popularniejszych: „No to jest klęska kompletna opozycji. Przecież to kompletna kompromitacja, ta pani, ona im naprawdę szkody narobi". „Schetyna potrafi docenić domorosłą hejterkę." „Brawo Grzegorz, brawo! Dobra robota. Pozdrawiam. Jarek". „Tracę nadzieję... jak długo jeszcze opozycja będzie żyła tylko ze straszenia i naśmiewania się z PiS-u?!?!?!". „Kolejny sukces Grzegorza Dyndały. Wzięcie na listy wyborcze hejterki – idiotki. Brawo". „Przecież ta laska ma IQ niższe niż kot Kaczyńskiego". „Brawo! Jak najwięcej hejterów (hejterek) na listach".

Już pal sześć poziom jej występów. Ciężko go komentować, wystarczy zobaczyć ją raz, by się obawiać, że mamy do czynienia z osobą potrzebującą pomocy. Kobieta regularnie bije własne rekordy żenady. Ale dlaczego politykom PO nie przeszkadza pogarda, która jest podstawowym narzędziem publicznego istnienia kandydatki tej partii? Ci, którzy najdzielniej krzyczą o konieczności walki z mową nienawiści, sami tę nienawiść wyławiają, podlewają i promują. Ba, chcą ją na stałe zamontować w parlamencie.

Jeśli ktoś myślał, że sceny z „puczu" przy Wiejskiej z przełomu 2016 i 2017 r. były szczytem sejmowej degrengolady, to dziś już wie, że Schetyna w tej sprawie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. W założeniu „artystka" Jachira ma być tępym narzędziem, które będzie waliło na oślep i psuło krew PiS. Ale to lider PO może najbardziej żałować skorzystania z jej usług.

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Andrzej Wiktor

Nie umiem być obojętny

Europejskość nie polega na tym, że robimy, co chcemy, i nie liczymy się z innymi. Gdzie w tym wszystkim własna historia, tradycja, kultura? Bezmyślnie wtapiamy się w Europę, niszcząc własną odrębność

Z Jerzym Zelnikiem, aktorem i reżyserem, rozmawia Marcin Wikło

Co pan sobie myśli, słysząc, że w Polsce panuje faszyzm, że brakuje nam wolności, że trzeba o nią walczyć?

Jerzy Zelnik: To są ataki poniżej pasa, rodzaj bezpardonowej walki. Niestety, to się odbywa kosztem Polski. Nie kosztem jednej czy drugiej partii, jakiejś orientacji, tylko kosztem naszej ojczyzny. Wyciąganie tych pomówień na zewnątrz jest jednocześnie zwykłym donosicielstwem. Opowiadanie, że nie ma wolności, że nie ma demokracji... A na czym polega demokracja? Przecież także na szanowaniu swojej odmienności.

Opozycja i osoby wokół niej skupione właśnie tego się domagają. Słusznie?

Opozycja nie jest w stanie przeboleć swojej porażki sprzed czterech lat i uderza w rząd coraz bardziej wściekle. Tymczasem wydaje mi się, że to właśnie my moglibyśmy dać przykład innym krajom europejskim, nawet tym, które cieszą się ogromną tradycją wolnościową. Jest u nas ogromna swoboda wyznawania i demonstrowania poglądów i nie ma żadnych przeszkód dla osób, które chcą dochować wierności swojej orientacji. Mówię o osobach LGBT, bo z prawami konserwatystów jest coraz słabiej.

Czyli równości nie ma, ale nie przejawia się to w sposób, o którym głośno krzyczą liberalni aktywiści?

Właściwie przejawia się to w sposób dokładnie odwrotny. Bo oto pewna mniejszość próbuje w sposób agresywny narzucić swoje wymagania i światopogląd większości. I ta większość ma się dostosować. Należy oczywiście szanować prawa mniejszości, ale w demokracji – i to jest jej podstawowym wyznacznikiem – decyduje większość. Muszę się zgodzić z Churchillem, że to ustrój być może niedoskonały, ale lepszego jak do tej pory nie wymyślono.

Skąd się bierze siła tej mniejszej grupy? I czy to rzeczywiście jest realna siła, czy tylko głośność, którą chętnie podejmują media?

W tym sporze jest poważne odwrócenie znaczeń słów. Przecież jest całkowitą nieprawdą to, że w Polsce jakiś brak tolerancji wobec inności seksualnych. Miałem w życiu wielu przyjaciół, którzy mieli potrzeby intymne

eprasa.pl a357259d8c

odmienne od moich i nigdy mi to nie przeszkadzało. Od jakiegoś czasu mamy jednak do czynienia z epatowaniem seksualnością, wraz z nasilającą się propagandą i żądaniami mniejszości powoduje, że zbliżamy się do cienkiej czerwonej linii, za którą jest już tylko demolowanie naszych wartości i porządku świata, w który my, katolicy i konserwatyści, wierzymy.

Żądania środowisk LGBT rzeczywiście są coraz bardziej śmiałe, aż po adopcję dzieci dla tzw. małżeństw homoseksualnych...

No nie, nie można przypisywać sobie w związku homoseksualnym prawa do nazwy „małżeństwo", bo nawet z etymologii tego słowa wynika, że jest to związek małżonka z żoną. Nie jestem natomiast przeciwko związkom partnerskim, to jest w świecie akceptowane i dosyć nawet popularne. Jeśli takie osoby chcą się z sobą wiązać z powodu przyjaźni czy miłości, to proszę bardzo. Ale znów należy zaznaczyć, że nawet obecne prawo daje takim związkom bardzo daleko idące prawa i przywileje. I nie ma powodu, by naginać dla ich żądań instytucję małżeństwa. Takie próby to w gruncie rzeczy kolejne narzędzia, które mają być użyte przeciwko obecnej władzy, która świetnie Polską gospodaruje.

Wybory samorządowe pokazały oddzielenie Polski powiatowej, gminnej, gdzie poparcie ma Prawo i Sprawiedliwość, od wielkich miast, gdzie coraz większe poparcie zyskuje opozycja. Dlaczego tak się dzieje?

Trzeba ten wybór uszanować, ale dysproporcja jest dla mnie rzeczywiście zadziwiająca. Być może ludzie w miastach inaczej odbierają rzeczywistość, nieco łatwiej ulegają pewnemu przekazowi medialnemu, nie konfrontują tych propagandowych chwytów z własną refleksją i w dużych ośrodkach porobiły się takie antypisowskie enklawy. To mógłby być objaw pewnego zdrowia w życiu publicznym, że rządzi w kraju jedna partia, a w samorządach inne ugrupowanie tę władzę równoważy. Ale w praktyce tak nie jest. Jak wy postanowiliście tak, to my zrobimy dokładnie odwrotnie. To jest polityczny infantylizm.

Miasta są owładnięte chęcią otwarcia, europejskości. Tego PiS nie daje?

Ale europejskość nie polega na tym, że robimy, co chcemy, i nie liczymy się z innymi. Gdzie w tym wszystkim własna historia, tradycja, kultura? Bezmyślnie wtapiamy się w Europę, niszcząc własną odrębność. Trzeba bardzo z tym uważać, bo w ten sposób podcinamy własne korzenie. Przykładem Francja, ta „najstarsza córa Kościoła", w sposób ostentacyjny od niego odchodzi i wręcz wstydzi się własnej wiary. To nie dla nas.

> Żądają demokracji, a nie szanują odmiennych poglądów. Miałeś poglądy konserwatywne, byłeś związany z Kościołem, koncertowałeś w kaplicach, to byłeś uważany za niegodnego pochwał i nagród

A czego panu brakuje? Co jest do poprawy?

Jako człowiek kultury ze smutkiem zauważam, że zbyt mało jest jej w programie obecnej władzy. To sfera życia, która jest chyba nieco marginalizowana, a powinna być wizytówką każdego narodu i dowodem jego tożsamości.

Nie mogę się zgodzić z tym, że kultura jest zaniedbywana, ale może takie wrażenie u niektórych powstało, bo rzeczywiście to transfery społeczne dla osób najuboższych stały się wizytówką rządu PiS. Może ten akcent był po prostu ważniejszy?

Nie możemy odkładać tego na później. Rozumiem podstawowe potrzeby i konieczność ich zaspakajania, ale musimy bardzo uważać na to, by nie stać się tylko konsumentami. Jest lepiej, bo więcej ludzi może pojechać na wakacje, mogą sobie nawet odłożyć jakieś oszczędności, a nie tylko się zamartwiać, czy im starczy do pierwszego, tu jest rzeczywiście postęp, i to duży. Natomiast sfera duchowa i kwestie kształcenia młodzieży, a także podejścia do sztuki stają o tyle pilne, że były zaniedbywane od lat. Popatrzmy na dziedzinę mi najbliższą, czyli teatr – sytuacja jest dramatyczna.

Na czym polega problem?

Ludzie często niezdolni posługują się skandalem i to wystarcza zamiast sztuki. Przykładem niech będzie „Klątwa" wystawiana w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Tymczasem platońska triada wyznaczająca kanon etyczny i estetyczny: piękno, prawda, dobro, przecież obowiązuje! I to jest mój osobisty ból, że zaspakajając potrzeby materialne, odkładamy wciąż na później potrzeby duchowe, kontakt z szeroko pojętą kulturą.

To delikatna sprawa, bo żąda pan w zasadzie interwencji państwa w „dzieła" artystyczne. Nie uważa pan, że zaraz przypiszą panu zapędy cenzorskie?

Mnie się wydaje, że mecenat państwa musi tutaj jednak wkroczyć, bo to się rozgrywa na poziomie konkurencji władzy centralnej z samorządem, który niejednokrotnie zachęca do uprawiania takiego rodzaju sztuki, który ma rujnować nasz wielowiekowy dorobek.

Czy to już jest ten moment, gdy katolicy, konserwatyści powinni się poczuć zagrożeni swego rodzaju terrorem środowisk LGBT narzucającym nam swój światopogląd i swoją estetykę? Czy stajemy w obliczu jakiegoś starcia cywilizacyjnego?

Wie pan, do pewnego momentu przyjmowałem to jako pewien rodzaj egzotyki i nawet mnie to bawiło. Te kolorowe marsze, machanie chorągiewkami czy nawet różnymi częściami garderoby. Ale teraz robi się z tego ideologia.

eprasa.pl a357259d8c

Przeciwko temu słusznie protestował abp Marek Jędraszewski. Bo dopóki to jest rodzaj radosnej manifestacji czy zabawy, to można i należy to tolerować. Nie musimy afirmować, ale tolerujemy, i to jest przywilej mniejszości związany z demokracją. Ale gdy przeradza się to w atak na wartości, które wyznajemy, to musimy stawać w ich obronie i prowadzić o to – należy to tak nazwać – ideologiczną wojnę.

Chyba byliśmy nieuważni, bo gdzieś umknął nam ten moment, gdy zabawa stała się profanacją. Coraz częściej widzimy a to Matkę Boską w tęczowej aureoli, a to Najświętszy Sakrament z kobiecymi narządami. Czy to się jeszcze da odwrócić?

Polacy wciąż jednak w większości stają w obronie symboli, tradycji i wartości. Rodzina jest dla nas ważna, relacje pomiędzy najbliższymi. A to, o czym mówimy, to są sprawy intymne, w kulturalnym społeczeństwie one pozostają w domowym zaciszu. Demonstrowanie potrzeb seksualnych na ulicy to nie jest obrona prawa do odmienności, bo w Polsce nie było nigdy żadnych sankcji prawnych za homoseksualizm, idzie to raczej w kierunku naprawdę nachalnej propagandy.

Groźba seksualizacji dzieci, o której rozmawialiśmy przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, spowodowała, że Polacy zmobilizowali się i poszli zagłosować za tradycyjnym modelem wartości. Jest więc nadzieja, że się obronimy przed zalewem tej ideologii?

Większość rodzin chybaby sobie jednak nie życzyła, by dzieciom siłą otwierać oczy na sprawy, które w naturalny sposób przychodzą wraz z rozwojem i przybywaniem odpowiednich hormonów. My, myślę o swoim pokoleniu, byliśmy przygotowywani do życia w sposób nieagresywny, na lekcjach anatomii czy w rodzinach. Natomiast zachęcanie maluchów do przyjemności seksualnej, kiedy one nie są do tego przygotowane pod żadnym względem i jeszcze nie mają takich potrzeb, to jest rodzaj deprawacji. Cóż z tego ma wyniknąć? Czy te dzieci już za młodu mają stać się partnerami dla dorosłych? Także dla zboczeńców?



Fot. Andrzej Wiktor

Jeśli nie popierasz ideologii LGBT, to jesteś zaściankowy, obejmiemy cię zbiorowym ostracyzmem, wykluczymy z naszej grupy. Jak to wygląda w środowisku aktorskim?

Żądają demokracji, a nie szanują odmiennych poglądów. Nie daj, Boże, się przeciwstawić tej agresji, to człowiek od razu jest wykluczony, to prawda. Sami zaprzeczają swoim prodemokratycznym hasłom. Wołają: konstytucja, wolność, równość... a gdzie to jest w ich czynach? Z podobnym wykluczaniem spotkałem się wielokrotnie, już za rządów PO-PSL. Miałeś poglądy konserwatywne, byłeś związany w sposób aktywny z Kościołem, koncertowałeś w kaplicach, to byłeś uważany za niegodnego pochwał i nagród niezależnie od talentu. Dlatego że nie wyrzekałeś się swojej wiary i miałeś potrzebę, by również pięknym słowem dawać jej świadectwo.

To postawa, która nie podoba się pana kolegom z branży. Andrzej Grabowski powiedział ostatnio w jednym z wywiadów, że podczas oglądania filmu „Faraon" z pana udziałem nasunęły mu się pytania: „Co ty, kolego, ze sobą zrobiłeś? Po co tak zaangażowałeś się politycznie? Po co ci to było?".

Zarzucanie mi aktywności politycznej dopiero teraz to bardzo wybiórcze podejście. Byłem przecież na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w marcu 1968 r. Jak chyba każdy przeżywałem bardzo tragedię roku 1970, potem 1976 i stanu wojennego. Ja nie umiem być obojętny. Nieuczciwość tego zarzutu angażowania się polega też na tym, że nie podoba im się moje poparcie dla obecnego rządu. Gdybym był po ich stronie, pewnie nie byłoby tematu. Ale mnie podoba się to, że rząd jest dobrym gospodarzem w mojej ojczyźnie. Wszyscy doceniajmy ten zdumiewający postęp cywilizacyjny ostatnich lat!

21/0619/F

eprasa.pl a357259d8c


PGE
Zapewniamy energię
Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
Dbamy o to, aby pod Twoim dachem nigdy
nie zabrakło dobrej energii.
Jesteśmy przy Tobie.
www.gkpge.pl



Ucieczka w prywatność

Były premier Kazimierz Marcinkiewicz ogłosił, że znika z życia publicznego i od tej pory będzie osobą prywatną. To już kolejne pożegnanie z życiem publicznym. Czy ostatnie?

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Postanowiłem zamknąć etap publicznego życia, by uniemożliwić wszystkim szczujniom używanie mojej osoby" – tak z życiem publicznym pożegnał się pod koniec lipca na Facebooku były premier Kazimierz Marcinkiewicz. „Zrobiłem to po brutalnym i bezprecedensowym ataku pełnym oszczerstw i poniżania, ataku mojej stalkerki na mnie przy użyciu mediów. Ten chamski atak uniemożliwił mi start w wyborach europejskich, ale więcej spłoszył wszystkich klientów, poniosłem ogromne straty. Właśnie dlatego, w celu obrony siebie i rodziny, podjąłem decyzję o odejściu z życia publicznego i stania się osobą stricte prywatną" – oznajmił jakiś czas temu były premier.

„DOSYĆ ZARABIANIA NA MOJEJ OSOBIE"

Kazimierz Marcinkiewicz obwieścił także, że rezygnuje z korzystania z mediów społecznościowych i jeśli będzie taka potrzeba, to udowodni sądownie, że jest osobą prywatną, a atakujące go media będą musiały go właśnie tak traktować. „Dosyć zarabiania na mojej osobie z użyciem chamstwa, kłamstwa i steku bzdur" – straszył Marcinkiewicz i faktycznie z mediów społecznościowych i tradycyjnych zniknął. Czy na zawsze, to się jeszcze okaże.

Z życiem publicznym były premier żegnał się oficjalnie już dziesięć lat temu, co zresztą sam niedawno przypomniał: „Jesienią 2009 r. przeprosiłem wszystkich Polaków zniesmaczonych obecnością mojego prywatnego życia w kolorowych mediach i obiecałem milczeć w sprawach prywatnych. Słowa dotrzymałem i nadal będę tego przestrzegał". Tamto pożegnanie jednak nie uniemożliwiło byłemu premierowi prowadzenia żywota prawdziwego celebryty. W ostatnich latach Kazimierz Marcinkiewicz bardzo się starał, by opinia publiczna go nie zapomniała. Nie odpuścił żadnemu zaproszeniu do mediów, szczególnie jeśli wiązało się to z możliwością zaatakowania grupy politycznej, z której się przecież wywodził. Stał się ekspertem mediów liberalnych od koalicji rządzącej i głównym analitykiem stanów psychicznych Jarosława Kaczyńskiego i jego współpracowników. Było widać, że medialna aktywność przynosi mu satysfakcję.

„LUDZIE BĘDĄ ZAPOMINAĆ POWOLI"

– Osoba publiczna to taka, która wykonuje funkcje publiczne lub jest tzw. celebrytą, czyli sama szuka rozgłosu. Jednak czy można z dnia na dzień uciąć to wrażenie, że jest się osobą publiczną, wrażenie, na

Fot. Bartosz Krupa/East News

prasa.pl a357259d8c

które Kazimierz Marcinkiewicz sam latami pracował? Może i można, ale sama ta próba będzie trwała całe lata, nie da się tego zrobić z dnia na dzień – nie ma wątpliwości mecenas Marek Markiewicz. – Ludzie będą zapominać powoli. Ostatnią fazą rozpoznawalności jest moment, gdy ktoś patrzy na człowieka i mówi: „Proszę mi przypomnieć, jak pan się nazywa", ale Kazimierz Marcinkiewicz na pewno nie jest w tym punkcie. Przez ostatnie lata były premier robił wiele, żeby być na ustach wszystkich, i teraz ponosi tego konsekwencje – nie ma wątpliwości mecenas Markiewicz. – Kazimierz Marcinkiewicz, uciekając w prywatność, próbuje po prostu uciec od złych skojarzeń, które po sobie zostawił. A że jego aktywność była duża, to i złe wrażenie ogromne. Ale od tego nie ma ucieczki. Tym bardziej że były premier miał szansę spłacenia swoich długów – dodaje Markiewicz.

Owo złe wrażenie nie zrobiło się samo, a start w eurowyborach, a następnie w wyborach krajowych Marcinkiewiczowi uniemożliwiła nie była żona, ale brak elementarnej uczciwości. Marcinkiewicz stał się po prostu dłużnikiem alimentacyjnym. Popadł w kłopoty nie dlatego, że prześladuje go „stalkerka", jak mówi o swojej drugiej byłej żonie Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz, ale dlatego, że postanowił nie wypłacać jej alimentów zasądzonych prawomocnym wyrokiem sądowym.

– Nie jestem stalkerką. Stalker wysyła do kogoś non stop esemesy, pisze e-maile, śledzi swoją ofiarę. Ja tego nie robię. Ja tylko mówię prawdę o zaległości alimentacyjnej, jaką w stosunku do mnie ma były mąż. Upominanie się o swoją własność do stalkingu raczej nie należy – tłumaczyła mi Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz w audycji „Gorące pytania" w telewizji wPolsce.pl.

Jednocześnie w tym samym czasie, gdy Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz próbowała wyegzekwować swój dług, były premier wrzucał na swój profil na Instagramie (w tej chwili zablokowany dla szerokiej publiczności) zdjęcia z dalekich podróży (m.in. do Dubaju) czy z realizacji swoich pasji, jaką są m.in. sporty wodne itp. Opublikował także zdjęcie z luksusowym BMW: „Jak na łysego karka przystało, oglądam BMW i myślę, że jednak następny samochód powinien być elektryczny" – napisał na swoim Instagramie były polityk, a „Super Express" zauważył, że „Kazimierz Marcinkiewicz od jakiegoś czasu wozi się luksusowym BMW X4 wartym ok. 200 tys. zł. Czyżby byłemu premierowi, który ostatnio słynie z alimentacyjnych długów wobec byłej żony, zamarzyło się kolejne auto ze znaczkiem bawarskiego koncernu motoryzacyjnego?!" – pytał tabloid.

Od chwili rozwodu Kazimierz Marcinkiewicz zobligowany jest wyrokiem sądu do wypłacania swojej byłej żonie alimentów. Jednak polityk uporczywie nie wywiązywał się ze swojego obowiązku. W tej chwili jego dług wynosi ok. 140 tys. zł. Była żona od miesięcy próbuje wyegzekwować te pieniądze, ale do tej pory na próżno. W sprawę włączyła się prokuratura. Prokurator ogłosił podejrzanemu zarzut uchylania się od obowiązku alimentacyjnego i narażenia przez to pokrzywdzonej na niemożność zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych. Były premier nie przyznał się do winy i złożył wyjaśnienia.

„Chętnie pójdę do więzienia Ziobry. Wikt i opierunek, i spokój, a dam radę, skoro wytrzymałem ze stalkerką trzy lata pod jednym dachem" – mówił Marcinkiewicz w lipcowej rozmowie z Onetem.

Warto przypomnieć, że Zbigniew Ziobro był ministrem sprawiedliwości w rządzie Marcinkiewicza od października 2005 r. do połowy lipca 2006 r.

– Moim gwarantem jest licytacja nieruchomości byłego męża wraz z możliwością zabezpieczenia alimentów do przodu z tej sprzedaży, oprócz aktualnego, opiewającego już na kwotę 140 tys. zł długu – mówi Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz.

Jednocześnie kobieta wniosła prywatny akt oskarżenia o zniesławienie oraz założyła byłemu mężowi sprawę cywilną o naruszenie dóbr osobistych.

PRZYCZAJONY TYGRYS, UKRYTY SMOK

– Potępiam dłużników alimentacyjnych, jednak mam wrażenie, że w Polsce jest to zjawisko tolerowane, dopóki nie skończy się interwencją komornika. – To ciekawe, jak to możliwe, że tak ważna osoba publiczna zabezpieczyła się przed ściągalnością alimentów. Przecież gdziekolwiek, jakąkolwiek pracę Kazimierz Marcinkiewicz podejmie, komornik będzie mógł wejść mu na konto i zabezpieczyć należność. Tak czy inaczej Marcinkiewicz, jako dłużnik alimentacyjny, stał się osobą mało godną – komentuje mecenas Markiewicz. I dodaje: – Kazimierz Marcinkiewicz ucieka w prywatność od niemożności zaoferowania opinii publicznej czegokolwiek innego poza skojarzeniami z komornikiem i długiem alimentacyjnym.

Ucieczka w prywatność wydaje się przede wszystkim odcięciem szerokiej publiczności, komornikowi i organom ścigania możliwości śledzenia egzotycznych podróży i realizowania życiowych pasji, na które przecież dłużnika alimentacyjnego nie powinno być stać.

– Były premier już zawsze będzie osobą publiczną, nawet jeżeli przestanie się zajmować polityką. Nie da się z dnia na dzień powiedzieć: „Od dziś jestem osobą prywatną, dajcie mi wszyscy święty spokój". Takie sztuczki nie przejdą. Były premier powinien zawsze trzymać fason – nie ma wątpliwości Ryszard Czarnecki, polityk Prawa i Sprawiedliwości. – Kazimierz Marcinkiewicz doskonale odnajdował się w byciu celebrytą. Jednak okoliczności zewnętrzne, kwestia roszczeń byłej żony spowodowały, że spróbował zanurkować pod powierzchnię. To próba ucieczki przed kobietą i kłopotami, które wyniknęły z tego związku – dodaje polityk.

– Znałem Kazimierza Marcinkiewicza w czasach, gdy był poważnym urzędnikiem państwowym w czarnym garniturze – wspomina Marek Markiewicz. Miałem wrażenie, że jego poczucie godności przerasta innych. I gdy patrzę na jego drogę, to się dziwię, że tak roztrwonił wizerunek poważnego człowieka, który kiedyś budował. Na własne życzenie – zamyśla się prawnik.

Stawiam dolary przeciwko orzechom, że Kazimierz Marcinkiewicz wróci do mediów szybciej, niż nam się wszystkim zdaje. Taka natura, ciągnie wilka do lasu.

eprasa.pl a357259d8c

PiS zajęło centrum, czas na duże miasta

PiS jest partią przechodzącą gigantyczną ewolucję, odbywającą się na różnych poziomach. To jest zupełnie inna prawica niż cztery czy osiem lat temu – mówi Krzysztof Mazur, były prezes Klubu Jagiellońskiego, kandydat PiS do Senatu, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Zamieniasz fotel komentatora na polityka. Po co ci to?

Krzysztof Mazur: Najprościej mówiąc: bo czuję, że potrzebne jest dziś wzięcie odpowiedzialności, a wygodna pozycja komentatora nie do końca na to pozwala. Przez ostatnie cztery lata wskazywałem rzeczy, które mogłyby być wykonywane lepiej. Teraz doszedłem do wniosku, że zamiast o tym mówić – trzeba to zrobić.

To była solidna krytyka dobrej zmiany. Ciągle coś źle, nie tak, nie w ten sposób, względnie apel o inne standardy. Usłuchali cię przy Nowogrodzkiej, skoro kandydujesz z PiS?

Opisałbym to inaczej. Dla wszystkich było jasne, że jesteśmy środowiskiem prawicowym, konserwatywnym. Pamiętam, że gdy w roku 2010 organizowałem wykład Jarosława Kaczyńskiego w Krakowie, to wiele osób odradzało mi to, bo rządziła Platforma i tylko można było w ten sposób podpaść. Nie posłuchałem tych rad. Zawsze było wiadomo, gdzie stoimy.



Może i było wiadomo, ale twoja publicystyka to głównie krytyka rządów PiS.

Nie zgodzę się, że to głównie krytyka; bardziej prezentowanie pomysłów, alternatyw, twórczy ferment. Ale z niczego, co napisałem, się nie wycofuję, bo uważałem i uważam, że przez ostatnie cztery lata – ale i dziś, i jutro – obóz dobrej zmiany potrzebował środowiska prezentującego nowe pomysły.

Niektóre z nich się przebiły: deglomeracja trafiła do agendy rządowej, transport publiczny został jednym z tematów kampanijnych, lansowane przez lata Trójmorze podchwycił prezydent Duda, skuteczność przy wecie w sprawie ordynacji... Trochę tego było. Wszystko to pokazuje, że dyskusja była potrzebna.

Zgoda, ale to wciąż pytanie: co ty chcesz robić na listach ekipy, której wytykałeś błędy?

Na pewno nie pojadałem wszystkich rozumów. Uważnie śledziłem kongres programowy w Katowicach i mimo że wydawało mi się, że jestem wciągnięty w procesy polityczne, to kolejne wystąpienia pokazały mi ogrom spraw, konkretów, które rząd wykonuje na co dzień. Informatyzacja szkół, budowa Baltic Pipe, ekologia, kapitał żelazny na organizacje społeczne, fuzja Lotosu i Orlenu, Sieć Badawcza „Łukasiewicz"...

Poza Baltic Pipe nie są to sprawy wagi ciężkiej, jeśli chodzi o politykę, nie mówiąc o kampanii.

Ale to takie realne zmiany pchają Polskę do przodu. Dlatego uznałem, że to dobry moment, by włączyć swój potencjał w ten proces. Wierzę, że za cztery lata kongres pokazujący „dowiezione tematy" może być jeszcze bardziej imponujący.

Wszystko pięknie, tyle że Platforma też miała teraz swój kongres programowy, a w roku 2012 też pewnie mógłbyś usłyszeć od poszczególnych wiceministrów, ile to dobrego się dzieje, tylko media nie chcą tego zauważyć.

Do Platformy miałem pewien sentyment w pierwszych latach jej istnienia, ale później pozbyłem się złudzeń. Po podwójnej porażce 2005 r. w PO podjęto decyzję o porzuceniu dawnego etosu i zajęciu się wyłącznie PiS. Główną ideą partii Tuska

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Andrzej Wiktor

nie było reformowanie państwa, ale niedopuszczenie PiS do władzy. Dziś Schetyna idzie tą samą drogą, budując egzotyczne koalicje wokół jednego postulatu: odsunięcia PiS od władzy.

Ktoś może odbić piłeczkę i powiedzieć, że działa to tak samo w drugą stronę.

PiS jest partią przechodzącą gigantyczną ewolucję, odbywającą się na różnych poziomach. Jednym z nich jest poziom generacyjny – widać dziś wiele osób, które sprawdziły się jako wiceministrowie, ministrowie, samorządowcy. To jest zupełnie inna prawica niż cztery czy osiem lat temu.

Lepsza?

Na pewno taka, która nauczyła się państwa i zrozumiała także własną odpowiedzialność.

Co masz na myśli?

Choćby ustawę o IPN. System wczesnego ostrzegania mógł zadziałać wcześniej i nie byłoby całej międzynarodowej afery, gdyby proces legislacyjny przebiegał inaczej. Mam wrażenie, że PiS rozumie, że pewne rzeczy – dla bezpieczeństwa i skuteczności realizowanych polityk – powinny być realizowane w inny sposób. Mówił zresztą o tym ostatnio na waszych łamach Radosław Fogiel.

I ty masz to zmienić? Nawet jeśli wygrasz wybory w okręgu, to staniesz się trybikiem w maszynie.

To jest proces. Wchodząc do aktywnej polityki, startując do Senatu, chcę bronić tych samych racji, których broniłem przez ostatnie cztery lata i jest na to otwartość w Zjednoczonej Prawicy.

Jesteś pewny, że jest?

Inaczej nie byłoby zgody na mój start.

Rozmawiałeś o tym z prezesem Kaczyńskim?

Z prezesem rozmawiałem przy innych okazjach. Tym razem propozycję startu otrzymałem od Jarosława Gowina, z którym współpracuję w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.

Jeśli chodzi o Jarosława Kaczyńskiego, to dużym echem odbił się twój tekst o „ostatnim rewolucjoniście III RP", gdzie przypomniałeś m.in. postać Stanisława Ehrlicha. Teraz już takiego tekstu nie napiszesz.

Ale o filozofii prawa z prezesem zawsze chętnie porozmawiam.

Wróćmy do twoich pomysłów. One mają przekonać duże miasta?

W samym PiS jest wiele osób: od radnych miejskich, przez posłów, na poziomie centralnym kończąc, którzy kibicują, by PiS szło w kierunku wielkomiejskiego elektoratu.

Tam nikt na was nie czeka. Te marzenia o mitycznym centrum to bajki.

Mylisz się. Wybory do PE pokazały, że PiS zajęło dziś centrum.

Widzę to trochę inaczej, ale to wtórne. Chodzi o to, że w najlepszym razie skończysz jak Gowin. Głosujesz, ale się nie cieszysz, kręcisz nosem w kuluarach. I tyle.

Nauczyliśmy się na prawicy, że politykę można robić tylko w dużym obozie. A skoro jest to duży obóz, to nigdy nie będzie zgody w 100 proc. ze wszystkim, co się dzieje: co i kto mówi etc. Na pewno nie będę robił rejterady przy pierwszym punkcie

eprasa.pl a357259d8c

spornym. Chciałbym tylko, by stanowisko reformatorów było mocno słyszalne. Może po prostu czasem trzeba pokazać inny sposób dotarcia do tych samych celów. To pytanie o metodę działania.

Słyszałem to już od Marcina Mellera: przy wymianie zamka ślusarz zamiast dynamitu pod drzwi. Ale to tylko ładna publicystyka. Realia są inne.

Realia są takie, że po tych czterech latach jest w PiS większe zrozumienie co do metody przeprowadzania zmian. Jeżeli chcesz powtórzyć wynik z wyborów PE i mieć stabilne rządy, to musisz się otwierać i na tego typu elektorat: wielkomiejski, centrowy, trochę kręcący nosem.

Tam PiS ma problem, co pokazały zwłaszcza wybory samorządowe. Ale i parlamentarne trudno będzie przeskoczyć. Konkurentem jest Bogdan Klich z Platformy. Jak chcesz pokonać takiego wyjadacza?

To, co chciałbym pokazać, to wejście w sprawy lokalne. Z perspektywy Krakowa było to problemem niemal od zawsze, a senator powinien być ambasadorem lokalnych spraw. W wyborach samorządowych zabrakło pokazania agendy, która jednocześnie jest konserwatywna i ważna dla mieszkańców dużych miast.

Co masz na myśli?

Choćby ekologię. Zielony konserwatyzm jest naprawdę czymś, co może przekonać tych wyborców. Do tego dochodzi kwestia komunikacji między politykiem a wyborcami. Nie oglądają telewizji, a informacji szukają w internecie. Chcę to wykorzystać. Ważne są również aspiracje edukacyjne – nie ma niczego lewicowego czy liberalnego w tym, że klasa średnia chce mieć dobrze wykształcone dzieci. Wreszcie coraz bardziej narastający problem samotności – da się pokazać, że postulaty ruchów miejskich (krytyka zamkniętych osiedli, korków, braku przestrzeni wspólnej) prowadzi do rozpadu więzi między ludźmi. Czy troska o lokalną wspólnotę nie jest republikańska?

Dlatego jestem przekonany, że wiele problemów podnoszonych przez ruchy miejskie da się bronić z pozycji konserwatywnych, prawicowych. To są problemy moich znajomych, zwykłych mieszkańców Krakowa, którzy nie muszą mieć w stu procentach ze mną zgodności co do wartości chrześcijańskich czy idei silnego państwa, ale walka ze smogiem jest ponad podziałami. Chcę zawalczyć także o takiego wyborcę!

Dlaczego zatem Senat? To Sejm ma lepsze i skuteczniejsze narzędzia.

Zgoda, ale clou są tutaj JOW. W Senacie to głosowanie na człowieka, nie na szyld czy partię. Poza tym w Krakowie – by wygrać – trzeba się poszerzyć o elektorat centrowy. I to jest dobry moment, by się sprawdzić.

Crash test.

Tak.

Jakie powinno być drugie okrążenie, druga kadencja obozu dobrej zmiany?

To czas na wprowadzenie bardziej złożonych zmian w funkcjonowaniu państwa, trudniejszych reform niż redystrybucja.

Klich to znane nazwisko w mieście, ale jako senator niczym się nie zasłużył. Nie znam go z żadnej wyrazistej aktywności przez ostatnie osiem lat. Senat to dla niego polityczna emerytura, a nie szansa na zrobienie czegoś pożytecznego dla Krakowa. To jest zmarnowana szansa. Dlatego czas na dobrą zmianę

Odcinasz się od takich programów jak 500+ czy wyprawka szkolna?

Nie! To ważne kwestie, często fundamentalne, ale też – nie ma co kryć – to podstawowy poziom, który powinien być załatwiony już dawno temu. PiS tutaj nadrabia zaległości całej III RP i chwała mu za to. Trudniej jest jednak zrobić dobrą szkołę, niż wypłacić 40 mld zł rocznie na 500+.

To również odpowiedź na pytanie, dlaczego wydaje mi się, że ten elektorat wielkomiejski jest ważny. Ano dlatego, że jest potrzebny do realizacji celu planu Morawieckiego – jeśli chcemy mieć gospodarkę konkurencyjną względem Zachodu, to trzeba nam wielkich miast, to tam jest kapitał ludzki, finansowy.

Wróćmy do Krakowa i kampanii. To jest w ogóle do zrobienia?

Klich to znane nazwisko w mieście, ale jako senator niczym się nie zasłużył. Nie znam go z żadnej wyrazistej aktywności przez ostatnie osiem lat. Senat to dla niego polityczna emerytura, a nie szansa na zrobienie czegoś pożytecznego dla Krakowa. To jest zmarnowana szansa. Dlatego czas na dobrą zmianę.

To na koniec: Wisła czy Cracovia?

No i szlag trafił kampanię człowieka szukającego kompromisu... [śmiech]. Mieszkam tuż obok ul. Kałuży, więc siłą rzeczy bliżej mi do stadionu Cracovii. Ale jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co zrobiono w Wiśle w ostatnim czasie. Klub na skraju upadku postanowiło ratować dwóch trzydziestoletnich słoików: trener młodzieżowy Rafał Wisłocki i przedsiębiorca Jarosław Królewski. Skrzyknęli ludzi, wyemitowali dla kibiców akcje o wartości 4 mln zł, które zostały sprzedane w 24 h. To dowód na gigantyczny potencjał miękkich relacji społecznych, na coś, czego władza często nie potrafi wykorzystać. I tutaj chcę się przydać i dać dobry przykład. I samorządowcom, i politykom centralnym.

eprasa.pl a357259d8c



SIECI

Dodatek z okazji
80. rocznicy wybuchu
II wojny światowej

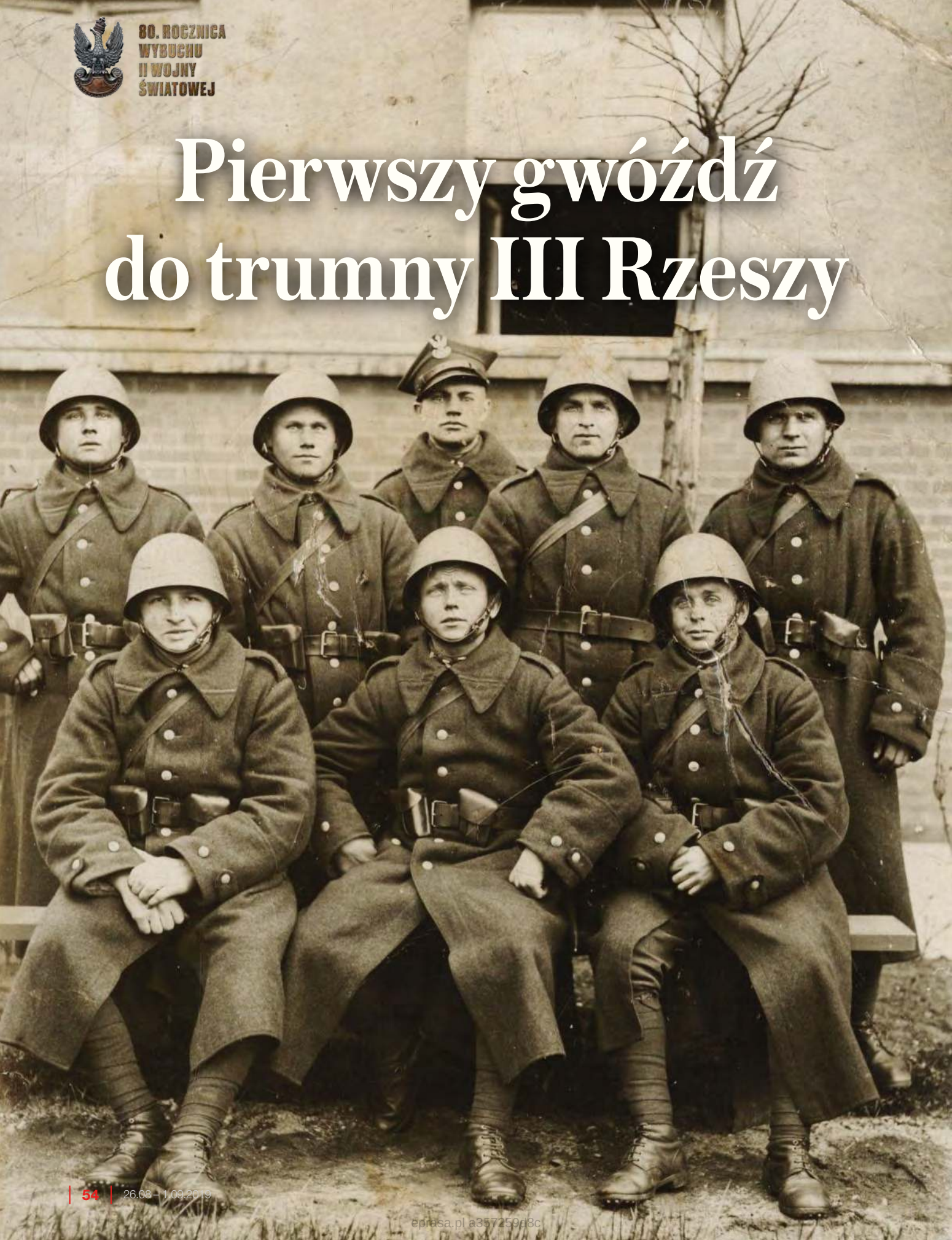
Polskie męstwo

PRZECIWKO NIEMIECKIEJ

ZAGŁADZIE

eprasa.pl a357259d8c

Pierwszy gwóźdź do trumny III Rzeszy



eprasa.pl a357259e8c

Gdyby nie nasza twarda obrona we wrześniu 1939 r. i gdyby Hitler zaatakował aliantów kilka miesięcy wcześniej, nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy II wojny światowej

Przed wrześniem 1939 r. Sztab Główny Wojska Polskiego prawidłowo odczytał kierunki niemieckiego uderzenia. Licząc na wypełnienie sojuszniczych zobowiązań przez Francję i Anglię, rozlokował wojska wzdłuż całej granicy z Niemcami (nazwa umowna – „Plan A"). Ponieważ po wkroczeniu Adolfa Hitlera do Słowacji rok wcześniej III Rzesza otaczała Rzeczpospolitą z trzech stron, inną koncepcją obrony, którą poważnie brano pod uwagę, była koncentracja głównych sił za linią Wisły, umożliwiająca działania opóźniające i potem wyprowadzenie kontruderzenia (nazwa umowna – „Plan B"). Do dziś trwa dyskusja, który z tych dwóch wariantów obrony polskiego terytorium byłby bardziej skuteczny. Strony przychylają się do stanowiska Sztabu Głównego sprzed wojny, który postawił na wariant pierwszy. Jednak w „Planie A" nie wszystkie założenia się sprawdziły. Czy gdyby wzięto pod uwagę rozwiązania, które narzucały się same, można się było bronić dłużej przy mniejszych stratach, a nawet wygrać z przeważającym przeciwnikiem?

KONSEKWENCJE „PLANU A"

Dosyć poważnym problemem politycznym była obawa, że konflikt nie rozszerzy się poza jego lokalny charakter. Krytykowane często położenia sił polskich na zachodzie kraju, a nie w planowanym punkcie naturalnego oporu, jakim jest środkowy łuk Wisły, nie było przypadkowe. Polskiej dyplomacji spędzała sen z powiek ewentualna sytuacja „wyjadania" Rzeczypospolitej na drodze dyplomatycznej. Niemieckie wojska mogłyby zająć Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk i zażądać zwołania międzynarodowej konferencji pokojowej, mającej na celu aneksję „tylko i wyłącznie terenów z rdzenną ludnością niemiecką". Bez wątpienia w Europie znalazłoby się wielu polityków, którzy zaakceptowaliby Polskę w granicach Królestwa Polskiego, ulegając kolejny raz hitlerowskiej „taktyce salami". W wariancie najgorszym, w przypadku zajęcia terenów wschodnich przez Sowietów, w rękach polskich pozostałby kadłubek w kształcie zbliżonym do późniejszej Generalnej Guberni, który straciłby jakiekolwiek znaczenie i podmiotowość międzynarodową, co skończyłoby się wcześniej czy później wejściem w orbitę niemiecką lub sowiecką albo podziałem zgodnie z paktem Ribbentrop–Mołotow.

„Plan A" narażał co prawda nadmiernie rozciągniętą polską armię na szybsze rozbicie, ale za to, według założeń, miał chronić całe połacie kraju przed zalewem Wehrmachtu i zniszczeniem, do którego niechybnie by doszło, gdyby trzeba było w ramach kontruderzenia odbijać go z rąk niemieckich. Ponieważ według umów międzynarodowych zachodni alianci mieli zaatakować Niemcy w ciągu dwóch tygodni, Sztab Główny postawił sobie tylko jeden cel strategiczny. Ta „cienka zielona linia" wojsk polskich ustawiona wzdłuż granic musiała zachować zdolność operacyjną co najmniej do 15 września, nie pozwolić przekroczyć wojskom Hitlera linii Wisły oraz za wszelką cenę utrzymać Warszawę jako najważniejszy węzeł komunikacyjny.

Niemcy uderzyli w trzech kierunkach. Grupa Armii Północ z zachodu na wschód przez Bory Tucholskie (4 Armia), przecinając „Korytarz", aż do Prus Wschodnich, by po połączeniu z 3 Armią (atak z Prus Wschodnich w kierunku Mławy) uderzyć na polskie tyły, idąc na Warszawę i Brześć Litewski. Grupa Armii Południe wyprowadziła dwa uderzenia główne: na Lwów przez Kraków (14 Armia) oraz spod Opola na Warszawę (10 Armia). Natarcie boczne, wspierające i chroniące od północy marsz na stolicę 10 Armii, wyszło spod Wrocławia i kierowało się w stronę Łodzi (8 Armia). Celem strategicznym Oberkommando des Heeres (OKH – naczelnego dowództwa Wojsk Lądowych) było rozbicie polskiej armii, zanim przekroczy Wisłę, i zajęcie Warszawy. To wszystko miało się zdarzyć przed ewentualnym uderzeniem aliantów z Zachodu. Niemcy mieli jeszcze asa w rękawie. Był nim tajny załącznik do paktu Hitlera ze Stalinem, który zapewniał wkroczenie Armii Czerwonej na teren wschodniej połowy Rzeczypospolitej, i dlatego w swym planie strategicznym OKH mogło nie brać pod uwagę Kresów wraz z trudnym terenem bagien Prypeci. To znacznie ułatwiało zadanie. Jednak z drugiej strony Hitler nie znał daty wkroczenia Sowietów i z obawy przed ciosem w plecy z Zachodu musiał planować rozstrzygnięcie kampanii (pozbawienie zdolności operacyjnej Wojska Polskiego przed linią Wisły) w ciągu maksimum dwóch tygodni. Sztab Główny w Warszawie zadawał sobie natomiast pytanie: czy pięć armii rozciągniętych wzdłuż zachodnich granic („Pomorze", „Poznań", „Łódź", „Prusy" i „Kraków") wytrzyma niemiecki cios, zachowując wartość bojową do planowanej kontrofensywy wspierającej atak od strony Francji. Wszystko teraz zależało od zdolności dowódczych kadry oficerskiej i bitności szeregowych żołnierzy, bo na przewagę materiałową Sztab Główny Wojska Polskiego nie mógł liczyć.

1 września 1939 r. w momencie ataku stosunek sił przedstawiał się dla nas wyjątkowo niekorzystnie. Zdążyliśmy zmobilizować 39 dywizji piechoty i 13 brygad kawalerii (ok. 1 mln żołnierzy). Z 104 dywizji przeciwnik rzucił na nas 72 (ok. 1,5 mln ludzi). W tym wszystkie pancerne, lekkie (półpancerne) i zmotoryzowane w liczbie – 15. Do tego dochodziła pięciokrotna przewaga w czołgach (Niemcy posiadali ok. 2,5 tys. sztuk), podobna w samolotach (mniej więcej 2 tys. do 400). Nie wspominając o artylerii (9 tys. do 2,8 tys.). Należy tylko dodać, że siła og-

Fot. zbiory Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą

eprasa.pl a357259d8c



Stanowisko polskiego ciężkiego karabinu maszynowego

Fot. zbiory Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą

nia każdej niemieckiej kompanii piechoty była niewspółmiernie większa od jej polskiego odpowiednika.

Pierwsze trzy dni wojny zdawały się po części potwierdzać przewidywania dowództwa Wojsk Polskich. Choć na północy niemieckiej 4 Armii udało się w Borach Tucholskich złamać opór Armii „Pomorze", to jej dowódca gen. dyw. Władysław Bortnowski w szybkim odwrocie „schował" gros jej siły w widłach Wisły i Noteci ze zdolnością utrzymania tzw. przedmościa bydgoskiego. Od północy osłaniała go trudna do sforsowania dla jednostek szybkich podmokła dolina Noteci, a od północnego wschodu Wisła w swoim środkowym i górnym biegu. 4 Armia gen. por. Günthera von Klugego ominęła łukiem te przeszkody i skierowała się w stronę Warszawy prawym brzegiem rzeki, zostawiając Armię „Pomorze" w spokoju. Z kolei na południowym zachodzie Polski 10 Armia gen. art. Waltera von Reichenaua, dysponująca bronią pancerną, oddziałami motorowymi, wykonując swoją przełamująca rolę, próbowała się wbić klinem pomiędzy Armie „Łódź" i „Kraków", została przyhamowana pod Mokrą. Tam, kiedy czwarty, frontalny atak czołgów 4 Dywizji Pancernej zostaje odparty przy użyciu ostatniego odwodu – 2 pułku strzelców konnych – Niemcy dają za wygraną. 4 Dywizja Pancerna przez dwa dni była niezdolna do zdecydowanej akcji. „Bój ten był oczywistym tryumfem bezwzględnej woli walki i wybitnej sztuki dowodzenia nad iście teutońską taktyką fizycznego miażdżenia przeciwnika" – stwierdził w swojej książce „Bitwy polskiego września" Apoloniusz Zawilski. Wprawdzie Armia „Kraków" na południu również się cofała, ale od okrążenia i rozbicia uratowała ją 10 Brygada Kawalerii Pancernej płk. Stanisława Maczka. Jednostka na wskroś nowoczesna i przy tym świetnie dowodzona.

NIE DLA WALNEJ BITWY

Spalenie na panewce planowanego przez Niemców blitzkriegu już na początku działań przeciwko Polsce i trzydniowa bitwa graniczna pozwoliły na dyplomatyczny oddech, skłaniając Wielką Brytanię i Francję do podjęcia decyzji o wypowiedzeniu Niemcom wojny. De jure oznaczało to koniec konfliktu lokalnego. Czyli rozpoczęcie wojny światowej. Okazało się, że Polska staje się podmiotem międzynarodowym i nie da się jej zniszczyć na drodze fałszywej dyplomacji. Hitler musiał od 3 września 1939 r. mieć świadomość, że dobiegły końca dyplomatyczne rauty, a rozpoczynają się działania na pełną skalę. Trzeciego dnia finał znalazła tzw. wojna obronna Polski, a rozpoczęła się kampania wrześniowa – jako jeden z elementów wojny światowej. Wbrew pozorom był to początek końca III Rzeszy i jej wodza. Jako Polacy winniśmy mieć szacunek dla Brytyjczyków i Francuzów. Mimo dość powszechnej opinii, że zrobili za mało w 1939 r., powinniśmy pamiętać, że sama realizacja zobowiązań sojuszniczych nie była tak oczywista. W okopach wielkiej wojny 1914–1918 pozostało tak dużo roczników angielskich i francuskich, że ruchy pacyfistyczne były bardzo silne w tych krajach, a decyzje o działaniach wojennych bardzo niepopularne politycznie.

Kiedy się spojrzy z perspektywy 80 lat, wyraźnie widać, że w założeniach dowództwa Wojska Polskiego został popełniony dość poważny błąd, który skrócił czas naszej obrony i spowodował większe straty. Tym bardziej że nasi sztabowcy jeszcze przed wybuchem konfliktu analizowali ten problem.

Skoro o powodzeniu planu obrony kraju miały rozstrzygnąć boje opóźniające i sprawne wycofywanie się pod naporem Wehrmachtu „na z góry upatrzone pozycje" (za Wisłę), to należało w pierwszej fazie działań wojennych rozpatrzyć możliwość rozegrania walnej bitwy. „Zalążki późniejszego rozwoju sytuacji, który w ostatecznej konsekwencji doprowadził do bitwy nad Bzurą, tkwiły niewątpliwie w planie koncentracji i osłony armii polskiej. Zgodnie z nim armie »Poznań« i »Pomorze« w ramach swoich zadań osłonowych i mobilizacyjnych, wynikających z racji raczej politycznych niż wojskowych, wysunęły się daleko na Zachód w stosunku do podstaw wyjściowych i obszaru koncentracji pozostałych armii polskich oraz 8, a zwłaszcza 10 i 3 armii niemieckich" – pisał Jerzy Romuald Godlewski w jednym z najlepszych opracowań bitwy nad Bzurą. Tak więc siłą rzeczy nad dwoma dużymi niemieckimi związkami operacyjnymi prącymi na Łódź i Warszawę stworzył się na ich północnym skrzydle nawis w postaci trzech dywizji piechoty (16, 17 i 25 DP) oraz Wielkopolskiej Brygady Kawalerii (Armia „Poznań"), w których kierunku powoli spływały znad Noteci i Wisły na południowy wschód trzy dywizje piechoty (9, 15 i 27 DP) wraz z Pomorską Brygadą Kawalerii Armii „Pomorze". Przełamująca 10 Armia, a konkretnie jej związki szybkie, kiedy tylko pozbierały się po bitwie pod Mokrą, z całym impetem uderzyły na ryglującą im dostęp do stolicy i Wisły Armię „Łódź" oraz wyjątkowo nieudolnie koncentrującą się i dowodzoną (przez gen. Stefana Dąb-Biernackiego – potem zdegradowanego i wyrzuconego z wojska) na jej tyłach potężną Armię Odwodową „Prusy", pogłębiając wyłom. Sytuacja dojrzała do polskiego kontrataku z „nawisu" siłami najpierw Armii „Poznań", a potem „Pomorze".

Dostrzegał to najlepszy strateg wśród polskich dowódców gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba z Armii „Poznań". Mimo jego propozycji składanych jeszcze przed

eprasa.pl a357259d8c



Przebieg Kampanii Wrześniowej przedstawiony w niemieckiej książce propagandowej z 1940 r.

1 września naczelny wódz nie zdecydował się na walne rozstrzygnięcie kampanii przed linią Wisły, preferując odwrót oraz walki opóźniające. Na jego usprawiedliwienie przemawia to, że nieznane wtedy były możliwości operacyjnych i taktycznych niemieckich związków pancernych, które, jak pokazała praktyka, z szybkością błyskawicy potrafiły wyprzedzać cofające się dużo mniej mobilne armie polskie, oskrzydlać je, pozostawiając dokończenie dzieła nadciągającej za nimi piechocie. Gen. Kutrzeba już 3 września dostrzegł możliwość wyprowadzenia kontruderzenia, które miało duże szanse powodzenia. Biorąc pod uwagę trzy dni na koncentrację sił, niespodziewany atak na północne skrzydło i tyły osłonowej niemieckiej 8 Armii mógł spaść już 6 września, w momencie kiedy siły nieprzyjacielskie przełamywały opór Armii Łódź" broniącej linii rzeki Warty koło Sieradza. Wtedy przy koordynacji działań przez Naczelne Dowództwo związku operacyjnego gen. Kutrzeby z Armiami „Łódź", a także „Prusy" powstawała szansa na rozbicie słabszej 8 Armii oraz odcięcie gnających ku Warszawie i Wiśle dwóch dywizji pancernych, wspieranych idącą daleko z tyłu za nimi piechotą 10 Armii.

Choć gry wojenne pokazują, że w sumie i tak byśmy przegrali, to opór mógłby być stawiany dłużej i przy mniejszych stratach. Jednak nalegania gen. Kutrzeby spotykały się z konsekwentną odmową zgody naczelnego wodza na taki manewr. Marszałek Edward Śmigły-Rydz udzielił w końcu zezwolenia, ale dotarło ono do sztabu Armii „Poznań" dopiero 11 września. Gen. Kutrzeba zaatakował dwa dni wcześniej, rozpoczynając największą kontrofensywę do czasu sowieckiej akcji pod Wielkimi Łukami w lecie 1941 r. Po początkowych naszych sukcesach Niemcom udało się przejąć inicjatywę kosztem odstąpienia od szturmu na Warszawę i zamknąć dwie polskie armie w kotle pomiędzy Łowiczem a Wyszogrodem. Jednak gen. Kutrzebie udało się doprowadzić postrzępione jednostki Armii „Poznań" – ok. 50 tys. żołnierzy (Armia „Pomorze" została rozbita) – do Warszawy, choć ze stratami dużo większymi, niż by poniesiono, atakując trzy dni wcześniej.

Korzystniejsze rozstrzygnięcie polskiej ofensywy rozpoczętej 6, a nie 9 września raczej nie miałoby wpływu na decyzję powziętą 12 września 1939 r. przez francusko-brytyjską Najwyższą Radę Wojenną w Abbeville o niepodejmowaniu generalnej ofensywy lądowej na froncie zachodnim i działań powietrznych RAF nad Niemcami z możliwością korekty w dniu 21 września. Nigdy do tego nie doszło i szansa ta została zaprzepaszczona sowieckim atakiem 17 września, który pozbawił Polaków dalszej możliwości zorganizowanej obrony.

CZAS SPRZYMIERZONYCH

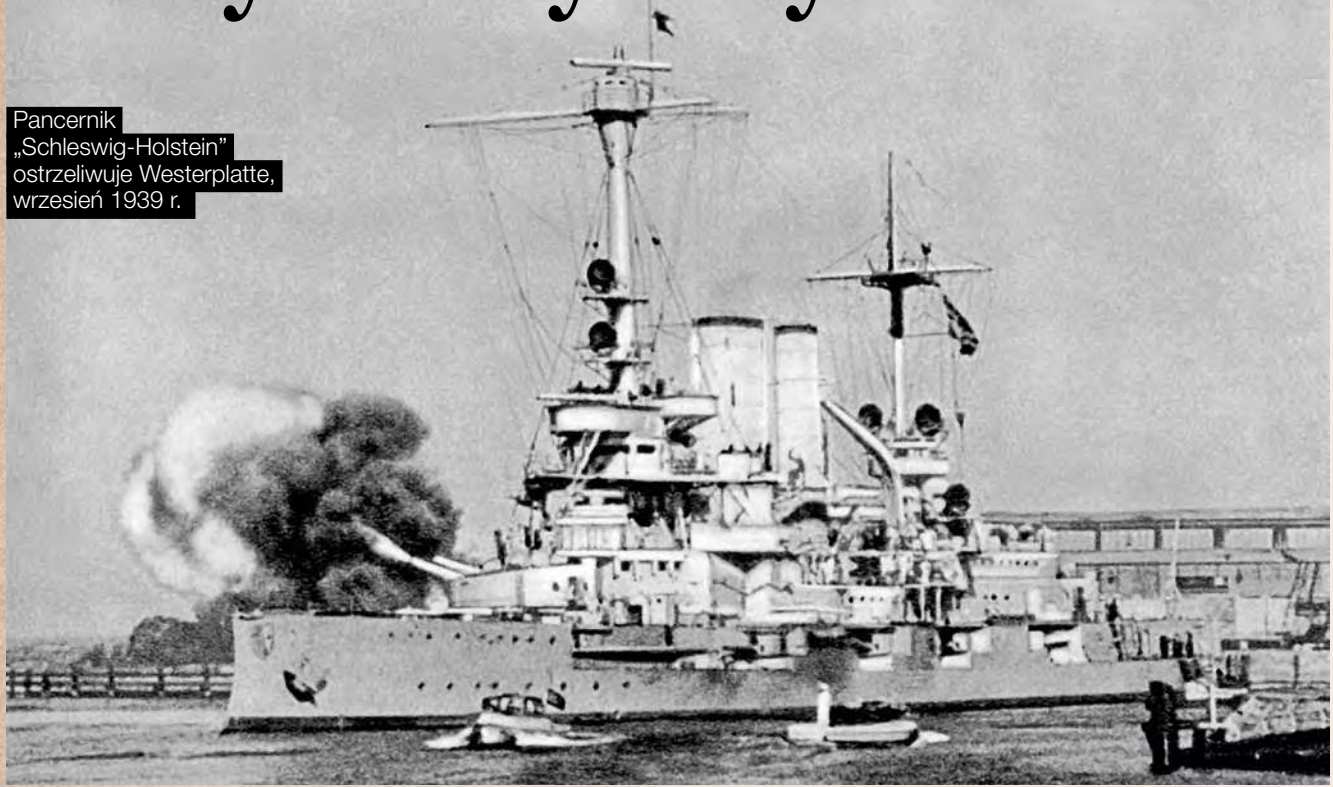
Po dwóch tygodniach walk, kiedy powinna ruszać znad Renu wielka ofensywa francusko-angielska, dowódca walczącej na froncie polskim 4 Dywizji Pancernej gen. Georg-Hans Reinhardt meldował, że posiada tylko 113 czołgów z 324 stanu wyjściowego. W ciągu następnych dwóch dni jednostka ta straciła kolejne 50 wozów bojowych podczas odpierania polskiej kontrofensywy nad Bzurą. Jej zdolność zaczepna spadła do 20 proc. Po zakończeniu działań wojennych w Polsce Wehrmacht dysponował zapasami amunicji tylko na dwa tygodnie walki. W tym czasie na granicy francusko-niemieckiej stało pod bronią 90 dywizji piechoty, 2,5 tys. czołgów lepszych jakościowo od niemieckich, 10 tys. dział i 1,8 tys. samolotów, z czego ok. 1 tys. bombowych. Droga do Berlina, dzięki postawie polskiej armii, stała dla sprzymierzonych otworem.

Nasza twarda obrona w kampanii wrześniowej przyniosła nieoczekiwane zwycięstwo niecały rok później. Dała Wielkiej Brytanii czas na wyprodukowanie tylu samolotów, by mogły one pokonać Luftwaffe w bitwie o Anglię. Gdyby Hitler zaatakował aliantów kilka miesięcy wcześniej, nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy II wojny światowej. Kampania wrześniowa stała się więc pierwszym gwoździem do trumny III Rzeszy.

Andrzej Rafał Potocki, Paweł Rozdżestwieński

eprasa.pl a357259d8c

Obrona Westerplatte: tylko czy aż tydzień?



Pancernik „Schleswig-Holstein" ostrzeliwuje Westerplatte, wrzesień 1939 r.

Fot. Archiwum Ziemian/East News

Nawet Niemcy uznali bohaterstwo obrońców Westerplatte. „Walczyliście dzielnie" – mówi po siedmiu dniach zaciekłych walk do idących do niewoli Polaków kontradmirał Gustav Kleikamp, dowódca pancernika „Schleswig-Holstein"



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Podmuch wystrzału z pancernika stojącego w poprzek Martwej Wisły tuż przed Zakrętem Pięciu Gwizdków był tak silny, że dosłownie zmiótł z nabrzeża po niemieckiej stronie (Neufahrwasser – Nowy Port) dwa solidne budynki. Jednym z nich był Seemannsheim (Dom Żeglarza). W następnej kolejności fala uderzeniowa poważnie uszkodziła wartownię Schutzpolizei, stojącą tuż obok głównej bramy Wojskowej Składnicy Tranzytowej. To z niej przed wojną gdańscy policjanci fotografowali każdego, kto wkraczał na teren placówki. Były to pierwsze straty wyrządzone historyczną salwą. Dowódca pancernika szkolnego „Schleswig-Holstein" kmdr Gustav Kleikamp zerknął na cyferblat swojego zegarka. Być może w tym momencie przypomniał sobie niedawną rozmowę z wysokim komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku, szwajcarskim dyplomatą prof. Carlem Burckhardtem, kiedy zmieszany na twarzy niespodziewane wyznał mu: „Otrzymałem straszne polecenie, którego nie mam po prostu sumienia wykonać". Ale jednak wykonał. Dokładnie 1 września o godzinie 4.48.

„NA POMOC. JESTEŚMY NAPADNIĘCI!"

„Teraz huk wystrzału zlał się w jeden potężny grom" – pisze Mateusz Wójtowicz-Podhorski, kierownik filii Muzeum II Wojny Światowej na Westerplatte w swoim opracowaniu „Obrona Westerplatte 1939". Do ostrzału skład-

eprasa.pl a357259d8c

nicy włącza się artyleria okrętowa kalibru 150 mm, cekaemy z pancernika i te ppor. mar. Paula Hartwiga ukryte w zabudowaniach Neufahrwasser po drugiej stronie rzeki. Niemiecki ogień staje coraz bardziej gwałtowny. Plut. Władysław Baran wspina się na drewniane schodki przy murze placówki „Prom". Potężny wybuch wyrzuca go łukiem w zasieki na przedpolu. Ogłuszony i zdezorientowany wraca chwiejnym krokiem na stanowisko. Nagle zza Martwej Wisły, tuż przed 5.00 rano, odzywa się ukryte w uliczkach Nowego Portu podwójne, sprzężone działko automatyczne 2 cm Flak 30. Siecze bezlitośnie. Jeden z pocisków przebija stalową osłonę okienka strzelniczego i z impetem wpada do środka wartowni nr 3. Odpryski ze ścian powodują niesamowity kurz. Gdy opada, okazuje się, że na podłodze leży bez głowy st. strz. Konstanty Jezierski. Był pierwszym żołnierzem poległym w obronie polskiej placówki na Westerplatte. Dowódcy najgroźniejszej „platformy artyleryjskiej" – „Schleswiga-Holsteina" – nie spodziewali się, że przygotowane punkty oporu znajdą się tak blisko ich okrętu. Bili w budynki składnicy położone dalej. Pociski smugowe utworzyły coś w rodzaju baldachimu nad pierwszą linią oporu (placówka „Prom"), jak wspominał chor. Jan Gryczman, zastępca dowódcy „Promu". „Chłopcy do broni. To nie poligon, to wojna – wołał z opanowaniem w głosie, zagrzewając do walki przechodzących właśnie chrzest bojowy podkomendnych. – Baran, przygotować cekaemy i natychmiast po ustaniu nieprzyjacielskiego ognia zająć stanowiska bojowe". Dowódca obrony Westerplatte mjr Henryk Sucharski zbiega do pomieszczenia radiostacji w koszarach i nadaje otwartym tekstem odebranym na Helu: „Na pomoc. Jesteśmy napadnięci!".

Po ośmiu minutach, w których „Schleswig-Holstein" wystrzelił 8 pocisków kal. 280 mm, 59 – kal. 150 oraz 600 z ckm MG C/30 kompania szturmowa niemieckich „marines", którzy jeszcze nocą zeszli z pokładu okrętu, była gotowa do ataku. „Przejdziecie przez Westerplatte spacerkiem – wspominał słowa dowódcy por. Wilhelma Henningsena żołnierz Kompanii Szturmowej Helmuth Schauer. – Westerplatte to drobiazg, chłopcy, niewielu tam broni" – oficer zagrzewał swoich 243 piechurów morskich w dość nieoczekiwany sposób. Nieoczekiwany, gdyż wywiad niemiecki w dużym stopniu miał wiedzę o obrońcach i fortyfikacjach, które, nawiasem mówiąc, były małym arcydziełem sztuki obronnej. Ukryte pod cywilną zabudową (willa podoficerska) schrony bojowe, dwupoziomowe wartownie wypełnione bronią maszynową, rowy strzeleckie, zasieki, ale przede wszystkim świetnie ułożone pola ostrzału stanowiły wbrew pozorom twardy orzech do zgryzienia dla szturmującej piechoty. Do tego 235-osobowa załoga przeszkolona dodatkowo w obsłudze cekaemów i dział, dowodzona przez doświadczonych oficerów i podoficerów w części pamiętających jeszcze walki z wojny polsko-bolszewickiej. Wąski pas lądu pomiędzy Zatoką Gdańską a Martwą Wisłą, kilkadziesiąt metrów za murem, broniły umocnienia placówki „Prom" (dowódca por. Leon Pająk, zastępca chor. Jan Gryczman) oraz tzw. wał kpr. Edmunda Szamlewskiego, lekko wysunięty w stronę muru w stosunku do pozycji „Promu". Niecałe 100 m za nim od strony plaży wejścia na teren półwyspu chroniła placówka „Fort" z matem Bernardem Rygielskim jako dowódcą. Dalej w głąb terenu rozciągała się sieć wzajemnie chroniących się ogniem, zbudowanych na planie okręgu, pięciu wartowni (bunkrów) z koszarami w środku, a na zewnątrz z innymi placówkami ryglującymi pozostałe podejścia od strony ujścia Martwej Wisły. Choć załoga Westerplatte odpowiadała liczbowo sile kompanii, to w rzeczywistości jej siła ognia (wzmocniona większą liczbą broni maszynowej, trzema działkami przeciwpancernymi wz. 36 Bofors kal. 37 mm oraz jedną armatą wz. 02 kal. 76,2 zw. „Prawosławną", a do tego czterema nowoczesnymi i supercelnymi moździerzami Stokes-Brand kal. 81 mm) stanowiła potęgę co najmniej ówczesnego batalionu.

> Odpryski ze ścian wartowni nr 3 powodują niesamowity kurz. Gdy opada, okazuje się, że na podłodze leży bez głowy st. strz. Konstanty Jezierski. Był pierwszym żołnierzem poległym w obronie polskiej placówki na Westerplatte

Tuż przed 5.00 rano z pancernika strzelają w powietrze czerwone race. To sygnał do rozpoczęcia szturmu. „Marines" posuwają się skokami w stronę polskich pozycji. Prawa flanka II Plutonu wraz z Plutonem Saperów kieruje się w stronę tzw. wału, a lewa, w pewnej odległości za nimi na przedpole placówki „Prom". Kpr. Szamlewski czeka, aż przed lufą jego rkm Browning wz. 28 dostrzeże rysy twarzy atakujących. Kiedy do tego dochodzi, rozpętuje się piekło. Seria za serią kosi szturmujących Niemców. Ci ustępują w kierunku „Promu". Ogień jest tak zaplanowany, by złapać wroga w pułapkę. Niemiecka piechota miota się między Szamlewskim a Baranem, a ci podają ich sobie jak w grze zasięgu najgorszego strzału – bocznego. Plutonowy Władysław Baran ze swoim ckm wz. 30 nie ma litości. Niemcy, mając za plecami mur, a z przodu i z boku lawinę pocisków, mimo wszystko nie ustępują. Część nawet posuwa się do przodu.

„Niech Bieniasz strzela, bo nie wytrzymam" – na stanowisku moździerzy w telefonie słychać głos por. Pająka, dowódcy „Promu". „Działon pierwszy i drugi, ogień punktowy, krąg 32, bęben 0 po jednym ognia!" – plut. Józef Bieniasz kieruje stalową burzę na głowy szturmujących. Słychać już trąbkę. Sygnał odwrotu. Z niezrozumiałych względów dowódca obrony Westerplatte mjr Henryk Sucharski przerywa ogień. Wystrzelono 104 granaty moździerzowe z 860 będących na stanie. Niepowodzeniem skończył się

eprasa.pl a357259d8c

również atak I Plutonu niemieckiej Piechoty Morskiej na placówkę „Fort". Mat Rygielski, skutecznie operując ckm wz. 30, powstrzymał natarcie na plaży. W międzyczasie wytoczono na pozycje artylerię. Wsparta huraganowym ogniem broni maszynowej zlikwidowała wrogie punkty ogniowe po drugiej stronie rzeki, w tym działko automatyczne 2 cm Flak 30, które zabiło st. strz. Jezierskiego.

„WESTERPLATTE BRONI SIĘ NADAL"

Niemcy choć ponieśli straty, nie stracili bojowego ducha. Zmienili jednak taktykę. Kmdr Kleikamp ściągnął wsparcie 60 ludzi z SS Heimwehr Danzig, podsunął okręt bliżej i o 7.38 rozpoczął drugi, dłuższy ostrzał półwyspu skoncentrowany na placówce „Prom". Polacy usiłowali z armaty trafić w dalmierz na szczycie fokmasztu pancernika, ale kontrakcja dział 88 mm roztrzaskała im lewe koło „siedemdziesiątki szóstki", unieszkodliwiając „Prawosławną". Pierwsza grupa atakujących nadziewa się na rkm st. strz. Zięby, który dosłownie masakruje Niemców. I znowu ryknęły działa z pancernika. Bliski wybuch rzuca dowódcę „Promu" por. Pająka w tył, rozrywając mu brzuch i krocze. Teren placówki przypomina księżycowy krajobraz, a piechota wroga obchodzi pozycję. Pada rozkaz wycofania się do wartowni nr 1. Pod osłoną mistrza ckm plut. Barana załoga biegnie do zbawczego bunkra. W zaporowym ogniu „ze wszystkich luf" prawie wszystkim, łącznie z cekaemistą dźwigającym 21-kilogramową broń, udaje się wycofać. Ginie strz. Uss. Po drodze plut. Baran schyla się nad ciężko rannym kpr. Andrzejem Kowalczykiem, ale ten mówi: „Władziu, ze mnie i tak nic nie będzie, wy się tylko trzymajcie i nie poddajcie". Szturm trwa dalej. Pociski z pancernika wybuchają wokół wartowni 2, 5 i 6. Kpt. Dąbrowski wydzwania po stanowiskach bojowych i dodaje otuchy walczącym. „Chłopcy, nie dajcie się! Bić wroga do ostatniego tchu!" – krzyczy w słuchawkę. O 12.30 por. Wilhelm Henningsen, dowódca niemieckiego ataku, pada śmiertelnie ranny przeszyty serią z wartowni nr 5. Kmdr Kleikamp odnotowuje w dzienniku bojowym: „Kwadrans przed pierwszą cichnie ogień na Westerplatte". Bilans tego pięcioipółgodzinnego ataku był fatalny dla Niemców: 16–20 zabitych i 60 rannych, w większości ciężko. Obrońcy stracili 4 żołnierzy, 12 zostało rannych, w tym 2 ciężko.

Następny dzień upłynął na odpoczynku. Żołnierze pod okiem podoficerów czyścili broń. Wokół panowała złowroga cisza. O 18.00 nadciągnęła burza. 60 bombowców nurkujących Ju-87B Stuka runęło na Wojskową Składnicę Tranzytową. Każdy uzbrojony był w trzy bomby. Jedną 250 kg i dwie po 50 kg. Niektórym pod brzuch podczepiono jedną, ale za to półtonową. Nad celem piloci włączyli elektropneumatyczne syreny i samoloty z przeraźliwym wyciem runęły trójkami w dół. Dowódca wartowni nr 5 plut. Adolf Petzelt zdążył krzyknąć tylko: „Wszyscy na dół!". Kiedy dwie bomby obramowały schron, a jedna, ćwierćtonowa, trafiła bezpośrednio „nastąpił ogromny huk i trzask – wspomina kpr. Szamlewski. – Straciłem przytomność". Strz. Józef Kaczanowski nie mógł opanować grozy, jaka owładnęła nim w momencie zbombardowania: „Ile tego żelastwa spadło na nasz teren! Na naszą wartownię, rozbitą doszczętnie. Kiedy ucichła ta nawała ognia z powietrza, uniosłem głowę i ujrzałem nade mną jakoś dziwnie zawieszonego na szczątkach konstrukcji mojego dowódcę Petzelta". Dwie bomby trafiły w koszary. Zginęło dwóch obrońców. Ale w doszczętnie rozbitej wartowni nr 5 straty były największe. Śmierć dosięgła aż 8–12 żołnierzy. Poważną stratą było także zniszczenie moździerzy Stokes-Brandt, które nieopatrznie pozostawiono pod ścianą koszar.

> O 10.30 z mostku pancernika „Schleswig-Holstein" obserwator dostrzega wywieszoną białą flagę. Polacy idą do niewoli umyci, ogoleni i przebrani w czyste mundury. 5 oficerów, 27 podoficerów, 158 żołnierzy i 9 rannych

Tuż po nalocie dochodzi do nieprzyjemnego incydentu. Mjr Sucharski z niewiadomych przyczyn rozkazuje strz. Gęburze wywiesić białą flagę. Zastępca Sucharskiego, kpt. Dąbrowski, reaguje błyskawicznie. Dochodzi do ostrej wymiany zdań między nimi. Załamany komendant Westerplatte nagle dostaje ataku epilepsji. W tej sytuacji dowodzenie przejmuje jego zastępca. Wspomina plut. Mieczysław Wróbel: „To Dąbrowski poderwał nas do walki, odważny nie bał się niczego. Wszystko trzymał mocno w garści, dowodził do końca". Biała flaga zostaje zdjęta. „Westerplatte broni się nadal" – komunikuje po raz kolejny Polskie Radio, podtrzymując na duchu cały kraj.

Trzeciego dnia oblężenia Niemcy zastanawiają się, jak skutecznie pokonać przeciwnika. Dowódca ściągniętej drogą lotniczą z Rzeszy dodatkowej kompanii saperów ppłk Karl Henke oświadcza, że bez użycia superciężkich moździerzy 210 mm Westerplatte jest nie do ugryzienia. W południe nasłuch radiowy przekazuje informacje, że „Wódz Naczelny pozdrawia załogę Westerplatte i wzywa do wytrwania na posterunku". Wypuszczony z izolatki mjr Sucharski snuje się w suterenach koszar między obrońcami. Nie wydawał rozkazów, nie interesował się tym, co się dzieje na linii obrony.

„SŁUCHAJ, KUBA. TA SZABLA TOBIE SIĘ NALEŻY"

Czwartego dnia Niemcy stosują się do rozkazu wydanego osobiście przez Adolfa Hitlera: „Zrezygnować z wykonania operacji Westerplatte 4 września". Przybyły zamówione przez dowódcę saperów moździerze 210 mm, które ustawiono koło Twierdzy Wisłoujście. Wcześniej z odległości 1,5 mili otwiera ogień ze swoich dwóch dział kal. 105 mm okręt T-196. Ostrzał jest wyjątkowo chaotyczny, a pociski z kontrtorpedowca

eprasa.pl a357259d8c



Polscy jeńcy w rękach niemieckich żołnierzy na Westerpaltte, wrzesień 1939 r.

Fot. East News

przelatują przez Martwą Wisłę i trafiają w spichlerz Anker, w którym Niemcy umieścili stanowiska swojej broni maszynowej. Tymczasem mjr Sucharski według relacji ppor. Kręgielskiego „był do tego stopnia załamany, że nie potrafił się opanować przed szeregowymi (chodził z błędnym wzrokiem, pianą na ustach i stale powtarzał: »Co to będzie, co to będzie«". W końcu zareagował kpt. Dąbrowski, mówiąc: „Heniek, jeszcze raz ukażesz się wśród szeregowych, to cię zamknę". Mjr Sucharski odpowiedział tylko: „Ja już nie mogę, ja już nie mogę".

Noc minęła spokojnie, ale piątego dnia obrony, punktualnie o 9.00, rozpoczęła ostrzał bateria spod Wisłoujścia. Niemcy skoncentrowali ostrzał na wartownię nr 2. Potęga ognia spowodowała, że schron dosłownie pękł na pół. Kiedy po 10.45 opadł kurz ostatnich eksplozji, nieoczekiwanie z wartowni nr 2 odzywa się seriami polski ckm. Przeciwnik nie podjął dalszej akcji. Tymczasem w koszarach mjr Sucharski zwołuje naradę, na którą nie zaprosił swojego zastępcy. Ciągle usiłuje przekonać oficerów do poddania placówki. Dyskusję kończy por. Stefan Grodecki, jego adiutant, wskazując na Krzyż Virtuti Militari: „Panie majorze! A to pana nie zobowiązuje?!".

Przed świtem 6 września niemieccy saperzy chwytają się fortelu. Wytaczają na tory wiodące do składnicy cysternę z 20 tys. l paliwa. Jednak maszynista parowozu pchnął ją za słabo i zbiornik stoczył się w kierunku pozycji niemieckich i tam eksplodował. Około 9.00 otwiera ogień pluton moździerzy z SS Heimwehr „Danzig". Jeden z pocisków wybucha tuż przy ścianie wartowni nr 6, przesuwając ją gwałtownie do środka. Ciężkiemu zranieniu uległ leg. Władysław Łakomiec (pęknięty kręgosłup). Saperzy nie ustępują i próbują sztuczki z drugą cysterną. Miała ona podpalić poszycie i las, czyli „wykurzyć" ogniem ukrytych Polaków na przedpolu oraz w koronach drzew. Tym razem do akcji weszło działko przeciwpancerne Boforsa, niszcząc w porę zagrożenie.

Ostatni dzień obrony tak wspominał kpt. Dąbrowski. Jest 7 września 1939 r. godzina 4.30: „Rozpoczyna się ogień artylerii i moździerzy. Natężeniem swym przewyższa on wszystko, co do tej pory przeżyliśmy. Pod ogniem jest cały teren Westerplatte wraz ze wszystkimi obiektami obronnymi. [...] Prawdziwa lawina ognia i stali". Tuż przed końcem ostrzału do rozpoznania ogniem ruszają trzy rzuty oddziałów spod Mewiego Szańca. Żołnierz kompanii saperów szturmowych Karl Dee tak pisał o tym natarciu: „Metr po metrze nasza kompania walczyła w terenie porośniętym zaroślami, wśród wysokiego, leśnego poszycia. Wytrwały przeciwnik bronił się i nie cofał, mimo że używaliśmy materiałów wybuchowych, granatów, miotaczy ognia i broni maszynowej". O 5.45 odzywają się działa z pancernika, strzelając przez bite dwie godziny po polskich stanowiskach. Wartownia nr 2 rozsypuje się jak domek z kart. Ale obrona trwa nadal. Około 6.00 mjr Sucharski, widząc rozbitą wartownię nr 2, podejmuje decyzję o kapitulacji. Wojsko nie chce o tym słyszeć. Dyskusje trwają do 10.00. W końcu o 10.30 z mostku pancernika „Schleswig-Holstein" obserwator dostrzega wywieszoną białą flagę. Polacy idą do niewoli umyci, ogoleni i przebrani w czyste mundury. 5 oficerów, 27 podoficerów, 158 żołnierzy i 9 rannych. Według ustaleń historyków mogło polec około 25 polskich żołnierzy. Straty niemieckie znajdujemy tylko w raporcie 4 Armii i mówi on o 80 zabitych. Liczba ta jednak wydaje się zaniżona. Wróg oddaje idącym do niewoli Polakom honory. „Tapfer geschlagen" („Walczyliście dzielnie") – stwierdza kmdr Kleikamp.

„Gen. Eberhardt wręczył [Sucharskiemu – red.] szablę w dowód uznania – relacjonuje ppor. Zdzisław Kręgielski, świadek sławnej sceny honorowej kapitulacji. – Głupia sprawa wyszła. Dąbrowski [patrzy] na Grodeckiego, Grodecki na Dąbrowskiego, obydwaj na mnie, ja na nich. Mietek Słaby też na mnie. Na miłość Boską, co jest? Jak?! Wtedy Sucharski zdobył się na dozę szczerości. Było mu tak jakoś nieprzyjemnie i mówi: »Słuchaj, Kuba. Ta szabla tobie się należy. Ale ja po wojnie wszystko ujawnię«". Nie ujawnił.

eprasa.pl a357259d8c

Jak wysadzano III Rzeszę

W ciągu ośmiu miesięcy wysadzili w powietrze trzy niemieckie dworce kolejowe, w tym dwa w Berlinie. Zniszczyli siedem dużych transportów broni i amunicji jadących na front wschodni. Przygotowali też zamach na Hitlera. Tak działał Zagra-Lin, oddział specjalny zagranicznej dywersji Armii Krajowej



WOJCIECH LADA

8 kwietnia 1943 r. o godz. 22 do przedziału pociągu relacji Warszawa–Berlin wsiadł młody, postawny i elegancko ubrany mężczyzna. Wewnątrz siedziało kilku oficerów SS, ale nie brakowało wolnych miejsc – był to bowiem przedział 1. klasy, w dodatku „nur für Deutsche". Mężczyzna przywitał się ze współpasażerami płynnym niemieckim z berlińskim akcentem, walizkę położył nonszalanckim gestem na półce, sam zaś usiadł, zapalił cygaro i wdał się z oficerami w swobodną pogawędkę. Kiedy w Kutnie rozpoczęła się kontrola graniczna – dzieląca Generalną Gubernię od właściwej III Rzeszy – mężczyzna po prostu wyszedł z przedziału, stanął przy oknie i zagapił się w przestrzeń. Celnicy nie zwrócili na niego uwagi. Weszli do przedziału, porozmawiali chwilę z esesmanami, po czym po prostu odeszli do swoich spraw. Żaden z nich nawet nie spojrzał na walizkę leżącą na półce. Jej zawartością byliby z pewnością zaskoczeni. W jej wnętrzu znajdowało się bowiem 2kg trotylu, 200 g plastiku i 2 kg gwoździ jednocalowych, a także plątanina kabli mechanizmu zegarowego.

Dokładnie 8 godz. i 54 min później walizka wraz ze swoim właścicielem stała na podłodze w ostatniej kabinie toalety berlińskiego Hauptbanhoff Friedrichstrasse. Mężczyzna podłączył znajdujący się wewnątrz mechanizm ze sprawnością zdradzającą, że podobne czynności są dla niego rutyną, a następnie wyszedł z toalety, postawił walizkę w pobliżu ławki na peronie i bez pośpiechu oddalił się w stronę wyjścia. Na dotarcie tam miał 8 min.

Jego towarzysz stał wówczas w pewnym oddaleniu od dworca i spoglądał na wskazówki zegarka. Jak wspominał: „Popatrzyłem na zegarek i zacząłem liczyć... trzy sekundy... dwie... jedna i odwróciłem się w kierunku stacji, aby zobaczyć skutek. Nagle nad stacją ukazał się ogromny błysk, a następnie setki mniejszych błysków, aż długi język czerwono-pomarańczowego ognia pokrył dach budynku. W tej samej chwili rozległa się straszliwa eksplozja, która zatrzęsła chodnikiem, na



Berliński Dworzec Główny przy Friedrichstrasse

którym stałem. Przyspieszyłem kroku. Wkrótce usłyszałem straszliwe krzyki, płacze, rozkazy i nawoływania. Panika ogarnęła wszystkich na stacji. Zawyły syreny alarmowe. Ruszyła do akcji policja i pozamykano wyjścia z peronów".

KOSA NA NIEMCÓW

Reakcja niemieckich władz była bliska histerii. Hitler nakazał Himmlerowi osobiście zająć się śledztwem, wszystkie berlińskie dworce zaroiły się od patroli, a połączenia z Generalną Gubernią były drobiazgowo sprawdzane. Nikt w Berlinie od początku nie miał wątpliwości, że eksplozja na dworcu głównym Friedrichstrasse jest robotą polskiego podziemia. Tego samego dnia w wieczornym wydaniu dziennika „Nachtausgabe" można było przeczytać m.in. następujący akapit: „Zamachowcy, jak się podejrzewa, Polacy z GG albo pracujący w Rzeszy, muszą być za wszelką cenę ujęci. Taki jest rozkaz władz w Berlinie. Gestapo nakazało najwyższą czujność w stosunku do Polaków podróżujących z Berlina do Warszawy i odwrotnie".

Ani władze III Rzeszy, ani dziennikarze się nie mylili. Zamachu dokonała specjalna komórka Armii Krajowej o kryptonimie Zagra-Lin, przygotowana specjalnie do zadań dywersyjnych poza granicami Polski. Histeryczna zaś reakcja władz niemieckich wynikała z tego, że był to już drugi zamach bombowy dokonany przez Polaków w Berlinie w ciągu dwóch miesięcy. W pierwszym, 13 lutego, zginęły cztery osoby, a kilkadziesiąt zostało lżej lub ciężej rannych, przy czym ofiarami byli przede wszystkim oficerowie SS i funkcjonariusze gestapo. W drugim zamachu ofiar było więcej i tym razem rekrutowały się one z głównie żołnierzy Wehrmachtu wracających z frontu wschodniego na urlop. Mechanizm bomby ustawiono na 7.02, bo dwie minuty wcześniej na tym samym peronie jednocześnie stanęły dwa pociągi pełne żołnierzy. Robota polskich zamachowców była koronkowa.

Ale nic w tym dziwnego. Aleksander Kunicki „Rayski" z Kedywu AK charakteryzował Zagra-Lin następująco: „W skład tej komórki, nielicznej, ale bardzo operatywnej, wchodzili żołnierze świetnie znający język niemiecki oraz stosunki panujące w głębi Rzeszy, odważni, gotowi na wszystko, należycie przeszkoleni w zakresie posługiwania się materiałami wybuchowymi".

To prawda i nieprawda jednocześnie. Z pewnością byli nieliczni, odważni i znali niemiecki w stopniu doskonałym. Ale relacja „Rayskiego" sugeruje, że istniała jakaś grupa specjalnie przeszkolonych przez AK komandosów, zdolnych do wykonywania misji niemal niemożliwych. W rzeczywistości Zagra-Lin był grupą tyle elitarną, ile przypadkową. Został stworzony na zlecenie tzw. Kosy, czyli utworzonego w połowie 1942 r. centralnego dyspozycyjnego oddziału dywersyjnego Komendy Głównej AK. Pierwotnie nosił kryptonim Osa (Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych), wkrótce jednak okazało się, że charakter wykonywanych przez jego żołnierzy akcji lepiej odda skrót Kosa (używa się czasem nazwy Osa-Kosa). Ale spory o nazwę są tu nieistotne.

> Wysadzanie dworców kolejowych dawało silny efekt psychologiczny, ale namacalnych zysków było z tego niewiele. Akcje dywersyjne na pociągi stanowiły natomiast realną pomoc dla walczących na frontach armii – Niemcy po prostu tracili broń, amunicję i wyżywienie. Nic też dziwnego, że one właśnie stały się głównym celem Zagra-Linu

Dla Niemców, często ginących w przeprowadzanych przez Kosę akcjach, była to po prostu grupa, która potrafiła uderzyć tam, gdzie najmniej mogli się tego spodziewać. Dość wspomnieć o tak głośnych operacjach jak zamach na szefa warszawskiego Arbeitsamstu Hugo Dietza czy na wysokiego dowódcę SS i policji Friedricha Krugera, który się skończył niepowodzeniem.

POCZĄTKI

Pod koniec 1942 r. Józef Szajewski ps. Philips, dowódca Kosy, wpadł na pomysł utworzenia oddziału dywersji zagranicznej. Chodziło głównie o wysadzanie po stronie polskiej kolejowych transportów broni i amunicji ciągnących na front wschodni, ale też po prostu o uszkadzanie trakcji, by wprowadzić komunikacyjny chaos. Zadanie to powierzył ppor. Bernardowi Drzyzdze – przedwojennemu podoficerowi, zasłużonemu w kampanii wrześniowej. Po jej klęsce Drzyzga znalazł się w oflagu, uciekał z niego jednak trzy razy, przedostając się wreszcie do Warszawy, gdzie jako „Kazimierz 30" został dowódcą baonu w Kosie.

Drzyzga był mózgiem Zagra-Linu – on planował akcje i ich szczegóły, on pośredniczył w kontaktach z wyższym dowództwem. Prawdziwym jednak twórcą tej komórki był Józef Lewandowski „Jur" – poznany przez Drzyzgę przypadkiem w Częstochowie. Był postacią nietuzinkową, ale tak naprawdę niewiele o nim wiadomo. Co ważne, urodził się w Berlinie – jego akcent był więc idealnie czysty, podobnie doskonała była jego znajomość stolicy III Rzeszy. Później wychowywał się i mieszkał w Bydgoszczy – był więc obywatelem Rzeszy, dzięki czemu mógł swobodnie prowadzić dużą firmę budowlaną. To ostatnie zapewniło mu trzy korzyści. Po pierwsze, świetnie zarabiał i cieszył się szacunkiem wśród Niemców. Po drugie, nieustannie podróżując po Rzeszy, znał doskonale panujące tam układy i poznał wielu wpływowych ludzi. Po trzecie wreszcie, miał dostęp

Fot. Archiwum

eprasa.pl a357259d8c

do materiałów wybuchowych, głównie trotylu i plastiku. „Znałem go zaledwie od paru miesięcy, lecz miałem poczucie, że mogę mu całkowicie zaufać" – wspominał Drzyzga. „W stosunku do Niemców był arogancki. Każdego traktował z góry. Takiego właśnie człowieka potrzebowałem do mojej pracy w Zagra-Linie" – opowiadał Drzyzga.

I się nie mylił. Po przyjęciu go do jednostki i zaprzysiężeniu na początku 1943 r. „Jur" stał się centralną postacią Zagra-Linu. Już po pierwszej rozmowie obaj zgodzili się co do tego, że przynajmniej pierwszy zamach należy przeprowadzić w Berlinie – tylko tam będzie on bowiem miał odpowiednią siłę, nie tyle nawet niszczącą, ile psychologiczną.

„Po zastanowieniu się zdecydowaliśmy się za poradą »Jura« na stację kolejki podziemnej jako pierwszy obiekt odwetu. Doszliśmy do przekonania, że najbardziej demoralizującym uderzeniem byłaby stacja Friedrichstrasse. Zgodnie z informacją była ona najruchliwsza i, co najważniejsze, uczęszczana przez gestapo, SS i SA. Jednym słowem personel wojskowy. »Jur« miał zrobić dokładny wywiad, kiedy jest szczyt natężenia ruchu" – wspominał „Kazimierz 30", dodając, że „Jur" zrobił znacznie więcej. Po przeprowadzeniu wywiadu, zorganizowaniu kilku ludzi i odpowiedniej porcji materiałów wybuchowych osobiście pojechał do Berlina i 13 lutego wysadził w powietrze pierwszy z dworców na Friedrichstrasse.

NIE DO WIARY

Drzyzga przezornie nie meldował dowództwu o tym pierwszym zamachu. Kiedy jednak po kilku dniach stawił się w towarzystwie „Jura" u „Philipsa" i pokazał mu plik berlińskich gazet rozpisujących się o eksplozji na dworcu, ten dosłownie oniemiał. „To jest rzeczywiście nie do wiary" – miał zakrzyknąć, kiedy odzyskał głos.

Członkowie Zagra-Linu otrzymali natychmiast zgodę na realizację wszystkich swoich planów, a mieli ich już sporo. Kolejnym było pójście za ciosem i uderzenie w miejscu, którego Niemcy z pewnością się nie spodziewali. Miało ono podkreślić ich bezradność wobec polskiej podziemnej dywersji. Cel: dworzec główny na Fiedrichstrasse. To właśnie tam wybierał się „Jur" 8 kwietnia, kiedy wchodził do przedziału pociągu Warszawa–Berlin.

Tym razem towarzyszył mu Drzyzga, a także dwie kobiety: „Halina I" i „Halina W", czyli Stefania Lewandowska i Maria Wasilewska, a także „Leon", czyli Leon Hartwig. Byli oni częścią zespołu, który „Jur" zorganizował na potrzeby Zagra-Linu w Bydgoszczy. Tak właśnie Zagra-Lin funkcjonował. W Warszawie, Bydgoszczy i Kaliszu „Jur" tworzył podobne grupy zaufanych ludzi, których przeszkalał w kwestiach pirotechnicznych, prawdopodobnie też zaprzysięgał – miał w każdym razie do tego prawo. Skład takiej grupy był płynny, często w akcjach uczestniczyła tylko część ludzi. O tym, jak niewiele warszawskie dowództwo wiedziało o Zagra-Linie, sporo mówi to, że ze zorganizowanej na końcu komórki w Rydze nawet Drzyzga nie jest w stanie podać prawie żadnego nazwiska, a jedynie pseudonimy.

Oddział w Rydze już wkrótce zresztą miał się bardzo przydać – tam zaplanowano bowiem wysadzenie niemieckiego transportu amunicji kierującego się w stronę Rosji. Wcześniej jednak Zagra-Lin postanowił kontynuować dobrą passę przy wysadzaniu dworców i już 23 kwietnia, a więc niespełna dwa tygodnie po zamachu na Friedrichstrasse, oddział przeprowadził eksplozję na dworcu kolejowym we Wrocławiu. Tu scenariusz był identyczny jak w Berlinie: „Jur" uzbroił bombę w dworcowej toalecie i pozostawił ją na peronie. W obstawie byli „Kazimierz 30" i „Halina I". O 5.41, gdy z pociągu wychodzili żołnierze, nastąpiła eksplozja – choć tym razem ofiar było zaskakująco niewiele: kilku zabitych i kilkunastu rannych. „Słysząc wybuch, spodziewałem się strat o wiele większych" – przyznawał Drzyzga.

Na szczęście nie było też żadnych strat wśród wykonawców zamachu, którzy spokojnie, okrężnymi drogami powrócili do Bydgoszczy i Warszawy. Kiedy to nastąpiło, Drzyzga otrzymał awans na kapitana i krzyż Virtuti Militari – taki sam zawisł na piersi „Jura". Pozostali członkowie ekipy zostali odznaczeni Krzyżami Walecznych i Krzyżami Zasługi.

NIE TYLKO POCIĄGI

Ostatnie spektakularne akcje Zagra-Linu były związane już nie z dworcami, ale z pociągami. „Aby Niemców naprowadzić na fałszywy trop, zastosowałem taktykę przeprowadzania akcji na coraz to nowych terenach, bardzo od siebie oddalonych. Moim najważniejszym celem było niedawanie nieprzyjacielowi ani chwili wytchnienia i spokoju, trzymanie go ciągle na baczności" – wspominał Drzyzga. Mając to na uwadze, Zagra-Lin opracował plan akcji wysadzenia pociągu wiozącego żywność, amunicję i „pewną ilość czołgów" na Wschód. Jako miejsce akcji wybrano przestrzeń pomiędzy stacjami Laskowice i Twarda Góra, jakieś 100 km od Bydgoszczy, a więc na terenie włączonym do Rzeszy. Tym razem w akcji nie brali udziału ani „Jur", ani „Kazimierz 30", zamiast nich jednak zaangażowano w nią całą, sześcioosobową komórkę bydgoską. W tym także nieznanego z imienia Wiśniewskiego „Dyma", który był maszynistą owego pociągu.

„Widok, jaki ukazał się naszym oczom jest trudny do opisania. Wagony wiozące amunicję wyleciały w powietrze. Dwa z nich były najbliżej nas. Pociąg był objęty ogniem i płomieniami pożaru. Czegoś podobnego nie widziałem nawet podczas akcji w Rydze" – wspominał jeden z uczestników akcji F.E. Jakubowski „Brat".

Wspominał o Rydze. Tam właśnie dwa tygodnie wcześniej członkowie Zagra-Linu wysadzili pociąg wiozący już wyłącznie uzbrojenie i amunicję – w ogromnej jednak ilości. Kiedy po dokonaniu zamachu przywieźli z sobą do Warszawy tamtejsze gazety, dowództwo mogło się przekonać, jak duży i jak efektowny był to sukces: „Gdy spojrzałem na gazetę, sam przekonałem się, że prawie połowa pierwszej strony była wypełniona zdjęciami, a reszta stronicy stanowiła opis zamachu. Niemcy naprawdę ubolewali nad stratą przeszło 36 wagonów z amunicją i kilku wagonów z czołgami" – zanotował Drzyzga.

Wysadzanie dworców kolejowych dawało silny efekt psychologiczny, ale namacalnych zysków było z tego niewiele. Akcje dywersyjne na pociągi stanowiły tymczasem realną pomoc dla walczących

eprasa.pl a357259d8c

na frontach armii – Niemcy po prostu tracili broń, amunicję i wyżywienie. Nic też dziwnego, że one właśnie stały się teraz głównym celem Zagra-Linu. „Kazimierz 30" nie brał w nich udziału – były one dziełem „Jura" i jego ludzi.

„Przeczytałem jego raport, w którym relacjonował, że pomiędzy początkiem czerwca a połową lipca zniszczono pięć pociągów amunicyjnych. Akcjami dowodził »Jan« (Jan Lewandowski) pod dozorem »Jura«. Zespół »Jana« używał nowych detonatorów przysłanych z Londynu i miał doskonałe rezultaty. Były to 3 pociągi na terenie Litwy i 2 na terenie Łotwy" – pisał dowódca Zagra-Linu.



Pociąg wykolejony przez polskie podziemie, po lewej ppor. Bernard Drzyzga był mózgiem Zagra-Linu

Fot. NAC, IPN



Ale to nie finał. Pociąg do rozprawy z Niemcami nie kończył się na torach. W Rydze „Jur" zorganizował i przeprowadził akcję na restaurację Nur für Deutsche – pod względem liczby ofiar być może jedną z największych dokonanych przez polskie podziemie. Jak sam raportował: „Kierowałem tą akcją. W czasie akcji wrzucono do restauracji cztery wiązki granatów. Zginęło wtedy około 100 Niemców, przeważnie SS-manów i żandarmów".

„Jur" osobiście kierował też próbą odbicia z bawarskiego oflagu Murnau gen. Władysława Bortnowskiego – ostatecznie nieudaną. Podobnie jak nie udała się najbardziej w założeniu spektakularna i ważna akcja polskich dywersantów, mianowicie zamach na Adolfa Hitlera.

„Zamach na pociąg wiozący Hitlera miał mieć miejsce w odległości 8 km od Bydgoszczy, w miejscu, gdzie pociąg przejeżdżał przez las [...] W przeddzień poczyniliśmy starannie wszystkie przygotowania, zgromadziliśmy materiał wybuchowy, aby pociąg wysadzić w powietrze. Wybraliśmy dogodne miejsce, gdzie pociąg miał przejeżdżać przez dość wysoki zagajnik, na zakręcie, i tam właśnie w dwu miejscach, w odległości ok. 20 metrów jeden od drugiego, podłożyliśmy silny materiał wybuchowy, który został zakopany na głębokość 40cm i połączony zapalnikami. Od niego przeciągnięty był przewód elektryczny o długości 150 m. Połączenie kabla z bateriami miało nastąpić na dany przeze mnie latarką znak" – wspominał Lewandowski. Nigdy niestety nie dał wspomnianego znaku latarką, gdyż Hitler w ostatniej podobno chwili odwołał swój przyjazd.

WIELKA WSYPA

„Doskonały rezultat – pogratulował »Jurowi« Drzyzga. – Sądzę, że »Nil« [Emil Fieldorf – przyp. aut.] będzie zadowolony. Obecnie z powodu tego ślubu »Matrosa« Zagra-Lin potrzebuje czegoś więcej niż szczęścia, aby móc zachować istnienie".

„Kazimierz 30" mówi to po bodaj najbardziej dramatycznej wsypie polskiej konspiracji. 5 czerwca 1943 r. w kościele św. Aleksandra na warszawskim pl. Trzech Krzyży odbył się ślub Mieczysława Uniejskiego z Teofilą Suchanek, na który zaproszeni byli liczni członkowie konspiracji, w tym niemal cała Kosa. Pomijając, że złamano tu chyba podstawowe zasady konspiracji, wszystko wskazywało na to, że w organizacji Niemcy mają swoją wtyczkę. Doskonale wiedzieli, ilu gości będzie na weselu, kim jest pan młody. Znali szczegóły. Kiedy obstawili okoliczne ulice i weszli do kościoła, wiedzieli, kogo konkretnie chcą aresztować. Niektórych gości zwalniali od razu, innych – ok. 90 – zabrano na Pawiak. Po kilku dniach przesłuchań kilkadziesiąt osób opuściło więzienie, lecz wszyscy należący do Kosy zostali rozstrzelani.

Członkowie Zagra-Linu uniknęli aresztowania. „Jur" był w tym czasie w Bawarii, gdzie starał się uwolnić gen. Bortnowskiego, pozostali również przebywali poza granicami Generalnej Guberni. A „Kazimierz 30" po prostu nie wybrał się na ślub. Mimo to jego sytuacja była bardzo niebezpieczna. Wśród aresztowanych wielu znało jego meliny, niektórzy także personalia. Dalsze istnienie komórki, a nawet pobyt Drzyzgi w Warszawie stawały pod znakiem zapytania. „W tym samym czasie ostrzeżono mnie, że powinienem się mieć na baczności, bo gestapo jest podobno na moim tropie. Wobec tego codziennie zmieniałem meliny i zaprzestałem kontaktowania się z ludźmi z Kosy, z wyjątkiem Zagra-Linu" – wspominał.

Nie potrwało to długo. Kosa w lipcu została rozwiązana, a wraz z nią Zagra-Lin. Drzyzga został przeniesiony do Okręgu Łódź na stanowisko zastępcy dowódcy pułku Kedywu. Lewandowski zaś – jeden z najbardziej nonszalanckich i skutecznych dywersantów w historii Polski – pozostał w Rzeszy jako agent do zadań specjalnych, podlegający bezpośrednio „Nilowi".

eprasa.pl a357259d8c



Piłsudski powiedział Niemcom „nie”

My od was żadnej Ukrainy nie chcemy i w żadną antysowiecką awanturę się nie wdamy, nie liczcie na nas – powiedział marszałek Józef Piłsudski w rozmowie z prezydentem Senatu Wolnego Miasta Gdańsk Hermannem Rauschningiem (członkiem NSDAP) w grudniu 1933 r. To przeczy zarzutom niektórych zachodnich historyków, że II Rzeczpospolita niszczyła porządek wersalski i przez to jest współodpowiedzialna za wybuch II wojny światowej

Michał Karnowski rozmawia z doktorem Krzysztofem Rakiem, historykiem dyplomacji, tłumaczem, publicystą, ekspertem w dziedzinie stosunków międzynarodowych, członkiem Zarządu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, autorem ukazującej się właśnie na rynku książki „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera”

Jest pan kolejnym autorem podejmującym temat relacji polsko-niemieckich sprzed wybuchu II wojny światowej. Dlaczego 80 lat po wojnie nawet wycinkowe elementy tamtego czasu budzą tak ogromne emocje? Dlaczego do tego ciągle wracamy?

Krzysztof Rak: Ponieważ świat, w którym żyjemy, mimo wszystkich zmian został wtedy w dużej części ukształtowany. Ponieważ dla naszych dziadków, babć i rodziców to fundamentalne doświadczenie, o którym opowiada się przez pokolenia. Dotyczy to także moich bliskich – ja już wojny nie przeżyłem, ale przy rodzinnym stole zawsze wracało się do tego tematu.

W naszej też. I dziadkowie, i urodzeni już po wojnie rodzice mieli świadomość, że kształt naszego świata, ustrój w Polsce, granice, brak wolności podróżowania wynikają w prostej linii z przebiegu tej straszliwej wojny.

I to jest prawda milionów polskich rodzin. Najważniejsze wydarzenie w życiu kilku pokoleń. Musimy mieć świadomość, że 1 września 1939 r. nie jest jedną z wielu dat w historii Polski. Być może jest to moment, który histo-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a357259d8c

rię Polski dzieli na pół. Być może ostateczny koniec tej Polski, która zaczęła się w roku 996.

Aż tak?

Tak, bo wtedy Niemcy i Sowiety wymordowały z pełną premedytacją naszą elitę narodową. Obcięto nam głowę. Elita taka nie powstaje sama z siebie, to właśnie wytwór trwających wieki procesów historycznych. Zwróćmy uwagę, że nawet rozbiory nie zniszczyły tej najważniejszej warstwy społecznej. Zaborcy mogli prowadzić do pauperyzacji i deklasacji dużej jej części, ale jej fizycznie nie zgładzili. Nie ma w historii tysiąclecia wydarzenia, które dałoby się z tym porównać. Wrzesień 1939 r., także w mojej rodzinie, to definitywny koniec poprzedniego świata. Można wiele zarzucić sanacji, ale jedno jest pewne – to był projekt polityczny, który próbował budować ciągłość z minionymi czasy, z I Rzeczpospolitą. Piłsudski i jego współpracownicy wywodzili się z dawnej elity przywódczej Polski. Po roku 1939 przestała ona istnieć.

Bezpośrednią konsekwencją II wojny światowej była też PRL.

I to też trzeba zaliczyć do rachunku. Także dlatego, że tak zwana Polska Ludowa też stawiała sobie za cel dokończenia dzieła zniszczenia polskich starych elit. Komuniści w PRL stworzyli nową elitę, szczególnie elitę władzy. W polityce nie było najmniejszej ciągłości. I pewnie dlatego po roku 1989 tak trudno szło odbudowywanie Polski.

Wracam do pytania początkowego – dlaczego teraz pamięć o tych czasach tak mocno wraca?

Może dlatego, że przestaliśmy wierzyć w bajkę o końcu historii. Jednym z dogmatów neoliberalnych była teza, że rok 1989 kończy spory między narodami, nie ma już napięć, jest tylko wspaniała przyszłość, a historia nieważna i będąca co najwyżej anegdotą. Im dalej jesteśmy od 1989 r., tym wyraźniej widzimy, że to nieprawda. To nas niepokoi, budzi strach przed powtórką, budzi chęć zrozumienia, dlaczego sprawy w roku 1939 potoczyły się tak, a nie inaczej.

Zastanawiam się często, czy to nie jest przejaw pychy? Nasze pokolenia nie potrafią poradzić sobie z dużo mniejszymi wyzwaniami, nie zdajemy wielu łatwiejszych egzaminów, ale nie mamy wstydu, by pouczać, że można było zachować się lepiej, mądrzej, szukamy wszędzie błędów.

Żeby było jasne: moja książka jest pracą naukową, nie zastanawiam się w niej, jak mogło być, ale opisuję, jak było. Po to siedziałem w archiwach i przeczytałem tysiące dokumentów, żeby starać się na to właśnie pytanie odpowiedzieć. Uświadomiłem sobie w czasie tej pracy, że okres 20-lecia międzywojennego jest tak pociągający dla badaczy, bo to jedyny w nowożytnej historii okres suwerennej polityki zagranicznej polskiego państwa narodowego. Wcześniej były zabory, jeszcze wcześniej interes państwa, czyli tak zwana racja stanu, nie był główną zasadą relacji Polski z innymi krajami.

> 1 września 1939 r. nie jest jedną z wielu dat w historii Polski. Być może jest to moment, który historię Polski dzieli na pół. Być może to ostateczny koniec tej Polski, która zaczęła się w roku 996

Znalazł pan jakieś nieznane źródła?

Tak. Jak człowiek jest uparty, to zawsze jest szansa na poszerzenie zasobu wiedzy. Dla mnie najciekawszym dokumentem był zapis rozmowy marszałka Józefa Piłsudskiego z prezydentem Senatu Wolnego Miasta Gdańska Hermannem Rauschningiem z grudnia 1933 r.

Rauschning był członkiem NSDAP.

Tak. I ta rozmowa jest o tyle ciekawa, że odbywa się przed złożeniem Polsce przez Hitlera tzw. propozycji ukraińskiej, to znaczy oferty ruszenia z Niemcami na Sowiety w zamian za ziemie ukraińskie. To nastąpiło dopiero w roku 1935. Ale właśnie w tej rozmowie z Rauschningiem Piłsudski mówi: my od was żadnej Ukrainy nie chcemy i w żadną antysowiecką awanturę się nie wdamy, nie liczcie na nas. To jest ważna konstatacja, bo w niektórych historiografiach, np. w niemieckiej, rosyjskiej czy francuskiej, rozpowszechniony jest pogląd, że II Rzeczpospolita niszczyła porządek wersalski i przez to jest współodpowiedzialna za wybuch II wojny światowej. Ta notatka dowodzi, że to nieprawda. Piłsudski starał się bowiem za wszelką cenę utrzymać status quo.

Skąd wynikała ta niechęć do naruszania istniejącego porządku?

Ówczesne elity polskie dobrze rozumiały, że ewentualne zmiany na arenie międzynarodowej mogą być zmianami tylko na gorsze, a to ze względu na to, że Polska była krajem średnim pod względem demograficznym i terytorialnym, ale dość słabym pod względem gospodarczym i społecznym. Rozumiano, że skończy się to nowym koncertem mocarstw, w którym Rzeczpospolita zapłaci rachunek za interesy mocarstw.

Wspomniał pan o tezie o współodpowiedzialności Polski za rozchwianie systemu wersalskiego. To na serio ktoś podaje?

W mojej książce przytaczam kilka tego typu wypowiedzi historyków niemieckich i rosyjskich. Schemat, który powielają, polega na oskarżaniu Polski, że w 1933 r. zawarła pakt o nieagresji z Hitlerem, który z kolei pozwolił mu się wzmocnić, a potem podpalić Europę.

To przecież bzdura – to Europa Zachodnia prowadziła wobec Hitlera politykę appeasementu – zaspokajania jego kolejnych żądań.

Zgoda, to kuriozum, ale popularne niestety stwierdzenie. Polska była średnim i mającym świadomość swojej słabości państwem, które usiłowało przetrwać na arenie międzynarodowej. Tymczasem grzech ówczesnych mocarstw jest

eprasa.pl a357259d8c

dużo większy niż tylko polityka appeasementu. Także Stalin uznał na początku lat 30., na co jest już dużo dowodów, że dojście Hitlera do władzy będzie dla niego korzystne. Komunistyczna Partia Niemiec de facto zrobiła wiele, by tak się stało. A i sam appeasement to też nie jest tylko rok 1938 i zgoda na zagarnięcie przez Niemcy Czechosłowacji. Anglicy już wcześniej mówili Polakom, że być może trzeba będzie oddać Gdańsk. Pod koniec 1937 r. lord Halifax przyjeżdża do Hitlera do Obersalzbergu i wręcz go prosi: weź pan ten Gdańsk, weź pan tę Czechosłowację, weź pan tę Austrię i daj nam święty spokój. Biorąc to pod uwagę, trudno się dziwić, że historiografia mocarstw próbuje się dzielić odpowiedzialnością.

> Za wybuch wojny odpowiedzialni są Niemcy, Rosja sowiecka, Włochy, Wielka Brytania, Francja. Nie my! My jesteśmy średnim, niezbyt mocnym państwem starającym się za wszelką cenę uniknąć awantury

A my nie umiemy przeciwdziałać?

Nie umiemy. Długo wprawdzie nie mogliśmy, bo żelazna kurtyna wyłączyła nas z realnej debaty historycznej. Ale dzisiaj powinniśmy robić dużo więcej. I tu nie chodzi o jakąś specjalną politykę historyczną, ale o dążenie do prawdy historycznej i przypominanie o niej innym. To są tak proste sprawy jak tłumaczenie źródeł. Wiele kluczowych dokumentów do historii dyplomacji lat 30. jest w języku polskim, mało znanym na świecie. Dam przykład – niektóre rozmowy Hitlera z polskimi politykami, na przykład z ambasadorem Lipskim, są zanotowane tylko w języku polskim. Najważniejsze rozmowy z Göringiem, gdzie on nam proponuje wspólną wyprawę na Wschód, są do dziś wyłącznie po polsku. Historycy francuscy, niemieccy, angielscy tej wiedzy nie uwzględniają. To musimy nadrobić.

Skoro już jesteśmy przy relacjach polsko-niemieckich za Hitlera, to zacznijmy od początku. Mamy rok 1933, dojście dyktatora do władzy – jak w tamtym momencie wyglądają te stosunki? Jaki jest punkt wyjścia?

Od początku jest nim koncepcja Hitlera, wykrystalizowana w jego głowie w połowie lat 20., że celem niemieckiej polityki zagranicznej ma być zdobycie przestrzeni życiowej dla Niemców. Hitler rozważa, gdzie mógłby ją zdobyć. Patrzy na terytorium Polski i dochodzi do wniosku, że to byłoby za mało. On ma dużo większy apetyt, chce obszaru wielkości pół miliona kilometrów kwadratowych. I dochodzi do wniosku, że dla kolonizacji niemieckiej najlepsze byłyby terytoria Rosji, czyli wtedy Związku Sowieckiego. W „Mein Kampf" jest to wyłożone jasno: przestrzeń życiową możemy zdobyć tylko na Sowietach, a żeby ich pokonać, musimy budować koalicję.

Hitler wymienia Włochy i Wielką Brytanię. Gdzie tu Polska jako ten niespełniony sojusznik?

Znalazłem w Archiwum Akt Nowych dokumenty, z których wynika, że Hitler co najmniej od końca roku 1930 szukał kontaktów z Polską i wysyłał takie sygnały przez Ernsta Röhma.

Ówczesnego szefa SA.

Tak. Hitler był wtedy po pierwszym dużym sukcesie wyborczym, ale jeszcze nie rządził. Röhm kontaktuje się ze stroną polską przez Aleksandra Ładosia, wówczas polskiego konsula w Monachium. Mówi mu wprost: jak dojdziemy do władzy, będziemy chcieli się z wami dogadać i wspólnie ruszyć na Sowiety. Te rozmowy kończą się niczym, bo strona polska w ogóle nie odpowiada na ofertę. Można się domyślać dlaczego – bo Polska prowadzi wtedy rozmowy z Sowietami o pakcie o nieagresji i obawia się prowokacji. Hitlerowcy są już wtedy znani jako ci, którzy chcą atakować ZSRR. Piłsudski nie chciał wtedy awantury z krzykliwą opozycją w Niemczech.



Dlaczego ta oferta dla Polaków składana jest skrycie, skoro ta dla Włochów i Anglików wyłożona jest w „Mein Kampf"?

Röhm mówi Ładosiowi, że to efekt kalkulacji wyborczej. Niechęć do Polski i Polaków jest w Niemczech ogromna, Polska jest wrogiem numer jeden, a naziści muszą przecież jeszcze wygrać wybory. Ale Röhm snuje również wizje zaproszenia Polski do jakiejś międzynarodówki faszystowskiej, co prawdopodobnie wystraszyło Piłsudskiego. Ale to tak się właśnie zaczęło.

Czy ta zapowiedź dopraszania Polaków do wspólnego marszu z Niemcami po dojściu Hitlera do władzy się potwierdza?

Tak. Nie zmienia się stanowisko polskie: nie ma mowy o antysowieckim sojuszu. Piłsudski mówi to wyraźnie we wspomnianej już tu rozmowie z Rauschningiem w grudniu 1933 r. A potem kolejny raz odmawia, gdy na początku roku 1935 przyjeżdża z tą ofertą do Polski Göring, który dostaje instrukcje od Hitlera, by działać w tym kierunku. Przed rozmową z Piłsudskim Göringa ostrzega ambasador RP w Niemczech Józef Lipski, który go prosi, by nie poruszał tego wątku, bo Marszałek się zdenerwuje. Ten jednak próbuje, ale w tym momencie – jak czytamy w notatkach – Piłsudski natychmiast ucina ten wątek. Mówi tylko: my na żadną wojnę z Sowietami iść nie będziemy, bo my mamy z nimi przeszło tysiąckilometrową granicę. Potem to samo stanowisko, już po śmierci Piłsudskiego, w lipcu 1935 r. przedstawia Hitlerowi w Berlinie Józef

41/0819/F

eprasa.pl a357259d8c

GAZOWNICY
W OBRONIE WARSZAWY



Teren Gazowni Warszawskiej w 1939 r. Obecnie znajduje się tu siedziba PGNiG SA.



Pożar Gazowni Warszawskiej po bombardowaniu.

W czasie II Wojny Światowej na terenie Gazowni Warszawskiej dochodziło do licznych akcji sabotażowych, działała tam także komórka organizacji podziemnej zajmującej się pomocą Żydom w gettcie warszawskim. Po wybuchu Powstania Warszawskiego gazownia została odcięta od miasta, ale nadal pracowała. Na terenie zakładu znalazło schronienie wielu Powstańców i Mieszkańców Warszawy, którym wydawano zaświadczenia o zatrudnieniu ze wsteczną datą, aby w razie niemieckiej rewizji nie zostali rozpoznani.



W czasie działań wojennych oraz podczas Powstania Warszawskiego zginęło wielu pracowników Gazowni Warszawskiej. Ich pamięci poświęcona jest tablica wmurowana w ścianę budynku wieży ciśnień na Woli. Znajduje się na niej 57 nazwisk tych, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych, bądź zostali rozstrzelani na Woli.

Tablica pamięci na terenie Centrali PGNiG SA przy ul. M. Kasprzaka 25 w Warszawie.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

PGNiG

Beck. Polska cały czas jasno mówi, że nie będzie sojusznikiem Hitlera.

Czyli ta odmowa ma trwałe, przemyślane podstawy. Jakie?

Przede wszystkim to dowód na to, że wbrew popularnym opiniom w II RP w polityce zagranicznej panował konsens. I dlatego kiedy Piłsudski powiedział Hitlerowi „nie", to uczynił to w imieniu całej Polski i ogromnej większości jej elit. Już w 1922 r. powstał bardzo ważny dokument, znany memoriał generała Sikorskiego, zatytułowany „Polityka zagraniczna z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa". Przygotowany przez szefa wywiadu pułkownika Ignacego Matuszewskiego. To były rozważania na temat bezpieczeństwa Polski. Zawarto tam tezę o dwóch wrogach i wypływającym stąd zadaniu utrzymania porządku wersalskiego w Polsce. Dlatego nie wolno nam – dowodzili autorzy – wchodzić ani w sojusz z Sowietami przeciw Niemcom, ani z Niemcami przeciw Sowietom. Bo jeśli wejdziemy, natychmiast przestaniemy być państwem podmiotowym.

Bo to są takie potęgi, że natychmiast zdominują, zwasalizują?

Tak. I elity polskie miały tego świadomość, to było fundamentem ich myślenia już od początku lat 20., długo przed zamachem majowym.

Do żadnej ze stron nie było nam w całym 20-leciu bliżej?

Na pewno kontaktów, zwłaszcza w drugiej połowie lat 30., było więcej z Niemcami, ale mało kto wie, że możemy mówić o pewnym zbliżeniu z Sowietami w latach 1931–1934. Mamy dowody, że Stalin w lipcu 1933 r. pierwszy zaproponował sojusz przeciwko Niemcom. Hitler sformułował podobną ofertę w stosunku do Polski dopiero dwa lata później. Graliśmy więc z tymi obiema potęgami, chcieliśmy możliwie dobrych stosunków z jednymi i drugimi. Pamiętajmy też, że tu celem było też wzmocnienie polskiej pozycji w stosunku do najważniejszego ówczesnego polskiego sojusznika – Francji. Ona odgrywała wtedy taką rolę jak dzisiaj Stany Zjednoczone, na tym opierało się postrzeganie polskiego bezpieczeństwa.



Fot. NAC

Hermann Göring (z lewej) po zakończeniu uroczystości pogrzebowych Józefa Piłsudskiego w rozmowie z Józefem Beckiem (z prawej)

Jak zatem nazwałby pan relacje polsko-niemieckie w tym okresie? Na ten temat co chwila powiela się mity o jakiejś wielkiej przyjaźni.

To są rzeczywiście mity. Relacje były normalne, Polska starała się zbudować partnerskie stosunki z tą potęgą. Jednak zapomina się, że dochodziło do bardzo poważnych kryzysów, jak ten dotyczący Gdańska w 1935 r. Współpraca bywała chwilami bliska, ale nie pozwalała na żaden polityczno-wojskowy sojusz skierowany przeciwko Sowietom. To była granica nie do przejścia dla polskich elit.

W książce stwierdza pan, że to miało niedobre konsekwencje, jeśli chodzi o chłodne spojrzenie na realny polski potencjał. Poczucie gry z wielkimi potęgami zbudowało wrażenie, że Polska też jest, albo może być, mocarstwem.

Niestety, tak było. Józef Piłsudski, który wbrew temu, co się mówi, był zimnym realistą...

Oczywiście!

...nigdy by nie pomyślał, że Polska może być mocarstwem. Beck miewał takie skłonności, kilka razy ok. 1936 r. mówił o polityce mocarstwowej. Ale już aparat ministerstwa często trzymał Becka za nogi, żeby nie odlatywał za bardzo.

Czy ówczesnym elitom przechodziło wtedy przez myśl, że to się może skończyć IV rozbiorem? Po Rapallo, porozumieniu niemiecko-sowieckim z 1922 r., było jasne, że taki most ponad Polską czy przeciw Polsce te dwie potęgi mogą przerzucić.

Nie. W Rapallo układ podpisała Republika Weimarska, państwo demokratyczne, stosunkowo racjonalnie zachowujące się na arenie międzynarodowej. Reżim hitlerowski był silnie ideologiczny i bardzo wrogi komunizmowi. Zakładano, że ten element znacząco eliminuje możliwość zbliżenia sowiecko-niemieckiego po 1933 r. Polscy analitycy wiedzieli też, że Hitler wojny światowej wygrać nie mógł. Miał naprzeciwko siebie Francję, Wielką Brytanię, a za nią potęgę Stanów Zjednoczonych.

Pomimo wyznawanego w tamtym czasie izolacjonizmu?

Tak, bo nie jest prawdą, że w 1919 r. Stany Zjednoczone wycofały się z Europy. Politycznie może tak, ale gospodarczo tkwiły tu po uszy. Było jasne, że w razie kłopotów wrócą.

Czy te polskie analizy mogłyby wyglądać inaczej, gdyby wzięto pod uwagę straszliwy koszt wojny dla biologicznego trwania narodu? To była hekatomba – ponad 5 mln, jak podają najnowsze opracowania, ofiar obywateli polskich, niemierzalne straty materialne, trauma powojenna.

Nie popełniajmy błędu przypisywania politykom, których decyzje analizujemy, naszej obecnej wiedzy. Ani Piłsudski, ani prezydent Mościcki, ani marszałek Rydz-Śmigły, ani Beck nie wiedzieli, co się wydarzy. Nikt nie wiedział! Nikt nie miał pojęcia, że te okupacje będą tak straszliwe. Komu mogły przejść przez głowę masowe mordy na taką skalę, gazowanie ludzi, niszczenie miast z czystej nienawiści.

Sam pan wspominał „Mein Kampf" – program był jasny.

Program podboju Europy, ale nie takiego okrucieństwa. Wiedza roku 1939

eprasa.pl a357259d8c

zakładała, że nawet przegrana wojna kończy się po prostu przegraną wojną, likwidacją lub okrojeniem państwowości, zhołdowaniem – ale nie czymś takim!

Postawmy się w sytuacji ówczesnych polskich decydentów. Załóżmy, że jest marzec 1939 r., Hitler już jest w Pradze i stawia nam ultimatum: powrót Gdańska, eksterytorialna droga przez Pomorze, udział w krucjacie przeciwko ZSRR. Jakie mamy opcje? Wiemy, tak jak oni, że nasz potencjał militarny i nasza siła są mniejsze niż niemieckie. Możemy zmobilizować ponad milion ludzi, ale to może nie wystarczyć. Skoro tak, to musimy zawrzeć koalicję. Z kim możemy? Jest Hitler i oferta Hitlera, który kusi wspólną wyprawą na Sowiety, ale nie mówi nam wszystkiego. Po to mu była potrzebna Polska – by najpierw zrobić porządek na Zachodzie, a potem pójść na Wschód.

Kolejność ważna.

O tym się nie mówi, ale godząc się na sojusz z Niemcami, zapewne patrzylibyśmy z boku, w najlepszym wypadku, na atak niemiecki na Francję i inne państwa zachodnie. Idźmy dalej. Kolejną możliwością są mocarstwa zachodnie, które zresztą dopiero od początku 1939 r. w ogóle chcą rozmawiać na ten temat. Wcześniej panowało tam przekonanie, że Hitler może sobie robić na Wschodzie, co chce. I trzecia opcja: sojusz z Sowietami. Ta propozycja, przypomnę, padła pierwszy raz w 1933 r. Taka była sytuacja. Innych możliwości nie było.

Jak by pan wybrał?

Przeanalizujmy po kolei. Wiemy, jaki jest charakter sowietyzmu i ta wiedza wtedy w Polsce jest. Nie tylko odebrano by nam niepodległość, lecz zrobiono by z nas Sowietów. To jasne, bo tak było wszędzie, gdzie stanęła stopa sowieckiego żołnierza. To zatem odpada.

Teraz Hitler – musimy pamiętać, że Hitler jest już wtedy wobec Polski bardzo twardy. Na samym początku w 1933 r. polski poseł idzie do Hitlera z postulatami w sprawie Gdańska i dostaje od niego to, co chce. Ale po śmierci Piłsudskiego Niemcy już wiedzą, że Polska jest słaba, że reżim piłsudczyków jest niepopularny, że są napięcia społeczne i ekonomiczne. Nikt także w ówczesnym gronie decyzyjnym nie ma wątpliwości, że sojusz z Hitlerem oznacza utratę niepodległości i suwerenności, że nie ma szans na podmiotowe partnerstwo, że będziemy musieli realizować politykę zgodną z interesem niemieckim, a nie polskim.

> Ani marszałek Piłsudski, ani prezydent Mościcki, ani marszałek Rydz-Śmigły, ani Beck nie wiedzieli, co się wydarzy. Nikt nie wiedział! Nikt nie miał pojęcia, że te okupacje będą tak straszliwe. Komu mogły przejść przez głowę masowe mordy na taką skalę, gazowanie ludzi, niszczenie miast z czystej nienawiści

I w takiej sytuacji nadchodzi sygnał ze strony mocarstw zachodnich o gotowości zawarcia koalicji antyhitlerowskiej. To gwiazdka z nieba. Bo to ma być sojusz wolnych państw i narodów. Bez porównania lepsza oferta od tych składanych przez dwóch szaleńców opanowanych żądzą podboju świata.

Tu zagadka: jakie są źródła zmiany postawy Francji, a zwłaszcza Wielkiej Brytanii? Przecież Churchill zostaje premierem dopiero w dniu ataku Niemiec na Francję, 10 maja 1940 r.

Bardzo ciekawy wątek, który też analizuję w książce. Znamy już dzisiaj protokoły z posiedzeń rządu brytyjskiego w tym czasie i tam pojawia się właśnie na początku 1939 r. przekonanie, że Hitler chce zaatakować Wielką Brytanię. Dlatego rząd brytyjski dochodzi do wniosku, że nie może pozwolić wziąć Niemcom całej Europy Środkowo-Wschodniej. Skąd się to przekonanie wzięło? Przypuszczam, że tu zadziałali Sowieci, mający tam wielu swoich agentów.

Czyli, jak rozumiem, to wszystko nie za bardzo mogło się inaczej potoczyć?

Prawda jest taka, że to nie my decydowaliśmy. Beck, Mościcki, Rydz-Śmigły nie byli demiurgami. Kwestia wojny i pokoju nie zależała od nich, o tym decydowały mocarstwa. Za wybuch wojny odpowiedzialni są Niemcy, Rosja sowiecka, Włochy, Wielka Brytania, Francja. Nie my! My jesteśmy średnim, niezbyt mocnym państwem starającym się za wszelką cenę uniknąć awantury, uniknąć ataku, mając z obu stron dwa totalitarne reżimy zbrojące się na potęgę.

Załóżmy na chwilę, że jednak Polska idzie z Niemcami. Jak to się mogło skończyć?

Hitler musiał przegrać wojnę światową. Nie miał silnych sojuszników ani nie miał materialnych zasobów. Moim zdaniem koalicja antyhitlerowska w końcu by wygrała. Pewnie i w tym przypadku znaleźlibyśmy się w sferze wpływów Moskwy. Ale, jak wspomniałem, staram się mówić o tym, co się wydarzyło naprawdę, a nie o tym, czego nie było.

Polski udział po stronie Niemiec atakujących Związek Sowiecki nie mógł zmienić jej przebiegu?

Nie sądzę. Różnica potencjałów gospodarczych, zwłaszcza po wejściu Stanów Zjednoczonych do wojny, była przygniatająca. Hitler mógł wygrać wojnę z ZSRR tylko wtedy, gdyby niemieckie wojska przynosiły narodom imperium Stalina lepszy los, niż zgotowali im Sowieci, gdyby „ciął po narodowych szwach", gdyby wyzyskał niezadowolenie społeczne z reżimu sowieckiego. Wtedy mógłby je pozyskać. Ale on zgodnie z programem z „Mein Kampf" niósł śmierć, zniszczenie, zbrodnie. Taka była natura jego politycznego myślenia.

eprasa.pl a357259d8c



eprasa.pl a357259d8c



Od kiedy pojawił się w „Leśniczówce”, serca zabiły mocniej nie tylko bohaterkom serialu. Sambor Czarnota – kilkanaście lat temu intrygujący chłopak z telewizyjnego dramatu „Biała sukienka” czy serialowego „Egzaminu z życia” – dziś wnosi na ekran zupełnie nowe życiowe doświadczenia

Idę swoją drogą

Fot. Niemiec/AKPA

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Tomasz Wawer / TVP

Z aktorem ***Samborem Czarnotą,*** *rozmawia* ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Czyją zasługą jest pana imię?

Sambor Czarnota: Rodzice kochają historię. Mama jest z wykształcenia historykiem, tata – nauczyciel akademicki – ukończył prawo. Poznali się na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Odkąd pamiętam, przeszłość Polski, jej tradycje są ich wspólną pasją. Widać to też w imionach: moim i starszego rodzeństwa. Mam siostrę Dobrochnę, a patron brata, św. Marcin, łączy ważne dla naszej rodziny miasta: Poznań i Częstochowę. Mnie przypadł w udziale Sambor.

Brzmi z węgierska.

Ale to słowiańskie imię, choć niektórzy kojarzą je z węgierskim Sandorem. Jest też miasto na Ukrainie o takiej nazwie. W moim przypadku Sam- (w pojedynkę) i -bor (czyli walczyć, zmagać się) składa się w „samotnie walczący". Pierwszy udokumentowany w historii Sambor był księciem pomorskim.

Słowianie nadawali dzieciom imiona życzeniowe. W pana przypadku to życzenie się spełniło?

Idę swoją drogą. Lubię sam decydować o sobie i przyszłości. Nie zdaję się na to, co przyniesie los, oczywiście zostawiając margines zdarzeń, na które nie mam wpływu.

Aktorstwo było trudnym do uzasadnienia wyborem w domu z takimi zawodowymi tradycjami?

Dodam, że mój brat i siostra wybrali prawo. Cała dorosła część rodziny jest po studiach na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. I prawie wszyscy są po prawie [uśmiech]. Jak zareagowali na pana wybór? Rozbuduję tę odpowiedź. W szkole chciałem być sportowcem. Wyczynowym. Bardzo poważnie do tego podchodziłem. I była to moja pasja. Zresztą do dziś uwielbiam sport. Jak na koszykówkę, którą uprawiałem, 186 cm wzrostu to może niezbyt dużo, ale byłem rozgrywającym, czyli mózgiem zespołu. Kimś, kto poza sportową sprawnością ma umiejętność kierowania, przewidywania, szybkiego rozdawania kart. Jest kreatywny, ale też odpowiedzialny. Nie tylko za siebie. Ma na swoich plecach więcej, niż tylko dobrze wykonać własne zadanie. To mi zostało „na życie". Im większą czuję odpowiedzialność, im więcej mam na głowie – czy jest to życie zawodowe, czy prywatne – tym lepiej funkcjonuję. I najlepiej, jak to są różne dziedziny. Od dużych zadań, przez prozaiczne czynności domowe, a to wszystko ułożone tak, żeby moja druga połówka wiedziała, że ma też faceta w domu, który potrafi jej powiedzieć, że ją kocha.

To jest pan ideałem.

Nie, może tak to zabrzmiało, ale... jak to było w jednej ze sztuk... „w pokorze i skromności nikt mi nie dorówna" [śmiech]. Przy czym i w życiu prywatnym, i w pracy przydają mi się doświadczenia sportowe.

W jaki sposób? Koszykówka stawia na zespół, a aktorstwo wybija ego, indywidualizm.

Można powiedzieć, że wybierając aktorstwo, potwierdziłem swoją pozycję outsidera. Lubię przebywać z ludźmi, w gwarze, szumie, lubię się śmiać, ale lubię też ciszę i bycie z samym sobą. Skrajności. Albo góra, albo dół. Nic pośrodku. Nic letniego.

W którym momencie „wsadził pan do kosza" aktorską piłkę. I co na to otoczenie?

Byłem w klasie biologiczno-chemicznej. Na kilka tygodni przed maturą, kiedy przyszedł czas na decyzję, co dalej, gdzie składać papiery, postanowiłem: zostanę aktorem. Nie miałem żadnej kontuzji ani zawirowań w drużynie. Koszykówka to zresztą był sport rodzinny. Uprawiali go w szkole i mój ojciec, i brat. Z tym że ja doszedłem do poziomu wyczynowego. Byłem w lidze ogólnopolskiej. Jednak tata powiedział mi: „Albo skupisz się tylko na tym i nawet dojdziesz na szczyt, tyle że kariera sportowca jest krótka, albo pójdziesz na studia, które dadzą ci coś na dłuższy dystans". I wybrałem. Zawód tak nieprzewidywalny, że...

...można powiedzieć, iż trafił pan z deszczu pod rynnę?

eprasa.pl a357259d8c

Wyniknęło to chyba z tego, że – poza sportem – nie miałem konkretnego pomysłu na siebie. Jak się z czasem okazało, moja decyzja miała jednak uzasadnienie. Znalazłem wspólny mianownik, który łączy aktora ze sportowcem. I jeden, i drugi skupia uwagę widzów. Z pełną świadomością wpływa na ich emocje. Przede wszystkim jednak i jeden, i drugi wie, co to skok adrenaliny. W chwilach napięcia może zajrzeć głębiej w siebie, poznać swoje możliwości, ale też przekroczyć kolejne granice, by osiągnąć zamierzony cel, wyższy poziom, by się sprawdzić. Jeśli ktoś jest głodny życia, zachłanny na nie, w obu tych dziedzinach może się odnaleźć.

Nawet, jeśli aktor nie zawsze jest „rozgrywającym"?

Na to też jest sposób. Staram się wiązać z różnymi miejscami. W lipcu miałem premierę w Gdyni, z Tomkiem Saprykiem, w sztuce „Lekko nie będzie". Etatowo jestem związany z Teatrem Jaracza w Łodzi. Szykuję się tu do wrześniowej premiery „Róży jerychońskiej" w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego. Z Agnieszką Więdłochą, Ewą Wiśniewską, Krzysiem Wachem i mną w obsadzie. Z Wojtkiem Malajkatem spotkam się w spektaklu „Trener życia" granym w Częstochowie. To moje rodzinne miasto, tu się też wychowałem. W Poznaniu mieliśmy wielu krewnych, których często odwiedzaliśmy. Szkołę filmową skończyłem w Łodzi. Teraz mieszkam w Warszawie. Tu współpracuję z teatrami: Scena Prezentacje, Kamienica, Imka. Prowadzę aukcje dzieł sztuki, bo moja żona Marta, też aktorka, jest zarazem współwłaścicielem domu aukcyjnego. Mam w głowie program kulinarny, który może kiedyś zrealizuję, bo uwielbiam gotować. I gram w serialu „Leśniczówka". Lubię smakować życie na wiele sposobów.

Nie obawia się pan, że to za dużo. Można nie nadążyć, można się wypalić?

U mnie od roku i dziesięciu miesięcy wszystko się gotuje. W jak najbardziej pozytywnym sensie. Od kiedy dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w ciąży. Tak o tym mówię, bo ten stan przypisany przez naturę kobiecie udziela się też mężczyźnie. I także w tym ważnym czasie – najpierw oczekiwania, a potem bycia już fizycznie we trójkę – przydała się koszykówka. Kiedy Jaś do nas zawitał – całe 3370 g –wziąłem go na ręce. Dla koszykarza to nie ciężar. Koszykarz daje też pewność, że maluch się nie wyślizgnie. Przewijanie i kąpanie od początku wychodzi mi sprawnie.

Mówi pan o tym z błyskiem w oczach. Jak Jaś zmienił pana życie?

Nie powiem, że mi się wszystko wywróciło do góry nogami. Wręcz przeciwnie – ugruntowało. I może stało się tak dlatego, że jestem dojrzałym facetem (mam 40 lat z kawałkiem). Ten mój Jaś wszedł w to, co już we mnie było, co miałem w sercu i głowie, a teraz stało się namacalne.

Kto wstaje do niego w nocy?

Jeśli jestem w domu, to ja.

Nawet jeśli następnego dnia trzeba się zerwać na plan?

Czyli o 5.30 być już na nogach. Owszem, ale ja to robię z wielką radością, bo mam też świadomość, że dość często w domu mnie nie ma. I prawdą jest, że pomaga nam niania. To konieczność, bo oboje uprawiamy wolny zawód. Marta gra teraz w dwóch serialach „Blondynce" i „Barwach szczęścia", ale jest też w trakcie prób do przedstawienia w reżyserii Janusza Wiśniewskiego. Przy czym Jaś jest idealnym dzieckiem, jeśli chodzi o noce. Od kiedy przeszliśmy na butlę, wystarczy, że wyciągnę rękę (bo łóżeczko stoi tuż obok) i już mam go przy sobie.

Zaczęliśmy rozmowę od imienia. Czy w przypadku wnuka dziadkowie coś sugerowali?

Nie, ani jedni, ani drudzy. A my, tak jak mamy czasami różnice w poglądach – i to dobrze, bo wtedy nie jest letnio w związku, nie jest obojętnie – tu byliśmy absolutnie zgodni. U mojej Marty jej ukochany dziadek był Jan i mój był Jan. I ja mam na drugie Jan. Natomiast drugie imię Jaś ma po dziadku. Jan Waldemar Czarnota. Dobrze brzmi.

Mały Jaś zmienił pana sportowe przyzwyczajenia?

Nadal, jak wcześniej, wożę z sobą torbę ze sprzętem: piłką do koszykówki (choć nie zawsze się mieści), butami i strojem do biegania. Plus kąpielówki i okulary do pływania. Chociaż teraz najczęściej biegam. Ale nic na siłę. Wolę wybrać krótszy i intensywniejszy dystans, za to w ciekawym miejscu, niż „zarżnąć" się, byle tylko wyrobić kilometry. Z Jasiem czasami zdarza mi się podbiec, ale to dla dziecka nie jest najlepsza forma ruchu. Najczęściej więc chodzę z nim na długie spacery, takie po 10 km. Wybieram wózek, bo co do nosidła Marta nie jest przekonana. Jeżeli już, to biorę go od czasu do czasu na barana. I obaj jesteśmy zadowoleni.

Czy las to pana naturalne środowisko, czy poznawane dzięki serialowi „Leśniczówka"?

Absolutnie naturalne. Byłem zuchem i harcerzem [śmiech]. Mam za sobą leśne obozy i wędrówki. Między innymi dla lasów uwielbiam Suwalszczyznę, całe Podlasie, ale jeżdżąc po Polsce z przedstawieniami, zachwycam się i innymi „okolicznościami przyrody": mamy piękne góry, morze i jeziora, niziny i wyżyny, bliską mi Jurę Krakowsko-Częstochowską, ale też Wielkopolskę, Pojezierze Drawsko-Pomorskie... Długo by wymieniać.

Teraz trafił pan między serialowe drzewa, więc spytam: potrafiłby pan odróżnić grab od jesionu?

Oczywiście. Nie mam z tym problemu.

Skoro nie obycie z lasem, to czy było coś dla pana wyzwaniem w „Leśniczówce"?

Najbardziej zależało mi, by płynnie wejść do zgranego już aktorskiego zespołu. Mam nadzieję, że widać to na ekranie. Współpracuję z wieloma świetnymi aktorami, m.in. z Jolą Fraszyńską. W nowym sezonie znajomość naszych bohaterów pogłębi się i po wcześniejszej serii nieporozumień odkryją, że „piękno jest w oczach patrzącego" [uśmiech]. Będzie dużo miłości. Takiej, o którą trzeba zawalczyć, i takiej, która przychodzi, gdy ludzie są w trudnym momencie życia. Ale po szczegóły zapraszam do najnowszej serii „Leśniczówki". Już od 9 września.

eprasa.pl a357259d8c



Magia starego kina od Tarantino

„Pewnego razu w Hollywood" to najpełniejsze dzieło Quentina Tarantino. Zdumiewający i zniewalający film pokazuje jednak, że kończy się pewna epoka. Tarantino jest świadomy, że się starzeje, i zostawia nam testament



ŁUKASZ ADAMSKI

To powinien być ostatni film Quentina Tarantino. Koniec. Finito. The End z ikonograficznego utworu The Doors z lat 60. Tarantino utrzymuje zapowiedź sprzed kilku lat, że po dziesiątym filmie kończy karierę reżyserską. „Pewnego razu w Hollywood" jest jego nr 9 („Kill Bill" został podzielony na dwie części, ale liczony jest jako jeden film). Nie wiadomo, czy 56-letni filmowy chuligan zakończy reżyserską działalność, kręcąc „Star Treka" z kategorią R dla widzów dorosłych, czy pójdzie w stronę horroru, jaki zawsze chciał zrobić. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Już się w moich oczach spełnił, kręcąc swoje arcydzieło. Zdumiewający i pierwszy tak zaskakujący od czasu „Pulp Fiction" „Pewnego razu..." jest tym dla Tarantino, czym – jak błyskotliwie zauważył Michał Oleszczyk – dla Tarkowskiego był „Andriej Rublow".

Oczywiście jest to arcydzieło Tarantinowskie, godne bezczelności porucznika Aldo Raine'a z „Bękartów wojny". On, mówiąc o swoim największym arcydziele, wyrył niemieckiemu naziście swastykę na czole. Nożem. Tarantino wyrył na ekranie całą swoją miłość do kina. Miłość totalną. Miłość bezkompromisową. Jednocześnie pokazał nam, czym kino już nie jest i więcej pewnie nie będzie.

ZA SIEDMIOMA GÓRAMI I LASAMI HOLLYWOOD

„Pewnego razu w Hollywood", jak wskazuje sam tytuł, jest baśnią. To coś więcej niż nawiązanie do dwóch arcydzieł Sergia Leone, które za namową Tarantino zrobił też Robert Rodriguez w finale swojej trylogii o zabójczym Mariachi. Tarantino

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a357259d8c

snuje opowieść o świecie, którego już nie ma, ale również wymierza sprawiedliwość tym, którzy uczynili go potwornym. Jest bliższy wyciszeniu z „Jackie Brown" (1997) niż erupcji dziecięcej radości z popkulturowej żonglerki znanej z „Kill Bill" (2003). Ten film jest rozgadany, dygresyjny i sentymentalny. Tarantino jest dojrzały, pewny siebie i arogancki, jak przystało na twórcę pokroju Spielberga czy Scorsese, którym w Hollywood wolno absolutnie wszystko. Bez względu na to, czy podoba się to masowemu widzowi, czy nie.

Tarantino zaprasza nas do Hollywood roku 1969. Zabiera na przejażdżkę po krainie, która już nie istnieje. To podróż na jego warunkach. Przygotujcie się więc na liczne przystanki w nieoczekiwanych miejscach i dygresje, które mogą was początkowo irytować, ale ostatecznie obnażą intencje reżysera. Tarantino nonszalancko, ale z precyzyjnym planem pokazuje nam krainę, która spłynęła krwią, kończąc lato miłości i erę dzieci kwiatów. Mord w domu Romana Polańskiego 9 sierpnia 1969 r. jest w amerykańskiej kulturze traktowany jako koniec niewinności i kres rewolucji hipisowskiej. Tarantino nie jest oczywiście żadnym moralistą ani nawet przenikliwym obserwatorem pokłosia rewolucji pokolenia '68. On jest bajkopisarzem unikającym morału. A jednak finał jego baśni ma przeszywającą siłę.

Główną osią filmu jest opowieść o gasnącej gwieździe telewizyjnych westernów Ricku Daltonie (Leonardo DiCaprio) i jego przyjacielu dublerze-kaskaderze Cliffie Boocie (Brad Pitt). Rick nigdy nie trafił na wielki ekran, choć był rozpatrywany jako jeden z trzech zastępców Steve'a McQueena (Damian Lewis) w „Wielkiej ucieczce". Teraz błąka się na drugim planie telewizyjnych westernów, których był kiedyś królem. Cliff też nie może znaleźć zajęcia po tym, jak pobił na planie samego Bruce'a Lee (Mike Moh). Dalton za namową swojego agenta (brawurowy epizod Ala Pacino) jedzie w końcu do Rzymu kręcić z Sergio Corbuccim spaghetti westerny. Cliff nie opuszcza go na krok. Jest jak wierny pitbull, który notabene odegra kluczową rolę w finale.

> Nie da się omówić tego zdumiewającego filmu bez analizy jego finału. Nie czytajcie więc dalej, jeżeli filmu nie widzieliście i nie chcecie porozmawiać o jego szokującym finale

Duet DiCaprio–Pitt sam w sobie przypomina o złotej erze Hollywood. Jest między nimi tak wielka chemia, że można ich porównać do najsłynniejszego duetu Hollywood Redford–Newman. Zasługujący na Oscara Brad Pitt dowodzi, jak znakomitym jest aktorem, gdy ma za sobą dobrego reżysera. Cliff ma w sobie bezczelność, odwagę i dezynwolturę godną właśnie Paula Newmana z „Leworęcznego Luke'a". Jego przyjaźń z Rickiem szczerze wzrusza i pozwala zapomnieć o okropnym nihilizmie „Nienawistnej ósemki" (2015), ale też depcze po wątku zdrady z debiutanckich „Wściekłych psów" (1992). Przyjaźń tej pary jest romantyczna i męska w rozumieniu kina lat 50.

Tarantino zabiera nas za kulisy telewizyjnych produkcji, które połykał od dzieciństwa, wychowując się w Los Angeles. Nie przez przypadek powiedział kiedyś, że jego szkołą filmową było oglądanie filmów. „Pewnego razu..." pokazuje, jak cholernie wielkim filmowym erudytą jest Tarantino. Na planie filmów Daltona poznajemy cały wachlarz znanych fanatycznym kinomanom gwiazd telewizji na czele z Jamesem Stacym (Timothy Olyphant). Imponująco wygląda oddanie klimatu Hollywood końca lat 60. Operator Robert Richardson i scenografowie odtworzyli nam bajkowy świat neonów Sunset Strip i Hollywood Boulevard ze starymi samochodami pędzącymi w rytm klasycznych hitów tamtych lat. Nie jest to jednak dla widza turystyczna wizyta w Universal Studio. DiCaprio poruszająco portretuje świadomego końca kariery aktora, przeżywającego na planie załamanie nerwowe. Dalton mieszka w domu obok pożądanego przez całe Hollywood Romana Polańskiego (Rafał Zawierucha) i jego żony Sharon Tate (Margot Robbie). Jego marzeniem jest rola u twórcy „Dziecka Rosemary" albo choćby zauważenie przez błyszczącą wówczas u boku Deana Martina w „The Wrecking Crew" Tate. Zamordowana przez bandę Mansona amerykańska aktorka jest trzecią najważniejszą postacią filmu Tarantino.



eprasa.pl a357259d8c



Fot. Materiały prasowe

Ku oburzeniu feministek nie ma wiele do powiedzenia na ekranie. Widzimy ją jako przechadzającą się wesoło po Hollywood wschodzącą gwiazdę kina, tańczącą na imprezie „Playboya" diwę i siedzącą w kinie z obowiązkowymi gołymi stopami (fetysz Tarantino wiecznie żywy) podnieconą dziewczynkę. Tyle że nawet w tej z pozoru nieznaczącej nic scenie Tarantino składa hołd. Filmowa Tate o twarzy Robbie ogląda na ekranie prawdziwą Tate z filmu Phila Karlsona. Tate u Tarantino jest symbolem hollywoodzkiego blichtru i sięgnięcia po amerykański sen u boku piekielnie zdolnego imigranta z Polski. Jest jednak również noszącą pod sercem dziecko matką. Jej poruszające słowa wypowiedziane w finale przez domofon spinają całą opowieść.

TARANTINO REWIZJONISTA

Nie będę się bawił w tym miejscu w spoilerofobię. Nie da się omówić tego zdumiewającego filmu bez analizy jego finału. Nie czytajcie więc dalej, jeżeli filmu nie widzieliście i nie chcecie porozmawiać o jego szokującym finale. Jest „Pewnego razu w Hollywood" zwieńczeniem Tarantinowskiej trylogii o zemście. Oczywiście „Kill Bill" czy „Death Proof" również były filmami o wendecie. Jednak była to zemsta w ujęciu pulpowym i komiksowym. Natomiast „Bękarty wojny" (2009), „Django" (2012) i „Pewnego razu w Hollywood" to zemsta Tarantino w imieniu całego świata. Reżyser nie tylko morduje w nich nazistów, rasistów i sekciarzy Mansona. On nimi pomiata i, przepraszam za mocne i więzienne słownictwo, ich cweli. Finałowa jatka „Pewnego razu..." jest zniszczeniem mitu Charlesa Mansona, notabene noszącego na czole swastykę. Jemu Brad Pitt nie musiał jej wycinać. Wystarczyło, że na farmie rodziny Mansona upokorzył piszczące z niemocy hipiski i cwaniakującego samca. Trudno nie czuć satysfakcji, widząc upokorzonych rasistów z KKK, umierających od kul nazistów i sprawców najsłynniejszej i najbardziej przeżutej przez popkulturę rzezi.

Nie można przy tym nie postawić sobie pytania o granice rewizjonizmu. Tarantino wierzy w magię kina od zawsze. Dlatego szokował w „Pulp Fiction", uśmiercając w połowie filmu Vincenta Vegę, który w kilka minut później brylował jako bohater innej historyjki. W „Kill Bill" płynnie przechodził od kina samurajskiego, przez japońską mangę, aż po western. W napisanym przez siebie „Od zmierzchu do świtu" (1996) w połowie zmienił rasowe gangsterskie kino drogi w wampiryczny horror gore.

Jednak zamordowanie w „Bękartach wojny" przez żydowskich mścicieli Adolfa Hitlera i reszty nazistowskiej śmietanki w paryskim kinie miało już inny wymiar. Tarantino dał sobie prawo do przepisania całej historii II wojny światowej. Dlaczego? Bo reżyser jest bogiem i po prostu mu wolno. To jednak był filmowy Hitler. Pokazany w krzywym zwierciadle czarnej jak smoła komedii odbierany był jako ikona zła, a nie prawdziwy człowiek. Inaczej to wygląda tutaj. Krewni Sharon Tate żyją. Żyje Roman Polański, który stracił nie tylko żonę, lecz i nienarodzonego synka. Żyje rodzina Wojtka Frykowskiego. „Jak można w taki sposób wykorzystać czyjeś tragiczne życie" – napisała po premierze filmu w Cannes obecna żona Polańskiego aktorka Emmanuelle Seigner.

Ani Tarantino, ani Robbie nie kontaktowali się z Polańskim i oparli swoją wiedzę o tym, co się stało pół wieku temu na Cielo Drive, na autobiografii polskiego reżysera. Ale przecież Tarantino prowadzi nas do ściskającego za gardło happy endu. Nie jest już cynicznym nihilistą ze swojego poprzedniego westernu. Nie jest bawiącym się estetyzowaną przemocą dzieciakiem z „Kill Bill". Finałowa krwawa jatka przypomina realizm dzisiejszego brutalnego, ale przepełnionego empatią kina S. Craiga Zahlera. Czy wolno mu tak robić?

Chyba tak, skoro kręci baśń. Ten film to umowna, oderwana od rzeczywistości baśń znakomitego gawędziarza postmodernisty, który przebudował kino ćwierć wieku temu, przy buczeniu i aplauzie odbierając z rąk Clinta Eastwooda Złotą Palmę w Cannes. Wygląda na to, że każdy z ośmiu filmów prowadził Quentina do miejsca, w którym stanął dziś. W każdym kolejnym dojrzewał do zostawienia swojego testamentu zlepionego z elementów filmowych wrzuconych do jednego garnka. To zupa sklecona z arcydzieł kina aż po fascynację kinem klasy C.

Tarantino wie, że przemija i musi schować stołek reżyserski do szafy, by nie skończyć jak Rick Dalton. Osiągnął absolutnie wszystko. Najważniejsze nagrody, stałe miejsce w historii kina, uwielbienie i nienawiść kinomanów. Sam Ennio Morricone napisał oryginalną muzykę do poprzedniego westernu. Ten sam maestro współtworzył wielkość „Pewnego razu w Ameryce" i „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie". Ten sam geniusz napisał też muzykę do ukochanego przez Tarantino „Dobrego, złego i brzydkiego". Quentin był każdym z nich w swojej karierze. To zdumiewające, że w jej finale jest tym dobrym od happy endu. Nawet, jeśli życie skończyło się wtedy inaczej.

eprasa.pl a357259d8c

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

O okaleczonej duszy

TVP Kultura znów powtórzyła „Noc Walpurgi", film Marcina Bortkiewicza sprzed czterech lat. Zdążyłem go obejrzeć dwa razy – za drugim zrobił na mnie może nawet większe wrażenie. Zarazem to nie jest obraz, który mam ochotę pożerać po wielekroć, jak wiele innych. Wiem, że trzeba go znać, że gdzieś się odłożył w mojej głowie i w sercu. Ale człowiek niekoniecznie lubi powtarzać przeżywanie prawdziwego bólu, choć często szuka jego udawanych namiastek.

Z tego, co wrzuca na Facebooka, wnoszę, że Bortkiewicz jest człowiekiem o zupełnie innych ideowych przekonaniach niż ja. Jak to się dzieje, że ktoś, od kogo dzieli mnie – tak podejrzewam – aksjologiczna przepaść, robi film tak do mnie przemawiający, szarpiący mnie za gardło, za trzewia. Oto potęga sztuki, która odwołując się do ludzkiej wrażliwości, może przekraczać najszersze różnice. Rad bym przekonywać filmowca o tym czy o owym. Dziś muszę pochylić czoła.

Zajawka tego czarno-białego, wysmakowanego także pod względem wizualnym filmu, jest, zapewne umyślnie, myląca. Z niej można wynieść wrażenie, że rzecz dotyczy dziwactw starzejącej się gwiazdy, operowej diwy (Małgorzata Zajączkowska), zderzonej przez jeden wieczór z też nieźle pokręconym, choć młodszym o pokolenie, dziennikarzem (Phillippe Tłokiński). Tak, to jest również o tym, ale to tylko pierwsza warstwa, nawet dobrze znana, bo były już takie sztuki i filmy.

Zaskoczenie jest dużo większe. Sądziłem, że w sprawie losu żydowskiego podczas II wojny światowej (a szerzej o losie wszystkich narodów w czasie tej wojny) powiedziano właściwie wszystko. Tymczasem Bortkiewicz, wdzierając się tak mocno w duszę trwale okaleczonej kobiety, gdzieś na granice, na których można się zawahać, czy ciągnąć opowieść, pokazał nam zło, które zaraża także ofiary. Ale które zarazem nie pozwala zapomnieć, że ofiara nie przestaje nią być i po kilkudziesięciu latach. To jest wyjątkowa, niekonwencjonalna historia, której nie podejmuję się powtarzać. Może da się ją opowiedzieć tylko w postaci takiej psychodramy. Reżyserowi udało się coś niezwykłego.

Ale przy okazji mam też inną uwagę, dotyczącą już samego tworzywa. Nie ma chyba niesprawiedliwszego rodzaju twórczości artystycznej niż film. Marcin Bortkiewicz ma 43 lata i to pierwsze jego tak znaczące dzieło. Robił filmy dokumentalne i krótkometrażowe, dłubał w popularnych serialach, ale dopiero w „Nocy Walpurgi" dostał tak istotną szansę. Skorzystał z niej. Oby skorzystał ponownie, ale w tym świecie ludzie pięćdziesięcioletni są wciąż debiutantami. Tak bardzo środki na ten najdroższy rodzaj sztuki są limitowane.

Niesprawiedliwe są też reguły rządzące aktorstwem. Pamiętam debiut Małgorzaty Zajączkowskiej w Teatrze Narodowym Adama Hanuszkiewicza pod koniec lat 70. Aktorka wyjechała potem do USA, do Polski wróciła po kilkunastu latach. Grała dużo, ostatnio dała się też zauważyć w „Zaćmie", ostatnim filmie Ryszarda Bugajskiego. Ale na taką okazję czekała pewnie dziesięciolecia. Tłokiński, zupełnie inny niż jako Nowak-Jeziorański w „Kurierze", tu też świetny, czekał krócej. A w tej pozornie drapieżnej, a tak naprawdę kruchej postaci granej przez Zajączkowską jest tyle emocji, tyle piękna, że chciałoby się spytać: gdzie pani była? Ileż mamy aktorek i aktorów w podobnej sytuacji. Reżyserzy, producenci, rozejrzyjcie się!



Fot. TVP

Piotr Zaremba

e-prasa.pl a59259d8c



Wojciech Stanisławski

Ach, Tamara

Grzegorz Musiał sprawił, że wzięta malarka art déco przemówiła. Na swą zgubę?

Najgorsze, co może spotkać artystę, nie jest zapomnienie jego spuścizny (choć mało to przyjemne), lecz wydobycie z niej i zbanalizowanie, w całkowitym oderwaniu od całości dzieła, jednego elementu czy motywu, rozkutego na blaszkę w tysiącach reprodukcji i parafraz. Biedny Munch ze swoim „Krzykiem". Biedny Vincent. Biedny Vivaldi z „Wiosną" ćwierkającą w zajawkach programów muzycznych. Biedny Rodin. I biedna Tamara Lempicka z tym autoportretem w pożyczonym bugatti, z którego zerka chłodno, usadowiona na zawsze w tej pozie na okładkach albumów, zeszytów dla ambitnych nastolatek oraz bombonierek słodzonych stewią! Piekło.

Poza tym jednak nie ma tak źle: jest stale w obiegu, obecna na wielkoformatowych reprodukcjach (do kupienia w magazynach meblarskich) i na markach pocztowych. I nic dziwnego, miło jest przecież zawiesić wzrok na chmurnej blond piękności w oszałamiających jedwabiach, i chociaż „miło" to nie jest może najwyższa ranga w wysokich niebach estetyki, i po jakimś czasie zaczynamy sobie uświadamiać, na czym polegają Tamary chwyty, ale jakoś przyjemniej (choć może nie ciekawiej) patrzeć na tę rewię mody niż na ptakoupiory jakiegoś Klee. Jest to sytuacja nieco podobna do klasycznego chrupania nachosów do wtóru znanej już komedii romantycznej: przyjemność dość wstydliwa, której nie pochwalamy publicznie, tym bardziej gdy wiemy, że obrazy Tamary wieszają na ścianach albo przewrotni wielbiciele campu, albo osoby tak prostoduszne, że na pytanie o ulubionych malarzy współczesnych wymieniają van Gogha, Picassa („Panny z Awinią") i Lempicką. Skoro nie chcemy uchodzić za nazbyt przewrotnych ani prostoduszny, pozostaje nam kontentować się ukradkowym zerkaniem na bugatti.

I bardzo dobrze, niechby Tamara pozostała obecna między galerią a bombonierką, lekceważona przez historyków sztuki, uwielbiana przez scenografów, głowiących się nad dekoracjami do filmów o szalonych latach 20.: w ikonosferze jest mieszkań wiele. Niechby szarżowała szmaragdem i karminem. Niechby tylko – jak zdarza się wzdychać, zerkając na gwiazdy kina niemego i nie tylko – nie otwierała ust.

Otwarła je za sprawą mediumicznej pomocy Grzegorza Musiała, pisarza obdarzonego słuchem na osobliwości mowy, na uskoki wywodów, zestawiającego różne punkty widzenia niczym na kubistycznym szkicu, co udowodnił zarówno w swoich powieściach, jak i fantastycznych „dziennikach" różnych miejsc i czasów (czasem internowanie, czasem Iowa). Otrzymaliśmy dzięki temu rzecz bez precedensu: antologię egzaltacji.



Grzegorz Musiał, „Ja, Tamara", Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2019

Bo przecież życiorys Tamary to kalejdoskop miejsc, epok, ludzi. Dzieciństwo rozpieszczonej panny, podróżującej w pluszach secesji między Wenecją a Biarritz. Perwersje w Petersburgu rychło przemianowanym na Piotrogród, bo rewolucja u bram. Koszmar komunizmu wojennego i ucieczka przez Szwecję. Paryż początku lat 20., jazz i Amerykanie. Wędrówka ku sławie, blask, rozgłos, romanse – i długi zmierzch, i starość u stóp wulkanu w Meksyku. To materiał na tysiąc powieści (które w większości powstały), na pół tuzina biografii z ambicjami naukowymi (również) oraz trzy tysiące harlequinów, i to w kilku seriach: od Harlequin Christmas Special (ślub z młodym i pięknym szlachcicem Tadeuszem de Lempickim, któremu ślubuje wierność w obliczu Boga) po Harlequin Desire (noc w objęciach paryskiego apasza lub jednej z przyjaciółek z lesbijskiego combo, rządzącego światem paryskich galerii).

Tyle że Musiał opowiedział to wszystko słowami Tamary wspominającej życie w monologu nagrywanym na niekończącą się taśmę. Najważniejsze zwroty życia, sesje (malarskie) i obsesje (kapelusz z szerokim rondem) są ukazane wyłącznie

eprasa.pl a357259d8c

z perspektywy bohaterki, i przyjęcie tego punktu widzenia okazuje się celne. Bohaterka książki-monologu jest bowiem ucieleśnieniem egotyzmu o rozmiarach i rozmachu wieży Eiffla, w której cieniu odnosi sukcesy: nie obchodzi jej nic poza nią samą. Jej monolog to bezprzykładny zbiór frazesów i kolokwializmów włożonych w usta jednej osoby. „Ja, Tamara" to powieść, którą chciałoby się przyrównać do „Bouvarda i Pécucheta", tyle że akcja dzieje się o kilkadziesiąt lat później niż we Flaubertowskim oryginale: Tamara jest mieszczką nowoczesną, przekonaną o prawie do samorealizacji, absolutnej wyższości sztuki nad wszystkim i potrzebie hołdowania zachciankom, potrzebie, której sprzeciwiać się mogą jedynie filistrzy.

A do tego te egzaltacje! Te trzykropki! Drżące głosy, frazy tak teatralne, że nie sposób uwierzyć, by wypowiadane były serio; błyskawiczne zmiany nastroju, padanie sobie w ramiona i niekończące się zmiany (oczywiście) kapeluszy. „Ja, Tamara" jest w gruncie rzeczy bardzo sugestywnym manifestem mizoginii i demaskacją urojeń nowoczesnego świata: tak jednak przewrotnie skonstruowaną, że osoby prostolinijne gotowe są czytać tę powieść niczym harlequina, roniąc łzy. Bardzo to podstępne – i świetnie pomyślane.

Pamięć pod gruzami

Jeśli odrzucić bombastyczny styl, w którym słowo „krew" zawsze trzeba rozbełtać w słowie „rzeka", a malarze pokroju Delacroix czy Wieriereszczagina wylewają na płótno wiadra purpury i bieli, nie ma właściwie języka na opisanie rzezi, w której ginie miasto. Tukidydes i jego następcy wiedzą, że najwięcej powiedzieć potrafi urywek, scena, zdanie, które udaje się wypowiedzieć mimo zgrozy, niejako obok niej, jak choćby to o kciuku: „Jak się położyłem, matka koło mnie i matka objęła mnie. Ja miałem matkę z prawego boku. Lewą ręką mnie objęła, za szyję. A ja matkę swoją prawą ręką, pod spód włożyłem i złapałem, za kciuk. Trzymałem mocno. Czułem, jak jej puls bije […]. I czułem, jak matce puls bije coraz to mniej, tak słabiej. […] Po chwili, po kilku minutach, poczułem, że mam prawy bok od strony matki mokry […] Kilka razy potrząsnąłem matkę, palcem... ręką za palec. I mówię, pytam się: »Mamo, żyjesz czy nie żyjesz? No żyjesz? Odezwij się?«. Tak pytałem".

Tyle dziecko Woli, Czesław Adamusik, który miał okazję przekazać swoje świadectwo dopiero w lutym 2010 r. Wymordowanie w ciągu kilku dni kilkudziesięciu tysięcy ludności cywilnej przez oddziały niemieckie pozostało nie tylko nieosądzone, lecz nawet – nienazwane lub w najlepszym razie nazwane półgębkiem. O nieukaraniu zbrodni, którego symbolem pozostaje bezkarność Heinza Reinefartha, który do końca cieszył się uznaniem należnym burmistrzowi spokojnego, nadmorskiego miasteczka, zadecydowała zimna wojna. Przyczyny „nienazwania", nieopisania rzezi Woli również w polskiej narracji i pamięci są znacznie bardziej złożone – i o nich przede wszystkim traktuje przygotowany przez Instytut Pileckiego zbiór studiów.

Na przemilczanie cywilnych ofiar powstania, które osiągnęło swoje apogeum w stalinizmie, nałożyła się „łże-heroizacja", której symbolem pozostaje fraza „miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny", widniejąca na setkach tablic upamiętniających ofiary okupacji. Słowo „poległych" wpisywało się w narrację heroicznej walki. I nijak było nawet przeciw tej heroizacji protestować, bo mogłoby to zostać odczytane jako deprecjonowanie zrywu, do czego propaganda zawsze pozostawała chętna. Nawet w opracowaniach poświęconych cywilnym, niebiorącym udziału w walkach mieszkańcom Warszawy skupiano się na opisaniu historii społecznej. Można by powiedzieć, sięgając po imaginarium okupacyjne, że Wolę niejako zagipsowano, unieruchamiając ją w patetycznej frazie o „cierpieniach ludności" – i nie dając wypowiedzieć świadectwa, przeżyć żałoby.



„Wola 1944. Nierozliczona zbrodnia a pojęcie ludobójstwa", red. naukowa Eryk Habowski, Instytut Pileckiego, 2019

Równie istotne są zagadnienia klasyfikacji prawnej masowych morderstw, dokonywanych w Dzielnicy Zachodniej: od którego momentu można mówić o intencji ludobójstwa, zamiarze wykraczającym poza dokonaną w amoku rzeź mieszkańców jednej kamienicy czy ulicy? Jakimi środkami procesowymi posługiwali się sprawcy rzezi Woli, by uniknąć odpowiedzialności sądowej? Czy współczesne ustawodawstwo polskie i unijne stwarza jakieś możliwości pociągnięcia do odpowiedzialności za tę zbrodnię?

Na pozór są to kwestie nieznośnie suche i zdarza się, że ci, którzy podejmują wysiłek wyobraźni, otwierają się na relacje ofiar, są oburzeni na jurystów toczących abstrakcyjne spory, dzielących włos na czworo. Tymczasem odpowiedzi na te pytania to narzędzia, dzięki którym nie jesteśmy całkiem bezradni w toczących się z coraz większym rozmachem wojnach o pamięć: czy podobne odczucia – końca czasu bezbronności – mieli świadkowie pierwszych poligonowych prób „Błyskawicy"? Instytut Pileckiego po raz kolejny nie zawodzi: pochyla się nad katastrofą, jaką jest rzeź Woli, zarazem ze współczuciem i z trzciną, którą stara się zmierzyć to, co nieludzkie.

eprasa.pl a357259d8c



Behawioryści z FBI powracają

Warto było czekać dwa lata na drugą odsłonę jednego z najciekawszych kryminalnych seriali ostatnich lat. David Fincher, twórca takich klasyków o seryjnych mordercach jak „Siedem" i „Zodiak", tym razem wziął pełną kontrolę nad serialem opowiadającym o kulisach powstania Jednostki Nauk Behawioralnych w FBI. Serial jest oparty na książce byłego agenta FBI Johna E. Douglasa „Mindhunter. Tajemnice elitarnej jednostki FBI". Ku rozczarowaniu tych, którzy oczekiwali pełnej krwi, pościgów i strzelanin opowieści o FBI, „Mindhunter" skupia się wyłącznie na psychologii masowych morderców, bez których badania nie byłoby dzisiejszego profilowania w kryminalistyce.

Drugi sezon ma wszystko, co zachwyciło w „jedynce". Intrygujący chłód opowieści, klimat retro oraz trójkę charyzmatycznych gliniarzy poświęcających swoje życie osobiste dla wyższych celów. Fincher i spółka przenieśli ciężar opowieści z rozmów ze słynnymi seryjnymi mordercami (ponownie się pojawia przerażająco inteligentny i elokwentny dwumetrowy nekrofil Ed Kemper) na problemy agentów. Holden Ford (Jonathan Groff) zmaga się z atakami paniki, zaś Bill Tench (Holt McCallany) doświadcza mroków życia rodzinnego, gdy jego adoptowany synek zostaje zamieszany w śmierć innego dziecka. Obaj zderzają się z wielką polityką, bez której nie zdobędą funduszy na swoją działalność. Interesująca jest również postać Wendy Carr (Anna Torv), która jest, to już nie jest żadne zaskoczenie, naznaczona polityką ideologiczną Netflixa. Mamy więc opowieść o ambitnej kobiecie zmuszonej ukrywać (era Reagana–Busha) swoją homoseksualność. Pierwowzór postaci Carr nie była lesbijką.

Drugi sezon „Mindhuntera" dotyka też kwestii rasowych. Ford angażuje się emocjonalnie w śledztwo w sprawie mordów czarnoskórych dzieci w Atlancie (sprawa Wayne Williamsa), która zostaje zestawiona z postacią Charlesa Mansona. Agenci badają ikonę amerykańskiej zbrodni graną przez Damona Herrimana, który notabene wcielił się w Mansona również w „Pewnego razu w Hollywood" Tarantino. Helter Skelter Mansona miało być początkiem wojny rasowej w USA. Nie przez przypadek jego banda pozorowała mord w domu Polańskiego na działania Czarnych Panter. Epizod Mansona zasługuje na oddzielny tekst. Scenarzyści totalnie obnażyli tego pozera, mitomana i wybitnego manipulatora. Herriman daje zaś popis aktorski zasługujący na jakąś statuetkę. Za maską kabotyna teatralnie budującego w więzieniu swój mit kryje się nie tylko tchórz mordujący rękoma swoich „dzieci", lecz też demoniczny nihilista, niewierzący w istnienie dobra i zła. Takie epizody to największe perełki tego serialu.



O ile pierwszy sezon był opowieścią o kulisach profilowania masowych morderców, o tyle drugi mówi nam coś o wiele bardziej niepokojącego. Nigdy do końca nie poznamy motywu działania bestii. Nigdy nie spenetrujemy do końca umysłu seryjnego mordercy. Tajemnica zła jest ponad nauką i ponad racjonalnym rozumem. Zło pochodzi z innego miejsca. Odległego, ale i bardzo bliskiego nam wszystkim. O tym właśnie jest „Mindhunter".

SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



Familijny film komiksowy

Nareszcie uniwersum DCU wypuściło coś lekkiego, zabawnego i bezczelnie sztubackiego. „Shazam!" pokazuje, że ociężały mrok z ostatnich ekranizacji przygód Batmana, Supermana i łotrów z „Suicide Squad" może w końcu być czymś rozwadniany. Po luźnym „Aquamanie" dostajemy historię doskonale kiczowatą, pełną ironii i z odpowiednio skrojonym wątkiem familijnym. Opowieść o 14-letnim sierocie Billym Batsonie, który dzięki magicznym mocom przybiera ciało nieśmiertelnego dorosłego (zostaje mu mentalność nastolatka), to filmowa żonglerka podobna do „Lego. Przygody" czy marvelowskich „Strażników galaktyki". Zadowoli wychowanych na popkulturowym miszmaszu milenialsów i ich rodziców wyrosłych w latach 90. Jest to też naprawdę poruszająca familijna historia grupki sierot, która zanim pokona czarne charaktery tego świata, musi się uporać z własnym bólem po odrzuceniu. Idealna rozrywka na lato.

„SHAZAM!", REŻ. DAVID F. SANDBERG, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl a357259d8c

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Wszystko o jego matce

Każdy film Pedro Almodóvara ma wątki autobiograficzne. Jednak „Ból i blask" jest najbardziej osobistym wyznaniem najbardziej utytułowanego hiszpańskiego reżysera. „Nie mogę się dłużej skrywać za postacią Salvadora Mallo" – przyznał w jednym z wywiadów Almodóvar. Zrealizował zdjęcia w swoim madryckim mieszkaniu i ubrał Antonio Banderasa w swoje ubrania, uczesał go w swoją fryzurę, a na plakacie jego cień góruje nad postacią głównego bohatera.

Wielcy reżyserzy lubują się w oddawaniu hołdu ich największej miłości, czyli kinu. Robią to z pozycji filmowego maniaka jak Quentin Tarantino w „Pewnego razu w Hollywood" albo autobiograficznej jak Federico Fellini w „8 i pół". „Ból i blask" należy do tej drugiej kategorii filmów. Almodóvar zaprasza nas do świata najbardziej znanego hiszpańskiego reżysera Salvadora Mallo (Banderas), który zmaga się z niemocą twórczą oraz egzystencjalnym i fizycznym bólem. Migreny, bóle pleców i stawów, refluks, depresja i brak weny prowadzą go wprost w szpony nałogu heroinowego. Ponowne zjednoczenie z dawnym przyjacielem i aktorem Alberto (Asier Etxeandia), z którym pokłócił się 32 lata wcześniej, każe mu zajrzeć we własną duszę.


Kino

Mallo został wychowany w ubogiej rodzinie mieszkającej w zaadaptowanej na dom jaskini z kochającą i surową matką (Penélope Cruz) u boku. Teraz powraca do wspomnień z dzieciństwa. Przypomina sobie nauki matki, katolicką szkołę, pierwsze seksualne fascynacje i najważniejszą miłość. Miłość do kina. Każde z tych wspomnień definiuje dzisiejszego Salvadora. Jego pastelowe mieszkanie pełne dzieł sztuki (tak samo kolorowe jest kino Almodóvara) zderza się z matką próbującą ożywić kolorami wapienne ściany jaskini.

Przyjaźń ze starszym od siebie robotnikiem analfabetą, którego mały Salvador nauczył pisać i czytać, rozwinęła w nim popęd homoseksualny. Obsadzenie w roli matki Penélope Cruz ma drugie dno. W ostatnich latach kariera Almodóvara jest pełna artystycznych zakrętów. Penélope zawsze jednak przy Pedro stała i wybierała role u niego ponad propozycje z Hollywood. To ona też dawała twarz jego przywiązaniu do matriarchatu we „Wszystko o mojej matce" czy „Volver". Kluczowe dla akcji jajko do cerowania należało do matki Pedro. Poruszający jest też obraz narkotykowego nałogu Salvadora. To szczere, ale niepozbawione autoironicznego humoru wyznanie zamknięte w wypowiadanej przez bohatera mądrości: „Wierzę w Boga, gdy doskwiera mi ból wszystkiego. Kiedy boli mnie tylko jedna część ciała, pozostaję ateistą".

Banderas dostał za tę wybitną rolę nagrodę w Cannes. Nie byłoby jego międzynarodowej kariery, gdyby nie praca z Almodóvarem, z którym zrobił już dziewięć filmów. Debiutowali razem w „Labiryncie namiętności" (1982). Od tego czasu Banderas osiągał swoje największe aktorskie szczyty w obnażających aktorsko dziełach Pedro. Ten film jest najpiękniejszym dowodem ich przyjaźni. Antonio obnaża tym razem samego Pedro. Obnaża jego fobie, lęki, ale też namiętności. Obnaża jego miłość. Do matki i kina.

„BÓL I BRZASK", REŻ. PEDRO ALMODÓVAR, DYSTR. GUTEK FILM

Klasyka w wersji Burtona

„Dumbo" to jeden z największych disneyowskich klasyków. Któż z nas nie widział uroczej i klasycznie mądrej opowieści o słoniku obdarzonym umiejętnością latania, którego potem ściągają wredni kapitaliści pragnący jego sławy. Myślałem, że zamiłowany w gotyku wizjoner Tim Burton („Sok z żuka") przerobi ją autorskim pazurem. Postawił na wypróbowaną i bezpieczną dla familijnego widza narrację, choć uwypuklił fascynujący go od początku kariery temat wyalienowania i inności. Trochę szkoda, że tak nietuzinkowy artysta jak Burton dał się sformatować przez komercyjne trybiki. Rekompensuje to wizualną stroną filmu. Burton pokazał bajkowy, magiczny świat cyrku z iście barokowym rozmachem. Piękna choreografia i kostiumy podkreślają doskonale wykreowanego przez CGI słonika. Naprawdę nie chce się tego cyrku opuszczać. Szczególnie, gdy pojawiają się w nim ulubieni przez Burtona aktorzy: Danny DeVito, Michael Keaton (duet z „Powrotu Batmana") i wyraźnie zastępujący Johnny'ego Deppa Colin Farrell w duecie z zawsze magnetyczną Evą Green.


BluRay

„DUMBO", REŻ. TIM BURTON, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl a357259d8c



Mamy do czynienia z nowym marksizmem, rewolucją kulturową. Większość myśli, że marksizm się skończył, bo upadł Związek Radziecki. Tymczasem mamy uderzenie z Zachodu. Trzeba o tym mówić, informować, próbować odwrócić marsz przez instytucje, co jest bardzo trudne

Fot. Andrzej Wiktor

Najważniejsze to bronić rodziny

z Dariuszem Rozwadowskim,
historykiem, autorem książki „Marksizm kulturowy. 50 lat walki z cywilizacją Zachodu”,
rozmawia Aleksandra Jakubowska

Powiedział pan: „To jest wojna, najwyższy czas, żeby zacząć się bronić”. Kto komu wypowiedział tę wojnę?

Dariusz Rozwadowski: To jest wojna kulturowa. Po niepowodzeniu rewolucji po I wojnie światowej Zachód odrzucił marksizm. Dzięki terrorowi utrzymał się w sowieckiej Rosji, jakiś czas w Węgierskiej Republice Rad (WRR), ale w efekcie poniósł fiasko, a społeczeństwo nie chciało zaakceptować wdrażanych w życie idei. Zaczęto rozmyślać nad tym, co zawiodło, i w latach 30. XX w. Antonio Gramsci, współzałożyciel Komunistycznej Partii Włoch, dokonał swoistego odwrócenia Marksa. Stwierdził, że pomyłką było założenie, że najpierw trzeba dokonać zmian ekonomicznych...

...byt ma kształtować świadomość...

...właśnie, a dopiero potem nastąpią zmiany kulturowe, społeczne. Gramsci stwierdził, że odwrotnie, kluczem jest właśnie nadbudowa (kultura), bo ważniejsza jest władza nad umysłem niż środkami produkcji. Wtedy dopiero będzie można wprowadzić rozwiązania, które społeczeństwo uzna za swoje i z radością przyjmie. Węgierski komunista György Lukács doszedł niezależnie od Gramsciego do podobnych wniosków i w czasie istnienia WRR (marzec–sierpień 1919), w której pełnił funkcję komisarza ds. kultury, postanowił dokonać zmiany społeczeństwa za pomocą seksu, czyli wprowadził radykalny program edukacji seksualnej, który obejmował nawet małe dzieci...

Brzmi znajomo...

Dzieci i młodzież nauczano stosunków płciowych, masturbacji, zachowań seksualnych. Kolportowane były pisma i grafiki przedstawiające rozwiązłość seksualną. Wyśmiewano monogamię, zwalczano chrześcijańską etykę moralną, religię nazywano szkodliwym zabobonem ograniczającym naturalną ludzką potrzebę przyjemności. Zachęcano kobiety do uprawiania niczym nieskrępowanej aktywności płciowej z jak największą liczbą partnerów.

Do jakich zmian społeczeństwa miało to doprowadzić?

Zarówno Gramsci, jak i Lukács uważali, że wartości chrześcijańskie i Kościół katolicki to są główne ośrodki antyre-

eprasa.pl a357259d8c

wolucyjne. Najważniejszym celem powszechnej seksualizacji było zniszczenie rodziny jako podstawowej komórki społecznej, będącej najważniejszą instytucją chrześcijaństwa i kultury zachodniej.

WRR upadła po kilku miesiącach, Rosja stalinowska też, choć sowiecka nadal marksizm uznawała za swoją religię, potem były dwie wojny, „żelazna kurtyna" odgrodziła Zachód od komunizmu, ale marksizmu na Zachodzie nie pogrzebano.

Po I wojnie światowej zaczął działać we Frankfurcie nad Menem Instytut Nauk Społecznych, którego celem była rewizja założeń Marksa, ale w duchu zachowania marksistowskich celów. Tzw. szkoła frankfurcka wypracowała trzy kluczowe koncepcje: rewolucji seksualnej, teorii krytycznej i osobowości autorytarnej. Kiedy w latach 30. Hitler doszedł do władzy, większość pracowników tej szkoły pochodzenia żydowskiego wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Bardzo szybko zyskali tam ogromną popularność w środowisku akademickim, początkowo działali przy Uniwersytecie Columbia, ale z czasem ich założenia i prace stały się popularne w całej Ameryce. Po wojnie wrócili do Europy, ale amerykańskie środowisko akademickie zostało tą ideologią zarażone.

Wykształcono młode, powojenne pokolenie marksistów?

Tak i oni uznali, że trzeba szukać nowych dróg. Zaczęli odkrywać takich teoretyków jak Gramsci, jeszcze sprzed II wojny światowej, i to, co oni proponowali, m.in. podporządkowanie sobie kultury. Za ojca tej nowej lewicy i ruchu w Stanach uznaje się Herberta Marcusego, niemiecko-amerykańskiego socjologa, współpracującego ze szkołą frankfurcką. Uznał on, że robotnicy już raz zawiedli, więc trzeba znaleźć nowy „proletariat". Rewolucji mają dokonać inne grupy, m.in. zbuntowana młodzież, i tę rewoltę przeciwko starszemu pokoleniu trzeba wzmacniać.

Czym uwiódł tę młodzież? Jakimi hasłami?

„Make love, not war", „zakazuje się zakazywać", swoboda, stany wyższej świadomości osiągane przez narkotyki. Zabawa, muzyka, koncerty, wolne związki i cała ta hippisowska subkultura. Tylko że to się okazało krótkotrwałe, euforia szybko wygasła. Nowa lewica była zróżnicowana, w jej skład wchodzili ekolodzy, pacyfiści, anarchiści, marksizm był jakby jej rdzeniem, ale nawiązywano też do innych ideologii, do liberalizmu, anarchizmu.

> Dzisiejsza rewolucja jest wymierzona w wartości absolutne, mamy do czynienia z dyktaturą relatywizmu, w której nie ma dobra ani zła, wszystko jest względne, nie ma kategorii, norm ani zasad, do których można się dwoływać

Kontrkulturalna rewolucja spełzła na niczym, bo przemoc, uliczne zadymy okazały się nieskuteczne i nieakceptowane przez większość społeczeństwa. Wówczas stwierdzono, że trzeba wdrożyć tzw. długi marsz przez instytucje, czyli długofalowy program pokojowej rewolucji, której celem jest zdobycie strategicznych instytucji, które mają wpływ na kulturę.

I powoli je zdobywano – uczelnie, wydawnictwa, media, wytwórnie filmowe, stacje telewizyjne, ale też instytucje prawa, na przykład takie jak Sąd Najwyższy USA. A miejsce bolszewizmu zajęła ideologia gender?

Nie, stała się tylko narzędziem rewolucji, bolszewicy w swojej wykorzystywali robotników, a teraz...

...wykorzystuje się mniejszości seksualne?

Między innymi.

W tej dyskusji, która się teraz toczy w Polsce, środowiska związane z ruchem LGBT+ negują, że w ogóle istnieje coś takiego jak ideologia LGBT.

Postrzegam ruch LGBT jako element ideologii gender, jej konsekwencję. Środowisko LGBT to nowy proletariat, który ma przeprowadzić rewolucję, ponieważ jego konflikt z większością społeczeństwa jest jedną z najostrzejszych konfrontacji. Gdy mówimy o związkach osób tej samej płci, to społeczeństwo może je tolerować, ale akceptacja to z czysto biologicznego punktu widzenia zgoda na brak przedłużenia gatunku. Chodzi tu o pewien przewrót antropologiczny.

„Ucisk i wyzwolenie". Kiedyś uciskana była klasa robotnicza i bolszewicy chcieli ją wyzwolić, teraz uciskane są mniejszości seksualne... Jedna z ideolożek gender mówi, że takim uciskiem jest macierzyństwo, bo to „niewolnictwo reprodukcyjne".

Gender to szeroko pojęta ideologia płci społeczno-kulturowej. Według niej możemy sobie dowolnie wybierać, kim jesteśmy, biologia nie odgrywa kluczowej roli, płeć to jest konstrukcja. Rodzi się dziecko i ono dopiero w zależności od warunków, w jakich dorasta, uwarunkowań kulturowych, tę płeć samo sobie wybiera.

Ale do czego ma to zmierzać? Rozumiem, jaki jest mechanizm – rozwalenie starych fundamentów, na których wyrosła nasza cywilizacja i budowa czegoś nowego. Kto chce budować to nowe społeczeństwo? W czyim interesie się to dzieje? Kto jest beneficjentem takich zmian? Wielkie korporacje?

One też widzą w tym swój zysk, inaczej by tego nie wspierały. Natomiast tu bardziej chodzi o pewien sposób na zniszczenie tradycyjnego społeczeństwa...

Komu przeszkadza tradycyjne społeczeństwo?

Żeby zrealizować tę marksistowską rewolucję, trzeba zniszczyć tradycyjne społeczeństwo. Karol Marks mówił jasno, że tradycyjna rodzina, tradycyjne społeczeństwo kapitalistyczne musi być zniszczone, żeby rewolucja mogła wy-

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Andrzej Wiktor

grać, i ci wszyscy nowi marksiści powtarzają to samo, tylko chodzi o inną metodę skutecznego zniszczenia tradycyjnej rodziny i jej systemu immunologicznego, jakim jest Kościół katolicki i wartości chrześcijańskie. Chodzi o rozsadzanie tego tradycyjnego społeczeństwa od środka. Jeżeli będzie się poddawało edukacji seksualnej małe dzieci, to one nie będą już wyznawać wartości chrześcijańskich, więc mamy do czynienia z rugowaniem tych zasad od najmłodszych lat. Ale to też konfliktuje rodziny, bo wiadomo, że większość rodziców nie będzie się godzić na to, żeby instytucjonalnie ktoś próbował wyedukować w ten sposób ich dzieci i wpajać wartości, których oni nie wyznają.

Dlaczego obiektem ataku stało się głównie chrześcijaństwo, a nie na przykład islam? Tam aktywiści ideologii gender nie próbują burzyć struktury społecznej.

Odbieram to jako czasowy, taktyczny sojusz. Jest wspólny wróg – chrześcijaństwo, a islam, podobnie jak ruchy marksistowskie, nie uznaje czegoś takiego jak państwo narodowe. Muzułmanie chcą stworzyć światowy kalifat.

Oprócz rodziny celem ataku ideologii gender jest także państwo narodowe?

Tak. Dlatego wszystkie ruchy konserwatywne, nacjonalistyczne, patriotyczne są stygmatyzowane jako faszystowskie.

Cały czas usiłuję dociec, gdzie jest interes w tym wszystkim? Kto najbardziej skorzysta na tym, jeżeli te wartości zostaną wykorzenione, jeżeli nie będzie odniesienia do tego, co jest dobre, a co jest złe, co jest grzechem, a co cnotą. Komu ta rewolucja jest potrzebna?

Elity unijne już tego nie ukrywają. W „Białej księdze" z 2017 r., która poprzedzała rocznicę traktatów rzymskich, przyznano otwarcie, że planem zjednoczenia Europy jest „Manifest z Ventotene, czyli plan Spinellego, mroczna wizja eurointegracji poprzez stworzenie komunistycznego państwa federalnego. Rewolucja, o której rozmawiamy, sprzyja jak najbardziej tworzeniu takiego państwa, ponieważ prowadzi do niszczenia wspólnoty, tożsamości indywidualnej i narodowej. Kiedy z ludzi zrobimy egoistyczne zlepki popędów, które kierują się najniższymi instynktami, łatwiej jest nimi rządzić i można ich sobie podporządkować. A państwo narodowe najłatwiej jest rozbić od środka, gdy się sprowadzi mniejszości obce kulturowo, i widzimy, jak międzynarodowe organizacje pozarządowe wspierają tę falę emigracji do Europy ludzi, którzy się nie asymilują.

Usiłuje się nam wmówić, że ci ludzie będą się integrować, a multikulti jest wartością ważniejszą niż narodowa wspólnota.

Takie federacyjne społeczeństwo nowej Europy, bez narodowej, kulturalnej i religijnej świadomości, to największy łup dla światowych korporacji, to one będą mówiły, co jest dla nas dobre, a co złe. Jeżeli rozbija się rodzinę, wspólnotę, pozostają tylko konsumenci, na których można łatwo zarabiać. Dzisiejsza rewolucja jest wymierzona w wartości absolutne, mamy do czynienia z dyktaturą relatywizmu, w której nie ma dobra ani zła, wszystko jest względne, nie ma kategorii, norm ani zasad, do których można się odwoływać.

Mówił pan o tym, że stosuje się taką „miękką" metodę wchodzenia w instytucje...

... i kulturę masową. Słusznie uznano, że ma ona ogromną rolę w propagowaniu ideologii, tymi kanałami można oddziaływać na miliony odbiorców. To najlepsza droga osiągnięcia hegemonii kulturowej. Nie chodzi o to, by społeczeństwu coś narzucić, jak próbowali siłą zrobić to bolszewicy, tylko o to, by doprowadzić do tak głębokich zmian w ludzkiej świadomości, żeby społeczeństwa same przyjęły tę ideologię jako coś dobrego, nowoczesnego, pożądanego.

W Europie Zachodniej ważniejsze chyba było zniszczenie Kościoła...

I to się udało, bo m.in. pewne reformy Soboru Watykańskiego sprzyjały temu, żeby łatwiej marksizm przenikał do Kościoła. Na przykład zmiana teologii z teocentrycznej na antropocentryczną, czyli w centrum jest człowiek, a odniesienie do Boga schodzi na dalszy plan. Idea ekumenizmu też osłabiała Kościół katolicki. Teologia wyzwolenia była kolejnym zagrożeniem, a w Polsce – infiltracja Kościoła, wprowadzanie przez komunistów do Kościoła różnych osób, które miały kompromitować, dyskredytować jego struktury i ludzi. Francja, Hiszpania, Irlandia – tam społeczeństwo odwróciło się od Kościoła katolickiego. W Irlandii poszło to błyskawicznie, ale tam były ogromne afery związane z duchowieństwem...

U nas też są...

Ale nie można tego odrywać od infiltracji, wielu duchownych oskarżanych o pedofilię było tajnymi współpracownikami bezpieki, więc to też było takie uderzenie odśrodkowe.

Wydawało się, że polskie społeczeństwo już jest wystarczająco urobione

eprasa.pl a357259d8c

poprzez media, sztukę, działające organizacje pozarządowe i nagle opór. Pierwszy raz, kiedy nie zgodziliśmy się na przyjęcie imigrantów, których chciała nam przysłać UE, a potem przedwczesne chyba odpalenie całej akcji wokół praw środowisk LGBT, związków partnerskich, małżeństw homoseksualnych i adopcji przez nie dzieci. Nagle okazało się, że to społeczeństwo, niby już takie nowoczesne i gotowe do przyjęcia tej ideologii, protestuje. I Kościół, który początkowo wydawał się sparaliżowany i pacyfikowany falą ataków na księży związanych z oskarżeniami o pedofilię, niezdolny do obrony wartości, które głosił przez wieki, nagle się obudził.

Na Zachodzie stosowano metodę małych kroków, w Polsce chyba chciano to zrobić za szybko, zbyt gwałtownie i brutalnie. To jak z gotowaniem żaby, jak się ją wrzuci do wrzątku, to wyskoczy, ale jak będzie się powoli podnosiło temperaturę wody, to żaba się ugotuje. Wydawać by się mogło, że jest opór w społeczeństwie, ale osobiście uważam, że nastąpiły zmiany w młodym pokoleniu, że jednak ta „miękka" indoktrynacja przez kulturę masową wywarła swoje piętno. Może to nie był falstart, tylko chciano przyspieszyć i to okazało się nieskuteczne. A brutalność tego ataku spowodowała stanowczą reakcję, m.in. abp. Jędraszewskiego.

Znalazł się jeden sprawiedliwy?

Potem inni hierarchowie do niego dołączyli...

Wcześniej Kościół był dość bierny wobec tych swoich kapłanów, którzy stawali się celebrytami i głosili często poglądy niezgodne z nauką Kościoła.

To był błąd, bardziej dyscyplinowano tych księży, którzy zwracali uwagę na zagrożenie tą marksistowską rewolucją kulturową, przypominali o tradycji i kanonach wiary. Przenoszono ich na przykład do małych, wiejskich parafii, a wyskoki celebrytów w sutannach pozostawały bez reakcji. I to też miało negatywny skutek. Wydaje się, że nastąpiło jakieś otrzeźwienie. Bo przecież nie chodzi w chrześcijaństwie, by piętnować osobę, ale nie można akceptować czy tolerować grzechu.

Czy ta reakcja w Polsce wspólnoty wiernych, obrońców rodziny i tradycyjnych wartości zastopuje ten marsz marksizmu kulturowego, jak pan to określa? A może zamiast tsunami zastosują podmywanie tamy, powolne, ale skuteczne, i ona w pewnym momencie tego nie wytrzyma ?

Jeżeli te środowiska pójdą na wymianę ciosów, będą próbować terroru politycznej poprawności i agresji, to będzie łatwiej dla obrońców, bo społeczeństwo będzie widziało, że te środowiska pod hasłami wolności i tolerancji tak naprawdę próbują wdrażać nowy totalitaryzm, ograniczać wolność słowa. Natomiast jeżeli wrócą do taktyki stopniowego długiego marszu, to może się okazać skuteczne, jak to widzimy na przykładzie wielu krajów Zachodu. Jesteśmy w momencie, w którym następuje jakieś otrzeźwienie, i zobaczymy, w jakim kierunku to się potoczy. Chociaż coraz więcej ludzi sprzeciwia się tej ideologii, trzeba ciągle uświadamiać społeczeństwo, że znowu po stu latach usiłuje się przeprowadzić tę samą rewolucję, ale innymi metodami.

> Środowisko LGBT to nowy proletariat, który ma przeprowadzić rewolucję, ponieważ jego konflikt z większością społeczeństwa jest jedną z najostrzejszych konfrontacji

Mówi pan „najwyższy czas zacząć się bronić". Jak?

Żeby móc się bronić, trzeba zdiagnozować zagrożenie. Wiele lat się nie mówiło o tym, że mamy do czynienia z nowym marksizmem, rewolucją kulturową. Większość myśli, że marksizm się skończył, bo upadł Związek Radziecki. Tymczasem mamy uderzenie z Zachodu. Trzeba o tym mówić, informować, próbować odwrócić marsz przez instytucje, co jest bardzo trudne. Ciężko jest cokolwiek zrobić, bo siła tych ośrodków rewolucyjnych jest ogromna, weźmy choćby popkulturę. Dlatego jestem dość sceptyczny...

Myśli pan, że polegniemy w tej walce?

Kraje, które słynęły z konserwatyzmu – Włochy, Hiszpania, Irlandia – jedne po drugich padły, teraz przyszła kolej na Polskę. Czeka nas trudna walka.

A może Polska tak jak w 1920 r. zatrzymała bolszewików nacierających ze Wschodu, tak dzisiaj zatrzyma marksistów idących z Zachodu?

Nadzieję może budzić to, że jeszcze w Polsce wiara ma jakieś znaczenie, katolicyzm wiąże się z naszą państwowością, przetrwaliśmy zabory, bo na tym terenie byliśmy katolikami, w odróżnieniu od innych nacji, Kościół nas narodowościowo spajał. Nawet niewierząca osoba nie może temu zaprzeczyć. Nam potrzebny jest ośrodek, o dużym autorytecie, który by się przeciwstawił tej rewolucji. Nadzieja, że to może być Kościół, teraz odżywa, znajdują się biskupi, którzy otwarcie zaczynają się temu sprzeciwiać. Ale równie ważne jest, by nie pozwolić na indoktrynowanie dzieci, bo jeśli na to pozwolimy, to będzie katastrofa, wtedy rewolucja kulturowa w błyskawicznym tempie zacznie postępować.

Dzieci można chronić w murach szkoły, ale są atakowane z tak różnych stron. Co zrobić z popkulturą, filmami, internetem...

Jeżeli nie będzie tych tradycyjnych instytucji, takich jak rodzina, szkoła, Kościół, to rewolucja odniesie sukces. Najważniejsza jest rola rodziny. Trzeba bronić naszych dzieci, tradycji, historii, kultury, bo jeśli tego nie uczynimy, to szybko będziemy zmierzać do takiego totalitaryzmu, jakiego świat jeszcze nie zaznał.

eprasa.pl a357259d8c



N jak niszczenie Kościoła

Dr Hanna Karp, medioznawca

Historia kołem się toczy. Dziś niszczącym Kościół znów żadna z religii nie przeszkadza poza katolicką. Zniewagi, które od miesięcy spotykają wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, są powtórką z historii. Rozgrywają się pod osłoną publicznych szyderstw. Są jednak nie mniej zuchwałe ani nie mniej bolesne. I mają ten sam cel.

Komunistyczna ideologia lat 40. zakładała w sposób naukowy niwelację różnic między ludźmi oraz zanikanie różnic państwowych i narodowych. Zadaniem zmasowanych kampanii była dyskredytacja, a następnie marginalizacji Kościoła katolickiego. Jeden z wielu nagłówków „Trybuny Ludu" z tamtego okresu informował: „Kuria krakowska – klębowiskiem wrogów Polski Ludowej, agentów podżegaczy wojennych, szpiegów, malwersantów i waluciarzy". Ten rodzaj retoryki, choć w nowych dekoracjach, powrócił z wielką siłą. Jeszcze we wrześniu 1939 r. Komitet Wykonawczy Kominternu opracował rozbudowany plan: „Wojna i zadania komunistów", w którym pisano m.in.: „Polski naród i proletariat międzynarodowy nie są zainteresowane odbudową byłego wielonarodowego, burżuazyjno-obszarniczego państwa polskiego, które rozpadło się wskutek korupcji i zdrady swych klas rządzących".

„WRÓG" W SUTANNACH

Powstanie i urzędowanie powstałego wcześniej (23 czerwca) w Moskwie, a 27 czerwca 1945 r. w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej uznanego przez większość państw zachodnich wpłynęło na dalsze powojenne relacje państwo–Kościół. Jednym z etapów było zerwanie przez reżim konkordatu z 1925 r. prowadzące m.in. do planowanego „rozdziału Kościoła od państwa". W praktyce skutkowało także eliminacją religii ze szkół publicznych i nowelizacji prawa małżeńskiego. Prowadziło do nasilenia propagandy antykościelnej. Ta dała o sobie znać szczególnie w okresie stalinowskim.

W styczniu 1949 r. podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR powołana została specjalna resortowa komisja mająca na celu „ustalenie generalnej linii wobec kleru". Okres zmasowanego ataku na Kościół katolicki jako jedno z głównych zadań aparatu nastąpił przynajmniej dwa lata wcześniej – jesienią 1947 r. Wiedza WUBP na temat duchowieństwa, jego liczebności, wpływu na wiernych pochodziła z dawnych wizytacji w szkołach w 1947 r. i z rozmów z proboszczami po liście pasterskim z listopada 1947 r., a także z materiałów procesowych, w których brali udział księża. W listopadzie 1948 r. na polecenie Bolesława Bieruta najwyższe władze partyjne otrzymały szerokie dossier na temat księży katolickich, którzy w jakikolwiek sposób przewinęli się przez kartotekę ministerstwa BP.

Ruszyła nagonka na duchownych także na łamach prasy. Jej istotnym elementem było kreowanie wizerunku złych biskupów, utożsamianych z obcą agenturą, światem wrogiego kapitału, Watykanem i reakcyjnym kierownictwem Kościoła. Propaganda antykościelna to przede wszystkim tzw. walka z wrogami w sutannach. Po roku 1947, gdy komuniści wygrali wybory, propaganda przeciwstawiała się Kościołowi metodą „stopniowego uderzenia", tak by zachwiać Kościołem i autorytetem jego hierarchii. Okazało się, że przynosiło to niedostateczne sukcesy. Władze w roku 1949 zaczęły prowadzić z Kościołem już otwartą walkę. Grunt pod atak przygotowywała zmasowana akcja propagandowa. Działania inspirowały instrukcje Stalina skierowane do Bieruta w sprawie Kościoła i dokonania w nim wewnętrznego rozłamu: „Przy klerze nie zrobicie nic, dopóki nie dokonacie rozłamu na dwie odrębne przeciwstawne sobie grupy".

Od początku działania propagandy obliczone były na złamanie oporu księży i wiernych Kościoła wobec nowej komunistycznej rzeczywistości. Pierwsze kampanie propagandowe miały na celu przede wszystkim wykazanie zacofania Kościoła i szkodliwości działań części kleru. Rekwiruje się dobra kościelne, zamyka szkoły prowadzone przez zgromadzenia zakonne, koncesjonuje drukarnie i wydawnictwa kościelne. Kolejne instrukcje dotyczące Kościoła zalecały prowadzenie walki z klerem i Kościołem nowymi metodami. Bezpieka postanowiła studiować liturgię, teologię, wiedzę kościelną, nasyłając agenturę do seminariów, by ostatecznie wokół Kościoła, tak jak wobec każdej innej grupy

eprasa.pl a357259d8c

wrogiej socjalizmowi, np. „klasy kułaków", wytworzyć ogólną atmosferę wzgardy, nienawiści i potępienia.

TERROR I ZASTRASZANIE DUCHOWIEŃSTWA

Plan Hilarego Minca zakładał na pierwszym etapie pozyskanie części duchowieństwa, następnie prowadził do wymuszania tzw. lojalki. Na tym drugim etapie chciano przede wszystkim wykorzystać propozycje Kościoła w sprawie normalizacji stosunków państwo–Kościół. Równolegle prowadzono propagandową akcję zastraszania i kompromitowania Kościoła. 14 marca 1949 r., kierując się dyrektywą KC PZPR, wydano oświadczenie, w którym oskarżono hierarchię Kościoła o wywoływanie w kraju niepokojów społecznych. Pretekstem do napaści propagandowej na Kościół był cud w katedrze lubelskiej, gdy 3 lipca 1949 r. wierni ujrzeli płaczący czarnymi kroplami obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Wydarzenia spowodowały, że z czasem do katedry pielgrzymowali wierni z całej Polski, upatrując w Lublinie drugiej Częstochowy. 13 lipca doszło do tragicznych wydarzeń przed katedrą. Gdy tłum wiernych oczekiwał na wejście do kościoła, nagle na zgromadzonych zaczęły spadać rozstawione rusztowania. W panice i w ścisku zadeptano młodą kobietę, a 18 innych osób odniosło rany.

Represje przeciwko Kościołowi konsekwentnie się nasilały. Rozwiązywano stowarzyszenia katolickie, przejęto kontrolę nad Caritasem, we wrześniu 1949 r. zainicjowano ruch „księży patriotów", tworząc przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację Komisję Księży. Działania te były obliczone na wywołanie konfliktu i rozbicie Kościoła od środka.

Kolejne lata to już nie tylko zadawanie Kościołowi śmierci cywilnej za pomocą propagandy, lecz zmasowany atak, wyrażający się m.in. uwięzieniem na trzy lata – od 25 września 1953 r. do 28 października 1956 r. – głowy Kościoła prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz aresztowaniem i procesami innych hierarchów Kościoła. Więziony prymas pod datą 13 marca 1956 r., na wieść o śmierci Bolesława Bieruta, notował w „Zapiskach więziennych": „W ciągu rządów Bolesława Bieruta, pomimo zawartego »Porozumienia«, zniszczono prasę, wszystkie niemal pisma i księgarnie oraz wydawnictwa, nie wyłączając urzędowych organów Kurii Diecezjalnych; zlikwidowano mnóstwo klasztorów i domów zakonnych, nie wyłączając szkół zakonnych dla celów wewnętrznych. Straszliwe gwałty, których dopuszczano się na więźniach kapłanach i zakonnikach w czasie śledztw, nadmiernie ciężkie wyroki sądowe, wskutek których więzienia zaludniły się sutannami i habitami, jak nigdy od czasów Murawiewa – to wielki i bolesny rozdział tych rządów".

Podczas procesu więzionego biskupa Czesława Kaczmarka, rozpoczętego we wrześniu 1953 r., propaganda chwytała się najbardziej prymitywnych oskarżeń. O dywersję, szpiegostwo na rzecz imperializmu, utrzymywanie młodzieży w „zacofaniu i ciemnocie", a nawet przeciw reformie rolnej i uspołecznieniu handlu. Pokazowe procesy duchownych oskarżonych o szpiegostwo i handel walutą odbywały się w odpowiedniej „oprawie" na tle znalezionych walut i kosztowności. Radio i prasa informowały o winie „obcych agentów" i „zdrajców narodu" w sutannach.

AGENTURA I INWIGILACJA

Agentura i inwigilacja wchodziły tam, gdzie trudno było o postawy niezłomne. Wówczas Kościół i jego otoczenie rozgrywano z pełną premedytacją, z ukrycia, wcześniej sugerując procesy rozluźnienia reżimu. I tak z punktu dzisiejszej wiedzy, możemy patrzeć na powstały na fali tak zwanej odwilży październikowej w 1956 r. Klub Inteligencji Katolickiej, gdy uwzględnimy, kto stanął na jego czele i kto, od oficjalnej rejestracji w 1957 r., był jego prezesem aż do 1969 r. Chodzi o Jerzego Zawieyskiego, posła na Sejm, członka Rady Państwa i Kawalera Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W opracowaniach jeszcze z 2014 r. badacze literatury PAN pisali o Zawieyskim, że: „Polityka, Kościół, literatura. W każdym z tych obszarów Jerzy Zawieyski odniósł w PRL sukces". Okazało się po latach, że kluczem do tej kariery był fakt całkowitej kontroli i inwigilacji przez SB mieszkań Zawiejskiego, w tym willi w Konstancinie, skupiającej całe ówczesne środowisko artystyczno-literackie i liczne kręgi kościelne. Przypadek obnaża i szczegółowo opisuje Joanna Siedlecka w „Biografiach odtajnionych. Z archiwów literackich bezpieki", wyd. Zysk i S-ka 2015.

ARESZTOWANIE WIZERUNKU MATKI BOŻEJ

Od 1961 r. władze lokalne pod naciskiem partyjnych władz centralnych zabraniają przeprowadzania procesji Bożego Ciała na ulicach miast. Presja antykościelna – także w mediach – się nasila. Rozpędza się wiernych gromadzących się przy kapliczkach i krzyżach, utrudnia się udział w procesjach i pielgrzymkach, klerycy seminariów duchownych dostają powołania do wojska. Ze szkół w 1961 r. definitywnie wycofuje się nauczanie religii. Każda parafia i każdy duchowny ma już założoną teczkę obserwacyjną, w której gromadzi się jego dane osobowe, teksty kazań, listy pasterskie biskupów przysyłane do parafii, materiały z podsłuchów telefonicznych, korespondencji i donosów agentury.

W okresie II Soboru Watykańskiego odmawia się paszportu do Rzymu arcybiskupowi Wrocławia Bolesławowi Kominkowi, a później prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Wreszcie w 1966 r. władze blokują pielgrzymkę do Polski papieża Pawła VI, który chciał uczcić 1000-lecie chrztu Polski. Środki masowego przekazu znacznie wcześniej angażują się w akcję propagandową przeciwko kościelnym obchodom Milenium. Rok obchodów tysiąclecia chrztu Polski zmienił się w czas otwartej walki z duchowieństwem i religią. Stojący na czele KC PZPR Władysław Gomułka dążył, by aspekt religijny obchodów zepchnąć na możliwie najdalszy plan. Organizowano w tym czasie liczne wystawy, konkursy, akademie. Świętowano 550. rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem, fetowano 20. rocznicę bitwy pod Lenino, a rok później 20. rocznicę Manifestu PKWN.

Jednak najbardziej osobliwą formą oporu wobec uroczystości milenijnych chrztu była walka z kopią obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej pielgrzymującej po kraju. Władze zdecydowały zatrzymać w Lublinie samochód z wizerunkiem. Obraz przykryto, przewiązano sznurem i odwieziono do Częstochowy. Tam przełożonym klasztoru wydano zakaz wywożenia go na zewnątrz. Wizerunek został uwięziony na sześć lat pod strażą MO.

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Sebastian Kahnert/dpa/EastNews

Alfabet Alternatywy dla Niemiec

Radykalnie prawicowa, ksenofobiczna i antydemokratyczna czy antysystemowa, walcząca z dyktaturą poprawności politycznej i masową imigracją? Czym właściwie jest Alternatywa dla Niemiec (AfD), która we wrześniu może wygrać wybory do landtagu w Saksonii i Brandenburgii, a w październiku w Turyngii? Nasz alfabet udziela odpowiedzi co najmniej na część tych pytań



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

A – jak Alternatywa. AfD, która powstała w 2013 r., sama określa siebie jako partię demokratyczną, a zarazem jako oddolny ruch obywatelski, występujący przeciw „sprzecznej z prawem samowoli establishmentowych partii ludowych". To wobec nich chce stanowić alternatywę. Co ciekawe, gdy powstawała, AfD nazywana była „partią profesorską", ponieważ jej członkowie i zwolennicy wywodzili się głównie z tzw. środowisk intelektualnych. Wielu z nich było przez lata związanych z niemiecką chadecją. Rozczarowani przesunięciem CDU w lewo oraz przejęciem przez nią lewicowych postulatów, głównie od Zielonych, znaleźli schronienie w nowym ugrupowaniu. Jak choćby Alexander Gauland, jeden z liderów AfD, który przez 40 lat należał do CDU. Program polityczny AfD łączy elementy demokracji bezpośredniej (partia domaga się referendów na wzór szwajcarski oraz wyboru prezydenta w głosowaniu bezpośrednim, obecnie prezydenta wybiera Bundestag), eurosceptycyzm (nie dla Unii bankowej, dalszej integracji UE), z krytycznym stosunkiem do NATO (Sojusz Północnoatlantycki jest akceptowalny tylko jako sojusz obronny, a amerykańskie wojska i ich broń atomowa powinny opuścić terytorium Niemiec) oraz polityką silnej ręki wobec przestępców i migrantów (surowsze kary, ochrona granic). Partia przeszła od chwili swojego założenia kilka przemian i w 2017 r., w następstwie kryzysu po fali imigrantów z lat 2015/2016, po raz pierwszy weszła do Bundestagu, zdobywając 12,6 proc. głosów. Posłowie AfD kierują trzema komisjami w Bundestagu – ds. budżetu, ds. turyzmu i prawną. Żadna z pozostałych partii nie chce z AfD współpracować, została ona otoczona szczelnym kordonem sanitarnym, a jej politycy są regularnie oskarżani o ksenofobię oraz bliskość do środowisk neonazistowskich. Zdaniem środowisk lewicowych AfD chce obalić panujący w RFN liberalny porządek demokratyczny.

eprasa.pl a357259d8c

B – jak Bundeswehra. Do której można dodać policję. Zdaniem niektórych polityków CDU, jak byłej już minister obrony Ursuli von der Leyen oraz szefowej berlińskiej policji Barbary Slowik, (niektórzy) żołnierze Bundeswehry oraz policjanci mają „problem z demokratyczną postawą". Sympatyzują bowiem z AfD. A niektórzy nawet kandydują z jej list w wyborach. Jak Joachim Wundrak, do niedawna generał Bundeswehry i członek CDU, a teraz kandydat AfD na burmistrza Hanoweru. Na liście AfD w Turyngii przed październikowymi wyborami do landtagu jest aż pięciu policjantów. W czynnej służbie. Według wiceprzewodniczącego niemieckiego związku zawodowego policjantów (GdP) Jörga Radkego niemiecki rząd „nie szanuje policjantów, więc coraz więcej kolegów nie czuje się reprezentowanych przez partie głównego nurtu i poszukuje alternatyw". Policjanci mają być rozczarowani polityką otwartych drzwi dla migrantów kanclerz Angeli Merkel i tęsknić za porządkiem na ulicach, kiedy tzw. uchodźcy nie popełniali napadów z nożem w ręku, gwałtów ani nie wszczynali bójek w publicznych pływalniach, opróżniając zawartość jelit do basenów. Nie ma oczywiście żadnych wiarygodnych statystyk na temat politycznych preferencji funkcjonariuszy policji. Ostatnio tego typu badania naukowe przeprowadzono w latach 90. XX w. Faktem jest natomiast, że byli oficerowie Bundeswehry garną się do partii Gaulanda. Szefem AfD w Nadrenii-Palatynacie jest były podpułkownik Bundeswehry Uwe Junge, a członkiem zarządu federalnego jest Georg Pazderski, były pułkownik Bundeswehry polskiego pochodzenia. Nadreńska AfD ma w swoich szeregach także byłego pułkownika Bundeswehry Rüdigera Lucassena.

C – jak chrześcijaństwo. Słowo, które CDU ma w wprawdzie w nazwie, ale z którym partię Merkel już niewiele łączy. Jak się okazuje, AfD też nie. Partia ma w programie oparcie społeczeństwa na tradycyjnej rodzinie (więcej dzieci zamiast masowej imigracji) i uważa, że aborcje nie powinny być „bagatelizowane" oraz „finansowane przez państwo", niemniej jednak daleko jej do partii chrześcijańskiej. Sam Gauland zresztą wyraźnie powiedział w 2016 r., że AfD „nie jest partią chrześcijańską", tylko „partią niemiecką". Powołaną do tego, by bronić „interesu i kultury Niemiec". Nie mniej, nie więcej. Samego siebie Gauland określił przy tej okazji jako „kulturowego chrześcijanina". Mało tego. AfD często wojuje z oboma Kościołami w Niemczech – katolickim i ewangelickim – zarzucając im hipokryzję oraz „podążanie za modami". Choćby w kwestii masowej imigracji, której niemiecki episkopat zdaniem Gaulanda „niesłusznie broni". Rzecznik ds. Kościołów AfD Volker Münz powiedział w 2018 r. w rozgłośni Deutschlandfunk, że choć AfD nie jest partią chrześcijańską, to jest w niej więcej chrześcijaństwa niż choćby w Kościele ewangelickim, który stał się „lewicowy i zielony". Waldemar Herdt, członek frakcji AfD w Bundestagu, protestant, rozumie chrześcijaństwo głównie jako sprzeciw wobec islamu oraz gotowość oddania życia za niemieckość. „Jesteś gotów umrzeć za Niemcy? Cierpieć za Niemcy? – tak to widzę" – mówi w rozmowie z Deutschlandfunk. A co Kościół katolicki myśli o AfD? Kierownik biura katolickiego w Berlinie prałat Karl Jüsten powiedział Deutschlandfunk, że AfD się myli, islam jest częścią Niemiec, a Europa oraz Kościół wiele muzułmanom zawdzięczają. Cóż, może AfD nie jest partią chrześcijańską, ale w ubiegłym roku wniosła, bezskutecznie, o cofnięcie legalizacji homomałżeństw.

D – jak Dunkeldeutschland (ponure Niemcy). Tak mainstreamowe media oraz politycy określają wschodnie Niemcy, a raczej tę część wschodnich Niemiec biorącą udział w marszach Pegidy i głosującą na AfD. Pojęcie to ukuł w 2015 r. były prezydent Joachim Gauck (luźno związany z socjaldemokracją). „Są jasne Niemcy, które świecą na tle tych ponurych, ciemnych" – rzekł, oburzony antyimigrancką postawa współobywateli na wschodzie kraju. To zresztą nic nowego. W okresie zjednoczenia używano takich i równie pogardliwych określeń wobec byłych obywateli NRD, np. „strefiarze" (Zonies) czy „głupia reszta" (Der Dumme Rest – od skrótu DDR). Po wydarzeniach w Chemnitz z września 2018 r. pogarda tylko nabrała na sile. Licząca 4 mln mieszkańców Saksonia, a wraz z nią wszystkie wschodnie landy RFN, stały się synonimem „ponurych Niemiec", gdzie „rządzi nienawiść". Zamieszki w Chemnitz wybuchły po śmierci Daniela H. z rąk imigrantów z Syrii oraz Iraku, z których jeden był wielokrotnie notowany i powinien dawno być deportowany. Mieszkańcy Chemnitz mieli w odpowiedzi urządzić polowanie na migrantów. Wprawdzie dowodów na to brak, ale wielokrotnie powielone kłamstwo, jak wiadomo, staje się prawdą. Tak więc Saksończycy awansowali na pozycję najbardziej znienawidzonych grup społecznych. Efekt jest taki, że poparcie dla AfD w tym landzie jeszcze wzrosło. Na tyle, że partia może wygrać tam wrześniowe wybory do landtagu.

E – jak elity. Ulubiony wróg AfD. Zdaniem liderów partii Alexandra Gaulanda i Jörga Meuthena elity są skorumpowane i niekompetentne. Ignorują potrzeby obywateli, jak potrzebę bezpieczeństwa, vide polityka migracyjna kanclerz Merkel i uporczywe określanie zamachów i mordów dokonywanych przez muzułmanów jako „pojedyncze przypadki". Zagrożenia takie jak terroryzm, dyktat UE i kłamliwa prasa (Lügenpresse) może zdaniem polityków AfD rozwiązać tylko siła polityczna stojąca poza establishmentem, który te problemy albo sam wywołuje (polityczna poprawność), albo bagatelizuje (islamski terror). Dlatego – jak powiedział Gauland w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" – AfD wcale nie spieszy się rządzić Niemcami. Jej siłą, jak przekonywał, jest jej opozycyjność. Zdolność do wymuszenia zmian poprzez protest i kontestację. Wymuszenie na establishmencie realizacji postulatów AfD – oto cel partii Gaulanda. Szansę na wygraną wyborów do Bundestagu i tak ma obecnie żadną, a nikt z nią w koalicję nie wejdzie. Celem AfD jest więc nie tyle wymiana, ile metamorfoza elit. W kierunku bardziej przyjaznym obywatelom. Ewolucja, a nie rewolucja.

eprasa.pl a357259d8c



Fot. Shutterstock

G – jak Grecja. Bo od kryzysu greckiego zaczęła się historia AfD. Partia została założona przez znanych ekonomistów i przedsiębiorców (m.in. Bernda Luckego i Gerda Robanusa) w proteście przeciwko pakietom pomocowym dla pogrążonej w kryzysie Grecji. Była pomyślana jako partia konserwatywnych mieszczańskich elit. Taka druga CDU, w dawnym stylu Adenauera i Erhardta, tyle że eurosceptyczna. W chwili swojego powstania AfD była więc partią elit, które obawiały się negatywnych skutków dla niemieckiej gospodarki wpompowania miliardów euro w greckiego bankruta. W 2015 r. wraz z kryzysem migracyjnym doszło w partii do rozłamu. Bernd Lucke oraz Hans-Olaf Henkel (wieloletni przewodniczący Niemieckiego Związku Przemysłu) odeszli z AfD, a wraz z nimi wielu innych „profesorów". Pojawili się za to działacze o wiele bardziej radykalni. Podczas gdy partia wcześniej była planktonem cieszącym się kilkuprocentowym poparciem, wraz z „tożsamościowym" zwrotem i przyjęciem linii antyimigranckiej zaczęła wyraźnie rosnąć w siłę. Z partii elit zamieniła się – jak twierdzi politolog Paul Nolte – w partię drobnomieszczańskiego protestu. Ponieważ część działaczy zaliczanych do elit pozostała, jak choćby Gauland (członkiem partii jest też m.in. księżna Doris Sayn-Wittgenstein), AfD jest dziś partią elit i jednocześnie partią rewolty przeciwko elitom. Jest to dość osobliwa mieszanina, która doprowadziła do powstania dwóch skrzydeł w partii – umiarkowanego oraz tzw. ludowego (völkisch).

H – jak historia. Skrzydłu ludowemu przewodzi szef AfD w Turyngii Björn Höcke, który jest od jakiegoś czasu pod obserwacją Urzędu Ochrony Konstytucji, czyli niemieckiego kontrwywiadu. Według Gaulanda 40 proc. działaczy AfD należy obecnie do „ludowego" skrzydła partii. Co roku spotykają się pod pomnikiem cesarza Wilhelma I Hohenzollerna oraz Fryderyka I Barbarossy w górach Kyffhäuser w Turyngii, by przypomnieć sobie o tym, „kim są i skąd pochodzą". Czczenie cesarza Wilhelma wprawdzie nie jest w Niemczech zakazane, ale lewicowe media oraz kontrwywiad podejrzewają Höckego i jego kolegów o powiązania z ugrupowaniami neonazistowskimi. A kult Niemiec lat 1871–1914 praktykowany w AfD ma, jak przekonują przeciwnicy partii, tak naprawdę przykryć o wiele gorsze upodobania historyczne. Nie da się ukryć, że Höcke zabłysnął kilkoma kontrowersyjnymi wypowiedziami, m.in. o „etnicznej homogenizacji Niemiec" czy o pięknych błękitnych oczach Adolfa Hitlera. Pod pseudonimem Landolf Ladig miał ponadto wypisywać „nacjonalistyczne bzdury" do gazetki NPD, czemu stanowczo zaprzecza. Faktem jest natomiast, iż Höcke uważa, że masowa imigracja niszczy niemiecką kulturę, a Niemcy cierpią na „neurozę winy" o właściwościach psychotycznych, która prowadzi do „kolektywnej autoagresji". By Niemcy mogły wyzdrowieć, należy się pozbyć pamięci o tym krótkim epizodzie najnowszej historii, który psuje im szyki (Gauland porównał czasy hitleryzmu do „ptasiej kupy w ponadtysiącletniej historii niemieckich sukcesów"). W tym celu należy jego zdaniem usunąć pomnik „hańby" (czyli Holokaustu) w Berlinie i w jego miejsce postawić pomnik Goethego lub Schillera. „Zamiast przekazywać dorastającemu pokoleniu wiedzę o znanych na całym świecie filozofach, muzykach, wynalazcach i odkrywcach, których mamy tak wielu, my obsmarowujemy niemiecką historię i wyśmiewamy ją" – przekonuje Höcke, który jest urlopowanym nauczycielem gimnazjum.

I – jak islam. Zdaniem AfD Islam jest niekompatybilny z państwem prawa i demokracją. Jak określiła to Beatrix von Storch, jest bowiem „ideologią oraz systemem prawnym (szariat), który chce regulować każdą sferę życia". Muzułmanie praktykujący nie mogą więc żyć w warunkach demokracji. Bo w demokracji nie obcina się rąk za kradzież ani nie strąca homoseksualistów z bardzo wysokich budynków. W październiku 2018 r. AfD złożyła podanie w Bundestagu, by ten uznał islam oraz prawo szariatu za niezgodne z demokratycznym porządkiem prawnym. Podanie zostało oczywiście odrzucone, ale niektórzy publicyści,

eprasa.pl a357259d8c

jak Lamya Kaddor, pochwalili AfD za „konsekwencję", czyli realizację zadania otrzymanego od wyborców. Większość jednak chwyciła po bardziej niż kulejące porównania do przejęcia władzy przez NSDAP w 1933 r. i pożar Reichstagu. AfD odpowiedziała założeniem żydowskiego stowarzyszenia w partii. Należą do niego Żydzi, którzy czują się prześladowani przez muzułmańskich imigrantów. Dopiero w maju pełnomocnik niemieckiego rządu ds. antysemityzmu Felix Klein przestrzegał Żydów przed publicznym noszeniem tradycyjnego nakrycia głowy – jarmułki. W 2018 r. nastąpił bowiem wyraźny wzrost przestępstw o podłożu antysemickim. Policja zanotowała 1799 antysemickich incydentów w Niemczech – o 19,6 proc. więcej niż rok wcześniej. Zdaniem AfD i wielu Żydów sprawcami ataków są właśnie muzułmanie. Tak więc AfD oskarżana przez mainstreamowe media o to, że chce zamienić Niemcy w „brunatną republikę", stałą się obrończynią Żydów.

M – jak media. Mainstreamowe i kłamliwe. Wykluczające wszystkich i wszystko, co nie mieści się w ramach antytotalitarnego konsensu, a gorset tego konsensu stał się wraz z przesunięciem dużych partii ludowych (CDU, SPD) na lewo jeszcze ciaśniejszy. AfD pada więc ofiarą framingu, szczególnie w mediach publicznych, które z każdej partii i polityka krytykującego islam, poprawność polityczną czy ideologię LGBT robią faszystę, wroga demokracji i obowiązującego porządku prawnego. Jednocześnie jednak media, także te kłamliwe, a może szczególnie one, AfD są potrzebne. Bo te media z wielkim entuzjazmem i poczuciem moralnej wyższości rzucają się na każdą wypowiedź polityków partii Gaulanda, by rozebrać ją na części pierwsze i potępić w czambuł. Jak odnotowuje fundacja Otto Brennera w raporcie o relacji między AfD a mediami, partia Gaulanda celowo „łamie tabu" w swym publicznym dyskursie, by dotrzeć do szerszej publiczności. Ta taktyka została nawet zapisana w oficjalnej strategii partii. Idiotów robią przy tym z siebie głównie mainstreamowi dziennikarze, z jednej strony, wykluczając AfD z debaty, potwierdzają bowiem tezę partii o „medialnej dyktaturze" i braku pluralizmu, a z drugiej jeszcze bardziej nagłaśniają to, co przecież tak zdecydowanie odrzucają.

R – jak Rosja. Mówiąc o Gaulandzie, trudno pominąć to, że otrzymał imię po rosyjskim carze Aleksandrze II. Jak przyznał w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", jego ojciec był wielkim fanem cara i jego dążeń do porozumienia z Prusami. Trudno też zaprzeczyć, że AfD to formacja prorosyjska. Do żadnego innego kraju – jak twierdzi niemiecki „Tagesspiegel" – posłowie AfD nie jeździli w ostatnich latach tak często jak do Rosji. Delegacja AfD gościła nawet na zaanektowanym przez Kreml Krymie, by tam w charakterze obserwatorów śledzić wybory. Po wizycie zgodnie stwierdziła, że Krym „jest teraz rosyjski". Pod koniec lipca br. poseł AfD do Bundestagu Gunnar Lindemann został odznaczony orderem na V Międzynarodowym Kongresie Antyfaszystów w Simferopolu (była to jego piąta wizyta na Krymie). Gauland zresztą nie kryje, że marzy mu się wielka strefa eurazjatycka od Bretanii po Władywostok. Prorosyjskość idzie w AfD w parze z antyamerykanizmem. W programie partii jest mowa o zakończeniu „amerykańskiej okupacji" niemieckiej ziemi i usamodzielnieniu się od wujka Sama. Politycy AfD gościli na forach gospodarczych w Moskwie, Jałcie i Petersburgu, odbyli także spotkanie z przewodniczącym Dumy Wiaczesławem Wołodinem. Rozmawiano m.in. o Nord Stream 2. AfD zawarła też umowę o współpracy z kremlowską partią Jedna Rosja. Na co AfD Putin? Według Gaulanda niemiecka polityka zagraniczna musi wrócić do „pruskiej tradycji" bliskich więzi z Moskwą. To wtedy bardzo przysłużyło się, jego zdaniem, Niemcom i „przysłuży się im się także dziś". W rozmowie z „Die Zeit" Gauland stwierdził ponadto, że „rosyjska dusza jest bardzo przywiązana do Ukrainy". Tej rosyjskiej duszy „nie należy upokarzać". Prawo międzynarodowe to jedno, a emocje drugie. To pierwsze tego drugiego nigdy nie wymaże.

> AfD jest partią elit i jednocześnie partią rewolty przeciwko elitom. Jest to dość osobliwa mieszanina, która doprowadziła do powstania dwóch skrzydeł w partii

Z – jak Zjednoczenie Niemiec. Zdaniem wielu nieudane. Socjalizacja wschodnich Niemiec się nie powiodła. Nie było tam antytotalitarnego konsensu, Ruchu '68, rozliczenia z nazistowską przeszłością i wynikającego z tego moralnego nadęcia, tęczowej brygady „postmaterialistycznych" wartości (dziura ozonowa, walka z głodem na świecie) i poprawności politycznej. Byli za to Ulbricht, Honecker, Stasi, mur berliński oraz więzienie wojskowe w Schwedt nad Odrą. Zachodnioniemieccy lewicowcy do dziś nie mogą wybaczyć mieszkańcom byłego NRD, że zepsuli ich marzenie o socjalistycznym raju. Bo nie były to kwitnące krajobrazy, które kanclerz Helmut Kohl zastał na wschodzie po 1989 r. I do dziś mimo 2 bln euro transferów socjalnych zakwitnąć nie chcą. Zarobki wciąż są tam o wiele niższe niż na zachodzie kraju, a miasta pustoszeją. Dlatego AfD prowadzi kampanię w Saksonii i Brandenburgii pod hasłem „Jesień Ludów 2.0" oraz „Prawdziwe Zjednoczenie". AfD to bowiem także partia symbolizująca podział między zachodnimi a wschodnimi Niemcami. Pierwsze wdrażają dziś tęczową dyktaturę tolerancji, drugie wciąż usiłują się otrząsnąć z doświadczenia dyktatury proletariatu. Głosują więc na AfD oraz Die Linke (następczyni enerdowskiej partii komunistycznej), podczas gdy na zachodzie Niemiec rośnie poparcie dla Zielonych.

eprasa.pl a357259d8c



Robert Dankiewicz (rocznik 2006) i Łucja Rak (2004), najmłodsi uczestnicy obozu ReAkcja 2019

Fot. M.Czutko

Ogrodnicy prawdy

Pamięć o Polakach, którzy mieszkali kiedyś na terenach obecnej zachodniej Ukrainy, skryta jest w zdewastowanych i zapomnianych cmentarzach parafialnych. Dzięki lubelskiej wojewódzkiej komendzie OHP i Fundacji Niepodległości ma kto się o nią upominać, choć nekropolie trzeba odsłaniać, używając do tego ciężkiego sprzętu. Co roku tę pracę wykonują wolontariusze z obozu ReAkcja 2019



MARCIN WIKŁO

To jest historia, która może przepełniać nadzieją, choć zaczęła się od tragedii. Tragedia II wojny światowej oraz wołyńskie ludobójstwo, niezrozumiały i trudny do objęcia rozumem zaplanowany mord, spowodował, że Polaków na Kresach II RP w zasadzie nie ma. Ale polskości wyrugować się stąd nie udało. Pozostały cmentarze, którymi na co dzień nie ma kto się opiekować. To świadectwo przedwojennych realiów, w których Polacy i Ukraińcy żyli z sobą w dobrym sąsiedztwie. Te zrujnowane nagrobki, pozarastane nekropolie i często zagubione w lasach i zagajnikach mogiły dosłownie wyrywają z niepamięci uczestnicy obozu ReAkcja 2019. Dzięki blisko setce wolontariuszy, którzy pojechali tam już po raz 12., można mieć pewność, że „jeszcze Polska nie zginęła...".

RÓŻNE ŚWIATY

Podczas tego obozu spotykają się osoby, które właściwie nie mają z sobą nic wspólnego. Zupełnie nic. Te światy gdzieś indziej nawet by się nie zetknęły. Bo co mogą mieć sobie do powiedzenia 13-letni Robert Dankiewicz z „Bronksu" (Bronowice – dzielnica Lublina) z 88-letnim panem Czesławem Chwalczukiem? Między nimi jest 75 lat różnicy, to przecież przepaść. W Lublinie pewnie by się nie spotkali, bo i po co. A tutaj siedzą razem, rozmawiają o historii, razem pracują, a wieczorem się bawią.

eprasa.pl a357259d8c



Poniszczone pomniki trzeba często wydobywać z ziemi i składać z części

Fot. M.Czutko

– Wydaje mi się, że czymś, co przyciąga do nas ludzi, jest spora dowolność w tym, jak ktoś chce i może się zaangażować – mówi Jacek Bury, komendant obozu z lubelskiego OHP. Rzeczywiście, cała akcja trwa ok. dwóch tygodni, ale jeśli ktoś przyjedzie nawet na kilka dni albo w trakcie się rozmyśli i swój pobyt skróci lub wydłuży, to nie ma problemu. Każda para rąk się przyda. Pracy wystarczy i dla młodszych, i dla starszych.

To był mój szósty raz, gdy z przyjaciółmi (mogę śmiało tak ich nazwać) pojechaliśmy na zachodnią Ukrainę, by siłą wyrywać naturze polskie cmentarze. Nieprzypadkowo piszę o wyrywaniu, bo coś, co nazywamy porządkowaniem nekropolii, to ciężka, fizyczna robota. Najpierw piłami łańcuchowymi i kosami spalinowymi, siekierami i kilofami, a dopiero potem w ruch idą druciane szczotki i miotełki. I kolejna sprawa, coś, co wyobrażamy sobie pod pojęciem „cmentarz", a więc równe, kamienne nagrobki, jakieś alejki, znicze i kwiaty, to coś... co TAM tak NIE WYGLĄDA! Mamy za to do czynienia z wysoką na kilka metrów akacją, pokrzywami (dobrze, jeśli tylko po pas) i powalonymi na zrujnowane groby drzewami. A same pomniki poniszczone, często porozłupywane, z oderwanymi żeliwnymi elementami (dawno wyniesionymi na złom).

Zazwyczaj wygląda to tak, że grupa idzie tyralierą, by odsłonić cmentarz przynajmniej od strony drogi. To wtedy znak dla miejscowych, że ktoś o tym miejscu pamięta i się nim opiekuje, bywając tutaj choćby tylko raz do roku. Widziałem to już wielokrotnie. Zastajemy na polskich grobach miejsce lokalnych biesiad i wysypisko śmieci. Zostawiamy kilka pomników oczyszczonych i skoszoną trawę, biało-czerwoną szarfę na krzyżu i znicze. Rok później okazuje się, że nikt już nie odważył się wtargnąć na ten teren w niegodnym celu.

ŚWIADOMI POLACY

W tym roku wśród blisko setki wolontariuszy było nieco mniej dzieci i młodzieży, ale obóz zyskał rozmach międzynarodowy. Potrzebę przyjazdu i pomocy czują Polacy na co dzień mieszkający nawet bardzo daleko. Jedno, co ich łączy, to ogromne poczucie swojej tożsamości i patriotyzm, który chcą pokazywać przez tę pracę. Pracujemy w Taurowie, Szkliniu, Wiśniowcu, Horodyszczach, Draganówce, Hołobach, Beresteczku, Rożyszczach. To kawał dawnej Polski obecnie poza granicą.

– Obejrzałem w internecie już chyba wszystko, co jest na temat zbrodni wołyńskiej. Czasem to mądre rzeczy, ale jest też mnóstwo dyskusji „fachowców", którzy chyba gadają tylko po to, żeby gadać. Wkurzyłem się, myślę sobie, a wziąłby się jeden z drugim za konkretną robotę, pomógł sprzątnąć choć jeden cmentarz – opowiada mi Michał Maksymowicz, od jakiegoś czasu mieszkaniec brytyjskiego Birmingham. Przyleciał do Lwowa, a potem autobusem dotarł do obozowiczów. Wcześniej pocztą przesłał swoją kosę spalinową. Sprzętu nie brakuje, ale on chciał mieć swój. Pokazuje mi dokumenty, które odnalazł po swoim dziadku. Są w lwowskim archiwum, bo stamtąd pochodzi rodzina. Obecność i praca Michała to podróż śladami przodków.

Jesteśmy w Taurowie, małej wsi niedaleko Tarnopola. Kilometr wcześniej kończy się asfalt. Byli tu kiedyś Polacy, jest więc i polski cmentarz. Polaków dziś nie ma, groby więc niszczeją. W centralnej części miejscowości są oczywiście sklep i przystanek. Podobno rano ktoś widział przejeżdżający tędy autobus, ale wieczorem to tylko miejsce spotkań miejscowych. Obok szkoła, w której śpi grupa z Polski. Dyrektor Iwan Osiw to bardzo gościnny człowiek, co roku można na niego liczyć.

Aż z Kanady przyjechał do nas Henryk Wójcik, pochodzący z Lublina artysta architekt. Za oceanem mieszka już 42 lata, przez całe dorosłe życie działał w polonijnych organizacjach patriotycznych i kresowych, choć sam korzeni tutaj nie ma. – Jestem pod wrażeniem tego, jak młodzież doskonale dogaduje się ze starszymi, jak się uzupełniają. I w pracy, i po pracy – mówi z zadowoleniem. Podoba mu się tak bardzo, że postanowił zmienić wakacyjne plany i zamiast kilku dni spędzi z grupą cały obóz. Dla niego to także okazja popatrzenia na poniszczone nekropolie pod kątem stylów rzeźbiarskich. Na każdym cmentarzu zdarzają się praw-

eprasa.pl a357259d8c



Najpierw trzeba pracować ciężkim sprzętem, dopiero potem drucianymi szczotkami i miotełkami można oczyścić pomniki

Fot. M.Czutko

dziwe perełki, to nagrobki bogatszych obywateli. Ci biedniejsi mieli skromne płyty z taniego piaskowca. Na nich napisy są często z błędami ortograficznymi, aż trudno czasem się zorientować, co kamieniarz chciał przekazać. Są imiona „Juzef" lub „Jendrzej" i koślawe cyferki w datach. Wszystkie z końca XIX lub początku XX w. Tu wtedy była Polska.

WALKA O POLSKOŚĆ

Fryderyk Huttermann jest na obozie po raz kolejny, na co dzień mieszka w Oberhausen w Niemczech. Jego mama bardzo dba o to, by syn miał kontakt z Polską. Chłopak uczy się na stolarza, w niemieckiej szkole język polski nie jest mile widziany. – Przyszedł do naszej klasy chłopak z Polski, który od niedawna mieszkał w Niemczech, więc miał problem z językiem. Podpowiadałem mu trochę po polsku, na co ze sporą niechęcią zareagowała nauczycielka. No to ja wtedy jeszcze więcej mówiłem po polsku, specjalnie gdy ona była blisko – opowiada Fryderyk. Po kilka dniach do domu przyszło pismo, wychowawczyni ostrzegła rodziców, że jeśli „takie zajścia" będą się powtarzały, to młodzieniec może ze szkoły wylecieć. Sprawa skończyła się w sądzie, który ostatecznie przyznał rację Polakom, a upomniał nauczycielkę, ale nie wiadomo, co by było, gdyby rodzice Fryderyka nie byli tak stanowczy.

O takich sprawach rozmawia się podczas pracy, odpoczynku i w czasie wolnym. Jak to na obozie. Jest też czas na zabawę i zwiedzanie. W Tarnopolu odwiedzamy targ staroci. Pamiątek po dawnych mieszkańcach II RP jest sporo, Ukraińcy się zorientowali, że Polacy są sentymentalni i nieźle można na tym zarobić. Dobrym biznesem jest też handel elementami wojskowego umundurowania i wyposażenia z czasu II wojny światowej. Najwięcej jest rzeczy z emblematami hitlerowskimi, co przypomina, że oddziały SS-Galizien to była codzienność tamtego czasu.

Przed wyjazdem z Lublina idziemy na mszę św. do kościoła pw. św. Krzyża. Pierwsze poranne nabożeństwo jest krótkie, bez kazania, ale proboszcz ks. Marian Duma, zaprzyjaźniony z obozową grupą wołyńską szczególnie podkreśla naszą obecność. – Zobaczcie, jaką oni robią wspaniałą robotę. Nie tylko ciężko pracują tam fizycznie, lecz samą swoją obecnością budują dialog między Polakami a Ukraińcami – mówi do wiernych. To prawda. – Nie ścigamy się z naturą, nie stawiamy sobie celu wycięcia wszystkich drzew i krzewów, które staną nam na drodze. Bądźmy z sobą i rozmawiajmy z miejscowymi, przypominajmy, że kiedyś żyliśmy z sobą w zgodzie. To kiedyś zaowocuje – przypomina Jacek Bury.

Słowa księdza uruchomiły wspomnienia w Andrzeju Karłowiczu, którego rodzice pochodzą z Wołynia. Postawny mężczyzna jest na każdym obozie. Kilkanaście lat temu trafił na cmentarz do Zasmyk, to wieś niedaleko Kowla. – Po pracy mieliśmy krótkie nabożeństwo. Ksiądz mówi: „Przekażcie sobie znak pokoju". Podeszliśmy więc do przyglądających się nam zza ogrodzenia Ukraińców i wyciągamy do nich ręce... Byli bardzo nieufni. Teraz często modlimy się razem. No, ale to jest efekt kilkunastu lat naszej pracy i obecności – mówi z dumą.

POSKLEJAĆ W CAŁOŚĆ

Kapelanem obozu jest ks. Kamil Zaborek, to młody kapłan z Lublina. – Co rano odprawiam mszę św., wcześniej można skorzystać z sakramentu pokuty. Zachęcam do udziału w nabożeństwie, możecie zyskać więcej niż pół godziny snu – mówi. Warunki bywają różne, ale zawsze znajdzie się kawałek stołu, na którym można rozłożyć biały obrus. Dopiero potem ksiądz zrzuca sutannę, zakłada robocze ciuchy i przemienia się w jednego z najciężej pracujących obozowiczów. Ma swoją kosę, z którą idzie w najdziksze chaszcze. Ostatni schodzi na przerwę, pierwszy ją kończy. Na pytanie skąd ma tyle siły, bo przecież nie jest potężnie zbudowanym facetem, tylko się uśmiecha.

Praca na wołyńskich cmentarzach to swego rodzaju rodzinna sztafeta. To 12. edycja, więc dzieciaki, które były tutaj wtedy, to dziś już dorosłe osoby. Ponton, Bysio, Ania, Gapcia, Niedowidzu czy Wegan i Kanibal to bracia najmłodszego na tym wyjeździe Robercika. 13-latek zawsze znajdzie sobie coś do roboty. Poskładał np. w całość roztrzaskaną na kilka części głowę jednej z nagrobnych figurek, którą starsi wykopali z ziemi.

– To wcale nie jest tak, że dzieci traktują ten obóz tylko jako wakacyjną przygodę. Tutaj jest coś więcej, jest ten aspekt wychowawczy, no i historia unosi się w powietrzu – mówią mi dorośli uczestnicy, którzy tym razem przyjechali ze swoimi dziećmi. Iwona i Franek Malczewscy po raz pierwszy zabrali 13-letniego Kacpra i prawie 18-letnią Martę. Z Eweliną Trafalską znów przyjechała córka Kasia, tym razem nie trzeba jej było namawiać, sama chciała.

Cytat z napisanego przez Karolinę Grubą obozowego hymnu: „Hej ogrodnicy prawdy, hej, hej białe orły, latają po Wołyniu, latają po Wołyniu, pielęgnując pamięć godnych...".

10/0819/F

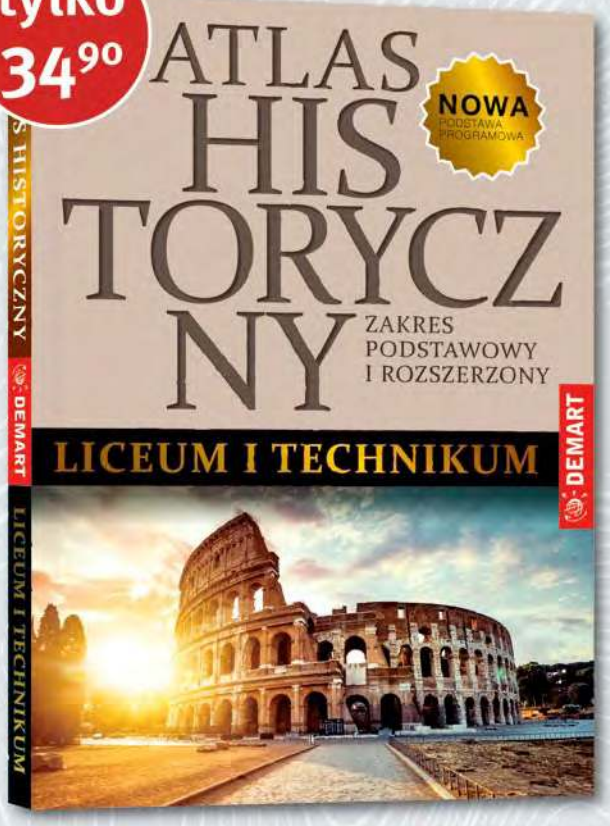
eprasa.pl a357259d8c

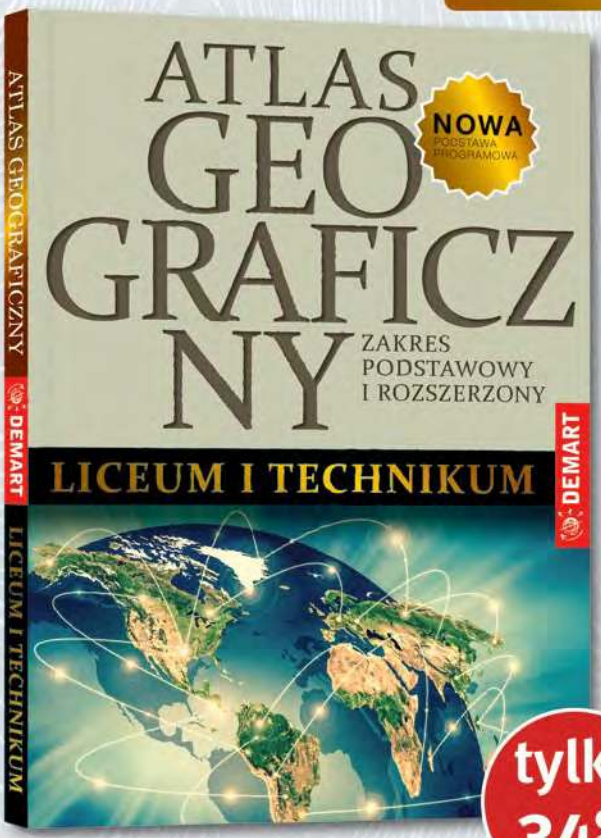
Dobra szkoła

WYDAWNICTWO DEMART od 1992

LIDER ATLASÓW SZKOLNYCH

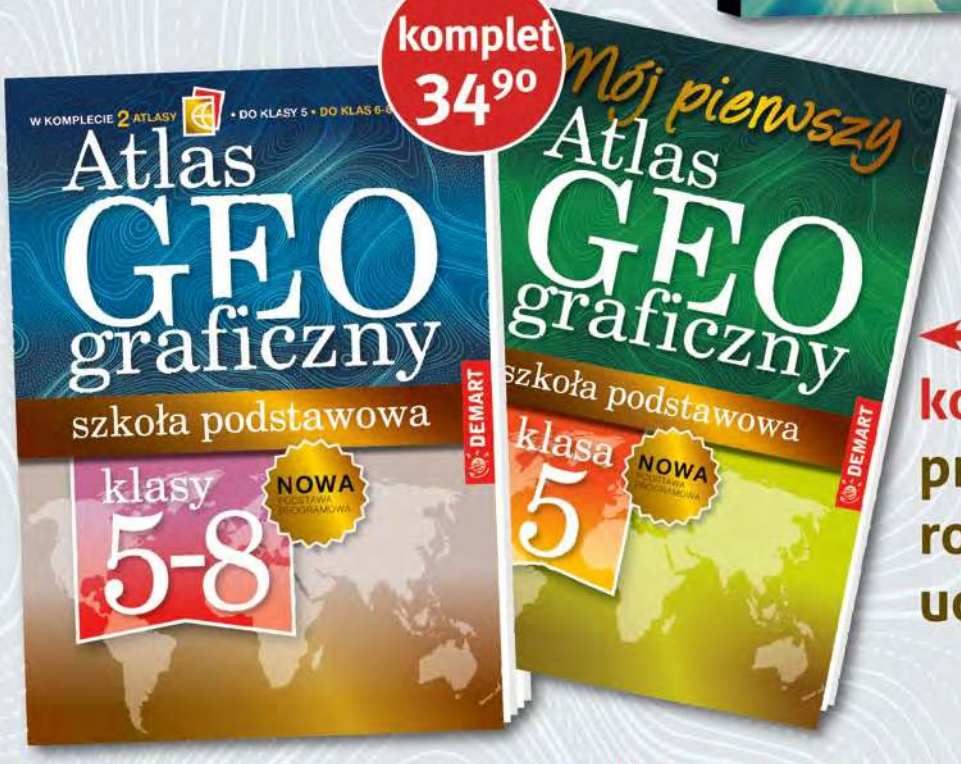
tylko 34,90





tylko 34,90

komplet 34,90



Ten atlas to komplet 2 książek – przyjazne i wygodne rozwiązanie dla uczniów*

* ich plecaki będą lżejsze, a treści w publikacjach są dostosowane do ich etapu rozwoju

DEMART

www.demart.com.pl

eprasa.pl a357259d8c

Tatrzańskie żywioły

W ostatnich dniach Tatry pokazały swoje prawdziwe, bezwzględne oblicze. Natura nie zważa na potrzeby człowieka: na to, że ma wakacje, że oczekuje go w domu rodzina, że chce żyć. Tatry przyciągają ludzi pragnących właśnie tu doświadczyć natury, jednocześnie jest to jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc





PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Odpowiedzią na sytuację, w której spierają się dwie nieprzystające rzeczywistości – potrzeb ludzi i żywiołu natury – jest TOPR. Na barkach tej organizacji spoczęła odpowiedzialność za ratowanie dwóch grup z opresji, w jakiej znalazły się za sprawą nieujarzmionych żywiołów: od dnia 17 sierpnia speleologów z Wrocławia zagarniętych przez żywioł ziemi i wody oraz dnia 22 sierpnia turystów na tatrzańskich szlakach zaatakowanych przez ponoć największą od dziesięcioleci burzę.

JASKINIA WIELKA ŚNIEŻNA

Pierwsze natarcie miało miejsce w Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Czterech grotołazów przemieszczało się najgłębszą i najdłuższą jaskinią, eksplorując jej odległe części. Jaskinia ta to w rzeczywistości gigantyczny system jaskiniowy odkrywany z początku w sposób fragmentaryczny. Osobno zbadana została jaskinia nazwana Jaskinią Śnieżną, do której wejście mieści się na wysokości 1700 m n.p.m. na Wyżniej Świstówce. Niezależnie odkrywano Jaskinię Wielką Litworową z wejściem położonym na wysokości 1907 m n.p.m. w Dolinie Litworowej oraz wiele innych, które na etapie dalszych eksploracji okazały się jednym wielkim organizmem. System tych ukrytych pod Tatarami, połączonych podziemnych korytarzy ma około 24 km długości i niemal kilometr różnicy wysokości pomiędzy najniższym i najwyższym ich punktem.

Grupa speleologów znalazła się w części zwanej „Przemkowe Partie", jest to teren, gdzie samo dotarcie jest wielkim wyzwaniem. Miejsce to odkryto w latach 90. minionego wieku, później jednak rzadko było odwiedzane. Nazwa jest upamiętnieniem Przemysława Rogowskiego, który zginął w tym miejscu w 1994 r. Aby się tam dostać, należy pokonać pionowe ściany, na których cały rok zalega lód. Następnie do przebycia są niezliczone szczeliny, studzienki i zaciski. Jedno z takich wąskich przejść, niedaleko miejsca utknięcia grotołazów, otrzymało nazwę „skrzynki pocztowej" – jest tak małe, że aby je pokonać, należy się złożyć w nieprawdopodobnie niewygodną pozycję.

Dwóm osobom z grupy nie udało się opuścić podziemnych ostępów. Pozostała część ekspedycji bezpiecznie wydostała się z jaskini i wezwała pomoc. W momencie redagowania tego tekstu trwa najtrudniejsza w historii polskiego ratownictwa górskiego akcja, mająca na celu dotarcie do odciętych przez wodę grotołazów.

PODZIEMNA POLSKA

Akcja ratunkowa w Jaskini Wielkiej Śnieżnej zwróciła powszechną uwagę na tematykę speleologiczną. Przede wszyst-

Fot. TOPR/East News / Shutterstock

eprasa.pl a357259d8c

kim na fakt, że mamy w Polsce jaskinie, kilometry podziemnych korytarzy. Niektóre z nich rozległe, spektakularne, niezwykłe – a przede wszystkim wciąż bardzo mało znane.

Po części dzieje się tak dlatego, że polskie jaskinie występują przede wszystkim w stosunkowo wąskim pasie na południu kraju, a po części dlatego, że są to miejsca niedostępne, izolowane, ukryte. Najdłuższa polska jaskinia, wspomniana już Jaskinia Wielka Śnieżna, położona w rejonie Czerwonych Wierchów w Tatrach Zachodnich, to 24 km korytarzy, zagłębiających się ponad 800 m w głąb ziemi. Tyle w każdym razie zbadano jak dotąd, ponieważ w przypadku jaskiń, nawet tych pozornie dobrze znanych, cały czas odkrywane są nowe korytarze, często okazuje się, że podziemne systemy łączą się z sobą, a era wielkich eksploracji jest w rozkwicie.

Przykładów nie trzeba mnożyć, bo w sprawie jaskiń niewiadome należą nie do wyjątków, lecz do reguł. Jest tak zresztą na całym świecie. Spójrzmy chociażby na oficjalnie piątą z najdłuższych jaskiń świata – Jaskinię Optymistyczną na Ukrainie. Odkryty w 1966 r. gipsowy, naturalny labirynt ma ponad 200 km długości, istnieją przypuszczenia, że długość korytarzy może sięgać 2 tys. km.

Polskie jaskinie również zaskakują coraz to nowymi odkryciami, pokazującymi, jak dziewicza jest nadal ta sfera. Najwięcej polskich jaskiń znajduje się na Jurze, czyli Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej. Są to jaskinie o charakterze krasowym, wymyte w skałach wapiennych. Jaskinie beskidzkie to najczęściej jaskinie osuwiskowe, powstałe w skałach piaskowcowych. Najgłębsze i najdłuższe jaskinie, do których powstania przyczyniły się zarówno procesy krasowe, jak i tektoniczne, znajdują się w Tatrach, co nie znaczy, że inne rejony nie kryją speleologicznych zagadek.

Jaskinia Niedźwiedzia w Sudetach została odkryta w 1966 r. podczas wysadzania bloków marmuru. Odsłonięto wówczas wejście do czeluści, którą przez tysiąclecia zamieszkiwały megalityczne stworzenia: wielkie niedźwiedzie jaskiniowe, olbrzymie, bezgrzywe lwy i jaskiniowe hieny. Kolejne pokolenia dawnych ssaków wygładzały swym futrem ściany korytarzy i kolejne składały w nich swoje kości. Nie wiadomo, jaką część jaskini udało się dotychczas zbadać. Chociaż opisano kilka kilometrów korytarzy, szczelin i przejść, zagłębiających się w Masyw Śnieżnika, dawne podania sugerują istnienie przejść, którymi można by wydostać się na powierzchnię dopiero w czeskich Morawach. Nie brzmi to niewiarygodnie, jeżeli wziąć pod uwagę, że kilka lat temu odkryto nieznaną dotychczas komnatę, nazwaną Salą Mastodonta, o długości 120 m i wysokości takiej, że mogłaby pomieścić dziesięciopiętrowy budynek.

Nowe odkrycia dokonywane są cały czas. Na Jaskinię Hardą, dużą jaskinię tatrzańską w Masywie Małołączniaka, natrafiono kilka lat temu, w 2011 r.

POLSKIE JASKINIE WIECZNEGO LODU

Dopiero w 1999 r. zauważono w Beskidzie Małym otwór prowadzący w głąb ziemi. Pierwsza eksploracja jaskini nastąpiła w czerwcu 2000 r. Jaskinię nazwano Jaskinią Lodową w Zamczysku, od grupy skał, wśród których ukryte jest wejście. „Lodowa" – ponieważ od pewnego poziomu głębokości w jaskini przez cały rok utrzymuje się lód.

W Tatrach, naszych najwyższych górach, jest więcej jaskiń skrywających taki fenomen – lód nietopniejący nawet w największe upały, mogący dotrwać do kolejnej zimy oziębiającej powietrze i zasilającej wnętrze jaskini śniegiem. Zimy zresztą wysoko w Tatrach przychodzą bardzo szybko; opady śniegu nie są niczym zaskakującym nawet w lecie. Można nawet powiedzieć, że już pod koniec lata są raczej regułą niż wyjątkiem. Geneza lodowych korytarzy, jęzorów i lodospadów w jaskiniach, takich jak Jaskinia Lodowa Miętusia, Jaskinia Lodowa w Ciemniaku, System Ptasia Studnia, składający się z Jaskini Lodowej Litworowej, Jaskini nad Dachem i Ptasiej Studni czy Jaskinia Lodowa Krakowska, nie do końca jest zresztą wyjaśniona i pozostaje w sferze hipotez.

Nic dziwnego, ponieważ miejsca te zostały odnalezione całkiem niedawno. Bywały zapominane i nieodwiedzane przez kolejne dziesiątki lat, a nowe korytarze, zapewne ułamek całości, nadal są odkrywane.

PODZIEMNE LABORATORIUM I BANK DANYCH

Eksploracja i badanie jaskiń tylko pozornie może się wydawać zajęciem niepotrzebnie ryzykownym. W rzeczywistości przynosi olbrzymią wiedzę, pozwalając na poznanie struktur i procesów geologicznych, przeszłości i przyszłości warstw i masywów skalnych. Informacje zapisane w ścianach korytarzy, w warstwach namułu osadzających się rok w rok od niepamiętnych czasów, w rezerwuarach lodu i izolowanych od zarania dziejów podziemnych zbiornikach wody zawierają bezcenne dane, których odczytanie pozwoli na lepsze zrozumienie zmian klimatycznych i środowiskowych, jakie zachodziły w kolejnych epokach. Badania jaskiń to także nowa wiedza o cyrkulacji wody i o jej podziemnych zasobach – w kontekście powodzi i susz ostatnich czasów wiedza bezcenna.

Niezwykła jest także historia jaskiniowej flory i fauny, chociażby niektórych chrząszczy czy skorupiaków. Te niepozorne bezkręgowce dostarczają olbrzymiej dawki informacji na temat różnicowania się gatunków, nie do zdobycia w żaden inny sposób. Niektórzy przedstawiciele obecnej fauny jaskiniowej żyli na powierzchni ziemi jeszcze pod koniec epoki lodowcowej. Kiedy klimat zaczął się ocieplać, zimnolubne stworzenia wycofywały się na północ, odchodziły wyżej w góry lub schodziły w głąb jaskiń. Przez kilkanaście tysięcy lat życia w izolowanych czeluściach potomkowie tych ostatnich przeszli metamorfozę... i oddzielając się niekiedy w takim stopniu od pobratymców, którzy zostali na powierzchni, że krzyżowanie się osobników podziemnych z powierzchniowymi jest już niemożliwe.

Pokazując przeszłość zamkniętą w głębokich korytarzach jaskiniowego archiwum i dając dostęp do podziemnego laboratorium, przyroda pozwala poznać wyniki eksperymentów, na które nie stać żadnego z państw świata, ponieważ ich przeprowadzenie wymaga czasu mierzonego w skali geologicznej. Poznając zaś przeszłość, możemy więcej powiedzieć o naszej przyszłości i przygotować się na nią. To dlatego pasja schodzenia w głąb ziemi ma wielki sens, a poświęcenie grotołazów jest nie do przecenienia.

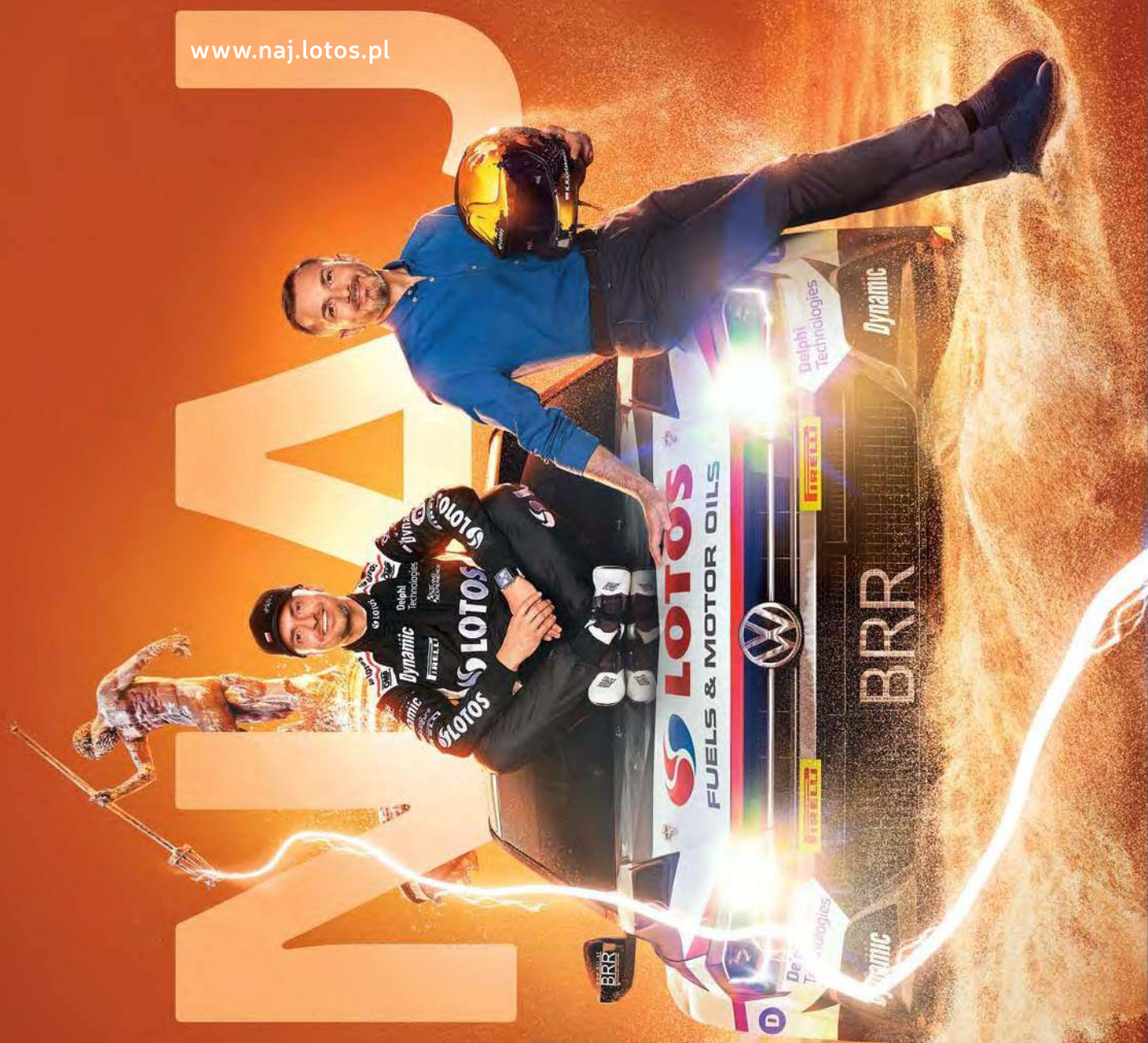
31/0719/F

eprasa.pl a357259d8c

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



eprasa.pl a357259d8c

NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

eprasa.pl a357259d8c

MAŁGORZATA BUCZKOWSKA AKTORKA

Espresso z Fellinim





Mam takie miejsca na ziemi, do których uwielbiam wracać i w których niewiele mi trzeba. Lubię, gdy w czasie urlopowego wyjazdu nie muszę nigdzie pędzić. Jeżeli już planuję zwiedzanie, poznawanie czegoś nowego, to rozkładam to sobie na dłużej, by w swoim rytmie chłonąć atmosferę miejsca.

Czasy pospiesznego doświadczania życia, w myśl „co nowe, to najlepsze", mam dawno za sobą. Przy trójce dzieci trochę inaczej to wygląda. Zwłaszcza gdy mają tak różne zainteresowania. Nie rzucam się więc na zapewnianie każdemu z osobna odpowiadających mu rozrywek (są też w bardzo różnym wieku). Nie dałabym rady zadowolić każdego. Wspólna aktywność to rowery, piłka, gra w badmintona... A ja, jeśli tylko mogę, szukam chwil spokoju, wyciszenia.

Ze względu na zawód lubię miejsca, w których nikt mnie nie rozpoznaje. Dlatego na odpoczynek, jeśli mogę, wybieram zagranicę. Choć w obcym kraju też można być zaskoczonym przez fanów. W tym roku z powodu intensywnych zdjęć na planie „Korony królów" pewnie pojadę gdzieś bliżej.

Moim ulubionym miejscem są Włochy. Kraj, który ma trzy morza, góry, pagórki, pyszne jedzenie, wspaniałe wina... Nie mówiąc o miejscach do zwiedzania i do delektowania się: widokiem, atmosferą. Raz czy dwa odwiedziłam Włochy zimą, poza tym bywam tam głównie latem.

Uwielbiam Rzym. To moje miasto. Nie liczę, ile razy tam byłam. Niesamowita jest też Toskania czy Sycylia, gdzie jeszcze można znaleźć całkiem sporo dziewiczych zakątków, do których nie dociera zbyt wielu ludzi. Ale tak naprawdę Italia ma wiele miejsc, w których można się schować i spędzić fantastyczne wakacje.

W Rzymie bywam też oczywiście rodzinnie. Za każdym razem na szlaku pojawia się kawiarnia, którą wręcz kocham. Mieści się przy Piazza del Popolo (plac Wszystkich Ludzi). Powyżej jest piękny park Villa Borghese i wzgórze Pincio, z którego roztacza się widok na całe miasto, więc od tego moje dzieci zaczęły poznawanie Rzymu. I oczywiście od kawiarni Canova. Tej, w której przesiadywał Fellini (zaglądali tu też Visconti, Moravia, Pasolini) i w której wynajdywał statystów lub aktorów do swoich filmów. Bardzo lubił pracować z naturszczykami. Zawsze jest tam tłumnie. Niestety ostatnio wnętrze zostało przerobione. Jest tam teraz nowocześnie, ale miejsce utraciło dotychczasowy klimat typowo rzymskiej kawiarni. Skromnej, ale z „duszą".

Jeszcze kilka lat temu był tam zakątek Felliniego, stolik, przy którym siadał. Teraz na jednej ze ścian pozostały tylko jego szkice. Mam tam grupę znajomych, ludzi, którzy zajmowali się schedą po Fellinim. To są już mocno starsze osoby, które współpracowały z reżyserem. Jedna z nich zakładała pierwsze po wojnie kino, które mieściło się w tej samej okolicy, tuż przy Piazza del Popolo. Niestety kino jest teraz zamknięte. Mam nadzieję, że nie otworzą tam supermarketu.

Dla mnie kawiarnia Canova mimo zmian zawsze pozostanie miejscem wyjątkowym. Patrzę na ludzi wokół, popijam espresso albo cappuccino... i jest wspaniale.

Mój zachwyt nad Włochami nie oznacza fascynacji wyłącznie tym krajem. Za sprawą zdjęć kręconych w przeróżnych miejscach mam okazję odkrywać także fantastyczną urodę Polski. Docieram czasem w odległe, czasem całkiem bliskie, a nie zawsze znane i doceniane zakątki kraju. I przeżywam zachwyty, oczarowania. Jedno się nie zmienia. Odkąd dziesięć lat temu trafiłam nad Bałtyk, utwierdzam się w przekonaniu, że polskie morze jest niezwykłe. Co roku muszę odwiedzić moje ulubione plaże. Nie potrzebuję skwaru i pełnego słońca, wręcz przeciwnie – lubię umiarkowaną temperaturę, ale ważne, by były piasek, plaża i Bałtyk. Byle nie w obleganych kurortach. Mam takie swoje miejsca, w których się zaszywam, ale nikomu o nich nie powiem [śmiech].

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl a357259d8c



SŁODKO-SŁONY

Oliwa z bazyliszka

ANNA MONICKA

„Właśnie przeszedłeś obok księgarni! Człowieku, co z tobą?" – takim banerem wabi przechodniów moja ulubiona księgarnia. Nie wyobrażam sobie wakacji bez wizyty w Pegazie w Choszcznie. Niepisana tradycja każe nam zaraz pierwszego dnia po przyjeździe wybrać się po zakupy – żeby mieć co czytać w ferie czy wakacje. Zamiast prezentów przywozimy sobie książki.

To raczej klub dyskusyjny, w którym porozmawiasz o nowościach wydawniczych, doskonałych ilustracjach, dowiesz się, kto zdobył Nagrodę Bookera, co warto kupić na prezent ślubny, bo przecież i z takiej okazji można dawać przyjaciołom książki. Szczególnie radośnie właścicielka wita dzieci. „Te, które czytają są inne" – mawia. Zawsze je zagaduje i poleca coś ciekawego. Czeka na nie oraz na zmęczonych przechodniów czerwone krzesło wystawione na ulicę. Wygląda dokładnie tak jak to w powieści „Magiczne drzewo". Ciekawe, czy też spełnia życzenia. Książkowe na pewno.

Wyszłyśmy jak zwykle obładowane. O jednej książce chcę wam opowiedzieć, bo przyda się do rozpoznawania polnych i łąkowych roślin, gdy wybierzecie się całą rodziną na wakacyjny wieczorny spacer. „Parzyziółko" Doroty Wojciechowskiej-Danek (wyd. TADAM) to spotkanie z zielarstwem dla początkujących. Co wspólnego ma bazylia z bazyliszkiem, a mniszek z mnichami, dlaczego już kilka tysięcy lat temu Chińczycy żuli goździki i co Paracelsus nazywał eliksirem życia – nie wiecie? To przeczytajcie. A potem usiądźcie z dzieckiem czy wnuczkiem i skorzystajcie z prostych i bardzo tanich przepisów na kosmetyki czy smakołyki. Zróbcie cynamonowe ciasteczka do mleka, miętową lemoniadę czy pachnące lawendowe śnieżki do kąpieli. Poradzi sobie z nimi nawet kilkuletni maluch i będzie pękał z dumy.

Przy okazji lektury przypomniałam sobie o pysznych, nasyconych ziołowymi aromatami olejach. Z mamą często robiłyśmy majerankowy, bo obie uwielbiamy to ziółko, tu autorka podaje przepis na olej z bazyliszka. Potrzebujesz świeżej, umytej i wysuszonej bazylii (20 ładnych listków) i szklanki oliwy, którą zalejesz je w słoiku. Po pięciu dniach w ciemnym miejscu przecedzamy i mamy własną przyprawę do pizzy, pieczywa, sałatki pomidorowej z mozzarellą. Polecam.



WILCZYM OKIEM

Lingwistyczna podróż herbaty

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Istnieje na świecie podział, na szczęście niepowodujący konfliktów ani niedający podstaw do podziałów prawica–lewica itp., pomimo tego dzielący świat na dwie wyraźnie wyodrębnione części. Wyznacznikiem przynależności jest określenie, jakie stosuje się w danym kraju na napar z liści pochodzącej z Chin rośliny.

Rośliną tą jest herbata chińska *Thea sinensis*, nazywana też *Camellia sinensis*. Herbata rozpoczęła swoją podróż w Chinach. Najpierw – pamiętając, że historia roślin jest często trudna do prześledzenia – jedwabnym szlakiem pod chińską nazwą *cha* herbata powędrowała do Persji i stamtąd w różne części świata, dając początek nazwom wywodzącym się z tego pierwotnego określenia: arabskiemu *shay*, *cha* w języku suahili, tureckiemu *çay* czy rosyjskiemu чай i wielu innym. Niezależnie od ośrodka perskiego herbata trafiła do Korei (*cha*) i Japonii (*ocha*). Podróże pod tą nazwą rozpoczęły się co najmniej 2 tys. lat temu; notabene będąc przykładem odwiecznej ekspansji gospodarczej Państwa Środka.

W XVII w., również z Chin, lecz z innej prowincji, herbata, pod nazwą *te*, za sprawą Holendrów wyruszyła w nową podróż. Tym razem poznali ją Anglicy, nazywając ją *tea*, Niemcy, którzy zastosowali określenie *Tee*, Hiszpanie i Włosi – *té* i inne narody, przekształcając na swój sposób chiński pierwowzór.

Czy istnieje trzecia droga, a raczej opcja, by inaczej nazwać tytułowy napój? Birmańczycy mówią *laat bhaat rai*, lub coś w ten deseń, ale własna, oryginalna nazwa jest w ich przypadku całkowicie zrozumiała, herbata jest bowiem w tym kraju rośliną rodzimą i nie potrzebowali Chińczyków, by ją poznać.

Trochę poza herbacianym podziałem pozostaje Polska, dając przykład bogactwa i oryginalności ojczystego języka. Wprawdzie nasza nazwa zawiera źródłosłów chiński, została jednak wzbogacona przedrostkiem „herba", dzięki czemu pijemy herbatę, czyli „ziele *te*". Skąd wyjątkowość polskiego języka? Zamiast szukać odpowiedzi, które i tak nie oddałyby zawiłości naszej mowy, lepiej docenić jej wyjątkowość, nie tylko w zakresie nazewnictwa naparów. Jako unikatowy wyjątek zrezygnowaliśmy z „tanku", zastępując go obrazowym „czołgiem". Jedyni w całej Europie, nie wyłączając Węgrów i Basków, wpadliśmy też na pomysł, że zamiast „koma" można popisać się głoskami i powiedzieć „śpiączka".

Fot. Shutterstock (2)

eprasa.pl a357259d8c

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Groźna „drużyna jutra”



Sama mobilizacja elektoratu nie wystarczy. Trzeba przekonywać innych do głosowania, jeśli PiS ma wygrać wybory

O jesiennym zwycięstwie wyborczym ma przesądzić mobilizacja elektoratów. Pisał o tym w tygodniku „Sieci” Michał Karnowski, powołując się na prof. Norberta Maliszewskiego.

Mobilizacja to konkretne głosy decydujące o wyborczym zwycięstwie lub klęsce, oczywiście z zastrzeżeniem wyborów sfałszowanych. Mobilizacja elektoratu PiS ma polegać na przekonaniu, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, ale nie jest przesądzone, dlatego trzeba koniecznie pójść na wybory. Tak rozumiana mobilizacja przesądziła o zwycięstwie PiS w wyborach do europarlamentu, a mobilizacja elektoratu PO zadecydowała o zwycięstwie opozycji w dużych miastach w wyborach samorządowych. A zatem mobilizacja – a nie program wyborczy czy styl kampanii wyborczej ani też konkretni kandydaci – decyduje o wyniku wyborów. Czy rzeczywiście na mobilizację elektoratów nie mogą mieć wpływu takie okoliczności, jak ważne wydarzenia i oświadczenia polityczne, afery gospodarcze i skandale obyczajowe, prowokacje tajnych służb, spektakularne aresztowania, filmy dokumentalne itd., itp.?

Dla PO sprawa jest prosta. Przyjęto koncepcję „totalnej opozycji”, która sprowadza się do zanegowania programu PiS i rządu, wszelkich programów, także tych przyszłych. To totalna negacja nawet rzeczy naprawdę dobrych, dlatego przedstawiciele tej partii kluczą z odpowiedzią, czy utrzymają program 500+, czy powrócą do koncepcji przyjmowania uchodźców, przywrócenia poprzedniego wieku emerytalnego, wprowadzenia waluty euro itd., itp. Najczęściej mówią – oczywiście bez podania konkretów – zrobimy to lepiej niż PiS. To ma wystarczyć i okazuje się, że wystarcza dla elektoratu tej partii, gdyż utrzymuje się on ciągle na stałym wysokim poziomie, średnio w granicach 20–25 proc. poparcia. Jak to możliwe, że wierny PO elektorat ślepo akceptuje wszystko, co głosi ta partia? Ale na tym właśnie polega mobilizacja elektoratu. Odrzuca wszystko, co proponuje i czym się zajmuje przeciwnik polityczny, gdyż nie akceptuje go totalnie, odmawia mu wręcz legalności, równocześnie w sposób bezkrytyczny wspiera własną formację polityczną, z którą się silnie identyfikuje.

Mobilizacja elektoratu PiS sprowadza się do aksjomatu, że realizowany jest program wypracowany wspólnie z wyborcami, a partia dotrzymuje danego słowa, zatem największym jej atutem jest wiarygodność. Ponadto partia władzy szybko reaguje na społeczną krytykę, podejmuje niekiedy trudne dla siebie decyzje, niczego nie zamiata pod dywan. To też element wiarygodności, jak sądzę, nie bez wpływu na mobilizację elektoratu.

Ale to ciągle za mało. Do głosowania na PiS, jeśli ma wygrać wybory, trzeba zachęcić innych. I tu jest problem, gdyż preferencje elektoratów są w zasadzie stabilne i nie zachodzą na siebie. Pozostają zatem ci tzw. niezdecydowani.

Dlatego do ostatniego dnia przed wyborami układ III RP, postkomunistyczno-liberalny, który nie pogodził się z utratą władzy w 2015 r. i który akceptował programy społeczne i gospodarcze sprzeczne z polską racją stanu, a zgodne z oczekiwaniami swojego elektoratu, będzie dążył do prowokacji, wywołania przesilenia, w celu odwrócenia sondaży i zachwiania zaufania do rządu. Strategia walki o władzę określona jako „ulica i zagranica” nadal obowiązuje.

Dymisja wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka była do przewidzenia, tak jak oczywiste było jej uzasadnienie – „w poczuciu odpowiedzialności za powodzenie reform”. Rząd konsekwentnie unika konfrontacji, odbierając tym samym opozycji argumenty przeciwko obozowi władzy. Choć gdyby to samo dotknęło opozycji sprawującej władzę, zapewne żadnej sprawy by nie było, a kontakty wiceministra z jedną z niewiarygodnych, a niewykluczone, że chorych internautek, równocześnie żony sędziego, uznano by co najwyżej za pochopne konsultacje społeczne. Dymisja Łukasza Piebiaka, który wykazał się naiwnością, nie zdając sobie sprawy z oczywistości prowokacji, za którą stoi niemieckie medium działające w Polsce, co prawda podnosi poziom politycznych standardów, ale tylko w stosunku do jednej strony politycznego konfliktu.

Sama mobilizacja elektoratu nie wystarczy. Trzeba przekonywać innych do głosowania, jeśli PiS ma wygrać wybory. Ponadto korzystając z wolności słowa w mediach publicznych, trzeba pokazywać ludzi szykujących się do objęcia władzy, tę – jak to mówią o sobie – „drużynę jutra”. Wśród opozycyjnych kandydatów na posłów i senatorów znajdują się wręcz kliniczne przypadki. Będą rujnować polską demokrację, niszczyć nasz parlamentaryzm. Na listach PO i lewicy znajdują się ludzie niestabilni emocjonalnie, niezwykle wulgarni i obrazoburczy, nienawidzący Polski i Kościoła katolickiego. Zapiekli wrogowie PiS, aferzyści z prokuratorskimi zarzutami, stara komuna i agentura wpływu, wrogowie polskiej racji stanu, notoryczni hejterzy. Wszyscy? Nie, ale jest ich nieporównanie więcej niż cztery lata temu.

23/07/19/F

eprasa.pl a357259d8c

Katolicki portal informacyjny

- aktualności z życia Kościoła w Polsce, w Watykanie i na świecie
- wiadomości z diecezji
- reportaże, wywiady
- prezentacja nowego numeru „Niedzieli”
- materiały filmowe
- fotogalerie
- poradnictwo prawne, rodzinne, psychologiczne
- przepisy kulinarne na każdą okazję

niezbednik.niedziela.pl

niezbędnik katolika

liturgia dnia

rozważania do Ewangelii

patron dnia

kalendarz liturgiczny

brewiarz

modlitewnik

czytelnia



Wiarygodna strona internetu

www.niedziela.pl

eprasa.pl a357259d8c

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Siła marszu, który trwa



Witold Gadowski

Czy w dzisiejszych czasach możliwe jest przeprowadzenie dużego wydarzenia, o którym nawet nie zająkną się główne media, bez względu na opcję polityczną?

Tak, to jest możliwe i zaświadczy o tym mój publicystyczny sąsiad z tej samej strony, który wraz z żoną był jedną z gwiazd towarzyszącego temu wydarzeniu koncertu. Mówię oczywiście o Marszu Życia Polaków i Polonii, który wydarzył się 14 i 15 sierpnia w Oświęcimiu i niemieckim obozie zagłady Auschwitz. Brak zainteresowania ze strony i TVN, i Polsatu, i TVP bardzo nam pomógł. Tak, nie prawię wam tu żadnej herezji.

To wydarzenie nigdy nie miałoby takiej duchowej mocy, takiego pięknego nastroju, gdyby odbywało się pod pręgierzem kamer i mikrofonów. Prawie 2 tys. Polaków z całego świata i ponad 2 tys. Polaków z różnych zakątków naszego kraju poświęciło swój czas i pieniądze, aby dotrzeć do Oświęcimia. Hotele, restauracje i kawiarnie w te dni były wypełnione po brzegi. Najciekawszym fenomenem jest jednak to, że w takiej masie ludzi wszyscy się do siebie uśmiechali, byli dla siebie wyrozumiali i cierpliwi. To naprawdę niezwykłe, że przez te dwa dni nikt nie powiedział nikomu nawet złego słowa. Wydarzenie pokazało, jak bardzo my, Polacy, jesteśmy już spragnieni dobra i przyjaźni, jak bardzo mrozi nas temperatura naszego życia publicznego.

Oczywiście nie brakuje malkontentów, ale – co ciekawe – są to zawsze ci, których wtedy w Oświęcimiu nie było. Mnożą się fałszywe opowieści i posądzenia. To jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Uczestnicy wiedzą jak było, w serce każdego z nich wrosło przesłanie św. Maksymiliana Kolbego. Każdy, kto wtedy przyjechał, przywiózł z sobą cząstkę tej niezwykłej atmosfery, był współtwórcą marszu... On teraz będzie trwał wszędzie tam, gdzie powrócili jego uczestnicy. Wszyscy się przecież przekonali, jak wielką siłę ma dobro, wspólnota. Oczywiście brzmi to w sposób patetyczny, ale trudno inaczej opowiadać o tym sierpniowym doświadczeniu w Oświęcimiu. Udało się wszystko, ale najbardziej „udali się" uczestnicy, którzy często po kilkadziesiąt godzin jechali, aby wspólnie pobyć, poczuć się razem, poszukać „polskiego sensu". Nasza wspólnota będzie rosła i dokona jeszcze niejednego niezwykłego czynu. Wspólnie poczuliśmy bowiem moc, jaką daje nam bycie razem. Szydercy już mogą ostrzyć swoje wilcze mleczaki, ich sprawa. Nas to jednak nie dotknie. Tego roku w Oświęcimiu poczuliśmy moc i nauczyliśmy się być dobrze razem. To będzie rosło. Przekonacie się.

I ból mija...



Lech Makowiecki

Nie jestem fanem leków przeciwbólowych. Po ich zażyciu na chwilę zapomina się o chorobie, ale ona nie znika i zżera nas dalej. Dlatego, gdy dopadły mnie „bóle w krzyżach", nie zastosowałem „tej żółtej maści" znanej z telewizyjnych reklam. Zdiagnozowałem przyczynę (rentgen, konsultacje medyczne) i dzięki rehabilitacji odzyskałem zdrowie. Teraz częściej odrywam się od komputera, profilaktycznie przepływam dwa kilometry dziennie i... zapomniałem, że mam kręgosłup. Ten prosty schemat – diagnoza–leczenie–zapobieganie – polecić można na wszystkie polskie dolegliwości.

Boli nas głupota zakaźna, zwana potocznie „lemingozą" (brakiem kojarzenia przyczyn i skutków zdarzeń zachodzących w świecie)? Można ją przez jakiś czas uśmierzać jeszcze większą głupawką (serwowaniem w tv disco polo, programów typu „Big Brother", kabaretowego rechotu czy „mydlanych" seriali). Ale możemy też podnosić poprzeczkę i edukować Polaków przez atrakcyjny przekaz: mądre programy historyczne, wartościowe filmy z morałem, kształcące w prawdzie programy nauczania czy szlachetną, patriotyczną popkulturę. Kto z nas nie chciałby mieć grzecznych i mądrych dzieci? Cóż, to wymaga poświęcania im własnego czasu i codziennego trudu wychowawczego. Jeśli więc dla świętego spokoju zafundujemy pociechom smartfony z nieograniczonym dostępem do brutalnych gier i twardej pornografii – nie liczmy na cud. Tylko stworzenie sanitarnego kordonu dla „tęczowej zarazy" (atakującej dziś nawet przedszkola) uchroni polskie dzieci przed demoralizacją. Nie można pozwolić na zerwanie serdecznych więzi z własnym potomstwem; perspektywa eutanazji na starość nie jest zbyt miła.

PS Przez nieznajomość historii najnowszej i współczesnych zagrożeń część naszej młodzieży „łyka" lewacką narrację o polskim antysemityzmie, nietolerancji, rasizmie, zaściankowości. I skłania się ku multikulturowej utopii. Mainstreamowi celebryci i media doskonale znieczulają nas na polskość.

61/0519/F

eprasa.pl a357259d8c



Weekend podniebnych atrakcji. LOTOS Gdynia Aerobaltic Airshow 2019

Największe pokazy lotnicze w Polsce – LOTOS Gdynia Aerobaltic Airshow – przyciągnęły do miasta tysiące mieszkańców i turystów. Na lotnisku Gdynia-Kosakowo i plaży miejskiej można było zobaczyć zapierające dech w piersiach samolotowe akrobacje, a także spotkać się z pilotami

Ponad sto samolotów na niebie, kolejnych kilkadziesiąt na wystawie statycznej, imprezy towarzyszące – w weekend 16–18 sierpnia w Gdyni spotkali się fani lotnictwa i najlepsi piloci z całego świata. Głównymi elementami LOTOS Gdynia Aerobaltic Airshow 2019 były dzienne pokazy lotnicze na lotnisku Gdynia-Kosakowo i wieczorne na plaży miejskiej.

Gwiazdą tegorocznej edycji imprezy była grupa Saudi Hawks, czyli sześć myśliwców BAE Hawk z elitą saudyjskich lotników za sterami. To piloci najlepsi z najlepszych, których szkoleniem od początku zajmują się emerytowani piloci legendarnej grupy Red Arrows.

„Nasz pokaz w Gdyni będzie spektakularny. Pokażemy wszystko, co mamy najlepsze" – zapowiadał kapitan Saudi Hawks Zayed Omair al-Sufyani i... dotrzymał słowa. Najgłośniej mówiono właśnie o akrobacjach przygotowanych przez zespół Sił Powietrznych Arabii Saudyjskiej, m.in. ze względu na wyjątkową grę kolorów, którą piloci zaprezentowali na niebie. Nie zabrakło też zachwytów nad występem polskich Orlików czy Marii Muś, która wykonywała akrobacje śmigłowcem.

Ważnym punktem air show był wyścig Lamborghini Huracan z samolotem odrzutowym TS-11 Iskra. Samochód prowadził kierowca rajdowy Kajetan Kajetanowicz, ambasador Grupy LOTOS i trzykrotny rajdowy mistrz Europy w barwach LOTOS Rally Team. Nad odrzutowcem zapanował Tadeusz Zaworski z Fundacji Biało-Czerwone Skrzydła. „Kocham szybką jazdę, moja krew zamienia się wtedy w benzynę. To było wspaniałe doświadczenie" – opowiadał Kajetan Kajetanowicz. Po wyścigu Lamborghini Huracan stanęło w strefie LOTOSU, a rajdowy mistrz rozdawał autografy.

Tłumy pojawiły się w piątkowy i sobotni wieczór na plaży miejskiej w Gdyni. Tym, co przyciągnęło tam tysiące widzów, była pirotechnika na skrzydłach samolotów wykonujących ewolucje już po zachodzie słońca. Dzięki niezwykłym umiejętnościom pilotów i racom sypiącym iskrami każda figura akrobacyjna nabrała nowego wymiaru. Można było zobaczyć zapierające dech w piersiach efekty świetlne. Wieczorne popisy pilotów podsumował efektowny pokaz akrobatyczny z wykorzystaniem pirotechniki oraz laserów.

LOTOS Gdynia Aerobaltic to nie tylko pokazy lotnicze. Na lotnisku Gdynia-Kosakowo organizatorzy stworzyli rozbudowaną strefę rozrywki dla całej rodziny – Aerolandię. Tam czekały platformy do gier, gry edukacyjne, klocki i kolejna edycja Akademii Młodego Pilota. W wydarzeniu wzięło udział wielu wystawców, ale to w strefie LOTOS można się było poczuć jak prawdziwy pilot, korzystając z symulatora F-16.

„To impreza na światowym poziomie, trudno szukać tu kogoś niezadowolonego. Mogliśmy obserwować akrobacje lotnicze na najwyższym poziomie, wykonywane przez najlepszych pilotów na świecie. Wspieramy to wydarzenie, bo wzbudza pozytywne emocje" – ocenia Jarosław Wittstock, wiceprezes zarządu Grupy LOTOS.

Według szacunków już pierwszego dnia LOTOS Gdynia Aerobaltic Airshow zgromadziło około 100 tys. obserwatorów. „Siedem godzin pokazów dziennie, kilkaset zespołów lotniczych, naprawdę się działo" – dodaje Sebastian Golus, prezes spółki Aeropact, która była organizatorem gdyńskiego air show.

Sponsorem tytularnym wydarzenia była Grupa LOTOS, a sponsorem strategicznym spółka LOTOS Air-BP.

eprasa.pl a357259d8c

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wędrowni gwałciciele



Aleksander Nalaskowski

Wypełzają na główne ulice polskich miast. Odurzeni złą ideologią, zwykli nieszczęśnicy, których dopadła tęczowa zaraza. Podrygują tanecznie, niosąc tęczowe orły, tęczową Matkę Boską i tęczą upstrzone cytaty z Ewangelii. My w tym czasie jesteśmy zepchnięci na chodniki i trawniki. Ich policja pilnuje, a nas filmuje. Mają wszystkie prawa przysługujące obywatelom Rzeczypospolitej, prawa, które przysługują kobietom (np. zamążpójście) i mężczyznom (ożenek). Mają prawa wyborcze, nikt im nie zagląda do alkowy, nie zmusza do spowiedzi, nie zakazuje sekswyjazdów do Tajlandii. Tak jak nam nie zakazuje. Ale mają coś więcej – mają przywileje, których nikt z nas nie ma. Mogą lżyć nasz Kościół, drwić z nas bezkarnie zza muru policyjnych tarcz, oczekiwać darmowej ochrony policyjnych legionów, która wszak nie jest za darmo. Ich kulawa tęcza jest traktowana jako jakaś druga strona, inny światopogląd. Milcząco akceptujemy, że tyfus, dżuma, ospa to odmiana normalności. Tam panuje narracja: „Nie walcz z zarazą, pokochaj ją". A jeśli tego nie akceptujemy, to znaczy, że mówimy nienawistnie. Równość mają w nadpodaży. Ale to za mało, domagają się więcej. Już nie tylko tolerancji, lecz i akceptacji, pewnie potem miłości, a ostatecznie hołdów. Dlatego gwałcą kolejne miasta: „Zobaczcie nasze wrzody, czyż nie są piękne".

Wrzeszczmy tam, gdzie jesteśmy, że się na to nie godzimy. Krytykujmy, dajmy słowami i argumentami upust swojej wściekłości

A my możemy sobie tylko pokrzyczeć gdzieś w zaułkach, bo centra zajmują oni. Dla zniewieściałych gogusiów, wesołków na utrzymaniu mamusi, facecików chcących się wiecznie bawić i dla obleśnych, grubych, wytatuowanych bab, które ostentacyjnie się całują jak na wyuzdanych filmach, i dla osobników, którym trudno przypisać jakąś płeć. Grzesznicy, którzy nie wiedzą, komu służą. Oszukani, zmanipulowani uwierzyli, że gwałt to znakomita i uprawniona rozrywka. Jest gwałt, jest fun. Na pohybel heterykom!

Już dawno zgwałcili Warszawę, Poznań, Wrocław i Gdańsk. Niedawno brutalnie zdeflorowali Białystok. Obca kulturowo i historycznie tęczowa zaraza, objazdowa tyrania chronionych przez policję gwałcicieli okupujących nasze ulice teraz sięga po kolejne, już mniejsze miejscowości. Wzmacniani przez zaciężną armię policyjną pojawią się zapewne znów pod Jasną Górą. Nie mam wątpliwości. Przyjdą ponownie zgwałcić dziewicę. I tam też w bezpiecznym szpalerze funkcjonariuszy wypłynie mieszanka nienawiści i libido. Prawdziwie rewolucyjna. Pójdzie prosto pod kaplicę Cudownego Obrazu. A potem dalej – wałami, a Biedroń stamtąd przemówi swoim dyszkancikiem. A my będziemy ubezwłasnowolnieni za kordonami na chodnikach i trawnikach. Tam nasze miejsce.

Ich znak pokoju to nasz niepokój. To obleśna wagina niesiona na patyku, a udająca monstrancję, to dręczenie hasłami tolerancji w tym najbardziej tolerancyjnym (bo katolickim!) kraju, to hasła „miłości" i „wolności". Jakby trzeba było nas o nich pouczać. My jesteśmy wyłącznie łysymi karkami, rozwydrzonymi kibolami, chuliganami, bandytami, antysemitami, chamami, moherami. Jesteśmy obiektami szyderstw w TVN i w „GW". Oni to elita. Chcą być wszędzie i nie miejmy złudzeń – pewnie będą. Muszą wszak stale powiększać pole łowne. Jeden kochanek na jeden tydzień. Ta ideologia uwielbia niestałość. Dlatego gwałci wszystko, co napotka na drodze.

Nikogo nie dzielę – tylko nazywam istniejący i faktyczny podział. Bo jesteśmy zdumieni, bezradni „my" i gwałcący Polskę „oni" laufry tęczowej zarazy. Nie możemy się dłużej godzić na własną bezradność. Wrzeszczmy tam, gdzie jesteśmy, że się na to nie godzimy. Krytykujmy, dajmy słowami i argumentami upust swojej wściekłości. Nie nadstawiajmy kolejnego policzka. Mamy tylko dwa i oba już dobrze obite. Jeden przez komunistów i współczesnych lewaków, a drugi przez sodomitów. Nie bójmy się już dłużej, bo za chwilę będzie jak z Holokaustem, za który to nam, a nie Niemcom, każą się wstydzić. Nie powtarzajmy tego błędu. Nie podawajmy ręki propagatorom tęczowej zarazy, nawracajmy niezdecydowanych i „obiektywnych". Obudź się, profesuro, dopóki togi są jeszcze czarne, a nie tęczowe! Niech nasz opór będzie betonowy, głośny i jawny. Niech każdy duszpasterz mówi wprost o tym, że także tęczowemu złu mamy się sprzeciwiać. Ale już bez eufemizmów. To już wręcz misja. Przerwijmy ten zbiorowy gwałt. Dosyć negocjacji. Niech znajdzie się włodarz miasta, który powie „nie" tęczowej ideologii. Potem drugi, trzeci, kilkunastu. Abp Jędraszewski też był pierwszy, a dziś wielu biskupów mówi już tym samym głosem. Zajmuję się pedagogiką, a ściślej fenomenem czasu w rozwoju dziecka. Ale jakże mam się temu oddawać, jeśli lubieżnie gwałcone są wartości-źródła, na których pedagogika wyrosła. Jeśli pozwolę na podcięcie korzeni, to obumrze cała reszta. I czas, dzieciństwo, teorie rozwojowe staną się tak mało istotne. Jak grządka róż przy płonącym lesie.

eprasa.pl a357259d8c

PRZEZ ŚWIETLIK

Magia dat

„Szukajmy przyjaciół obok nas, u Rosjan, Czechów, Słowaków, Węgrów, Niemców, a nie za oceanem, który nas nie wyżywi i nam nie pomoże" – stwierdził Jerzy Owsiak w swoim politycznym bluzgu, który wygłosił na koniec tegorocznego festiwalu (który jakimś cudem większości obecnych, choć nie wszystkim, udało się znowu przeżyć). Po co się tezami Owsiaka zajmować? Moim zdaniem warto, bo w uproszczonej wersji, takiej, jaką odbiorca KOD-mediów ma otrzymać, stwierdza on to, co ludzie mają myśleć. Schemat, wzorzec, matrycę odlaną przez wszelkiej maści polityczne poststalinięta i sorosięta, walczące za pomocą potężnych środków zza granicy o władzę w Polsce.

Nie Ameryka, tylko Niemcy i Rosjanie. Nasi bracia. Dość charakterystyczne, że Owsiak powiedział to krótko przed obchodami 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej, które odbędą się w najbliższą niedzielę, a potem 17 września.

Młodzi ludzie, zapomnijcie o historii, ona nie jest ważna, kochajcie Niemców i Rosjan, nienawidźcie USA, bo to jest zawsze trendy. A poza tym głosujcie na Platformę Obywatelską, postkomunę, jedźcie na Woodstock i już więcej nie zajmujcie się polityką.

Bo są tacy, którzy zajmą się nią za was. W ostatni piątek, dzień przed 80. rocznicą podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow, do Moskwy udał się minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas. Były zapewne poważne rozmowy o przyszłości świata i wzajemnej współpracy.



Wiktor Świetlik

Pierwszą stację benzynową w Polsce Łukoil otworzył w 76. rocznicę Bitwy Warszawskiej. W Radzyminie!

W dyplomacji nie ma takich pomyłek. Może na upartego mogłaby się Niemcom przydarzyć, ale na pewno nie Rosjanom. Tam symbolika odgrywa równie ważną rolę, jaką odgrywała przy projektowaniu ikonostasu cerkwi Świętej Trójcy w Moskwie. Tylko jest na trochę bardziej przyziemnych sprawach skupiona. Anna Politkowska zginęła w urodziny Putina. Pierwszą stację benzynową w Polsce Łukoil otworzył w 76. rocznicę Bitwy Warszawskiej. W Radzyminie!

Jak widać, kandydatów na Ribbentropa i Mołotowa już mamy. Na razie to raczej skarlałe wersje. Biedna Rosja, pomimo totalitarnego, neostalinowskiego nadęcia, wydaje mniej na siły zbrojne niż pojedynczo Francja lub Wielka Brytania i pięć razy mniej niż cała Unia Europejska. Niemcy nie są w stanie wypełnić unijnych zobowiązań, bo mają najbardziej pacyfistyczne społeczeństwo w Europie. Problem polega na czymś innym. Doczekaliśmy się całkiem rozwiniętej i stojącej w gotowości piątej kolumny, do tego złożonej z czystej krwi rodaków. Tylko zagraniczni partnerzy do niej jeszcze nie dorastają i raczej szybko nie dorosną.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
NA POZYCJACH
upc
339 dekoder Mediabox
121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl a357259d8c



Ojciec Jacek Pleskaczyński – pożegnanie

Nie używał wielkich słów, wystrzegał się patosu, ale czuło się, jak bardzo Jerzy Popiełuszko wpłynął nie tylko na jego kapłaństwo, lecz też na postawę wobec realiów Polski pokrągłostołowej

JAN POSPIESZALSKI

W środę 21 sierpnia spoczął na Powązkach śp. ojciec Jacek Pleskaczyński SJ. Choć chorował od dłuższego czasu, jego śmierć (w wieku 71 lat) była dla nas wszystkich zaskoczeniem. „Byłeś, Jacku, prorokiem Boga, uczniem i sługą Jezusa Mesjasza, czułeś Kościół i Jego Ducha, kochałeś nasze towarzystwo i naszą ojczyznę, byłeś osobą zawsze chętną do pomocy, reagującą na ludzkie dramaty". Tymi słowami podczas ceremonii pogrzebowej żegnał swojego współbrata jezuita o. Zdzisław Wojciechowski.

Słuchając tych słów, zgromadzeni, przyjaciele i liczni podopieczni o. Jacka wiedzieliśmy, że w tym porównaniu nie ma przesady. Był jednym z kapłanów, którzy 9 sierpnia 2010 r, w pamiętną „noc szyderców", gdy na Krakowskim Przedmieściu trwały zmagania o krzyż, pod Pałac Prezydencki przyszli w sutannie, z różańcem w ręku.

Przypominam epizod sprzed dziewięciu lat, ponieważ dobrze charakteryzuje postawę ojca Jacka. W naszych rozmowach o Polsce i Kościele często wracał do osoby ks. Jerzego Popiełuszki. Pamiętał jego kazania, znał szczegóły męczeństwa i procesu toruńskiego. Nie używał wielkich słów, wystrzegał się patosu, ale czuło się, jak bardzo Jerzy Popiełuszko wpłynął nie tylko na jego kapłaństwo, lecz też na postawę wobec realiów Polski pokrągłostołowej. Należał do pokolenia duszpasterzy, którzy rozpoczynali posługę w latach stanu wojennego. Inicjował, tak jak ks. Jerzy, msze święte w intencji ojczyzny, zorganizował pierwsze upamiętnienie w miejscu uprowadzenia kapelana Solidarności. Choć w swojej misji duszpasterskiej opiekował się kolejno środowiskiem akademickim, działaczami pro-life, prowadził nauki dla narzeczonych i małżonków, był kapelanem w szpitalu MSWiA i kapelanem więziennym, zapamiętam go jako pierwszego duszpasterza, który zwrócił szczególną uwagę na sytuację kobiet cierpiących na syndrom poaborcyjny. Niósł im pomoc nie tylko duchową, lecz także organizował specjalistyczną opiekę psychologiczną.

Niestrudzony spowiednik, kapelan działaczy opozycji, był szczególnym powiernikiem i przyjacielem śp. Jana Olszewskiego. Gorliwy propagator kultu św. Andrzeja Boboli zainicjował i doprowadził do uroczystego przekazania relikwii męczennika i patrona Polski do Pałacu Prezydenckiego. Przez wiele lat prowadził ośmiodniowe Ćwiczenia Duchowe dla alumnów w Diecezjalnym Seminarium w Kielcach, potem rekolekcje ignacjańskie w Centrum Duchowości w Częstochowie.

W homilii pogrzebowej ojciec Zdzisław zwrócił uwagę na wielowymiarowe zainteresowania i pasje zmarłego. Pierwsza to muzyka. W Technikum Chemicznym współtworzył zespół, w którym grał na perkusji. Druga pasja to film i aktorstwo. Decyzję o wstąpeniu do seminarium zakomunikował mamie już po pomyślnie zdanych egzaminach do szkoły teatralnej. Trzecią pasją była fotografia natury. Przez lata wakacje spędzał na Roztoczu, gdzie zaszywał się w lesie z namiotem, wtapiał w otoczenie, by z bliska zrobić zdjęcia rzadkim okazom ptaków. Kochał Roztocze, lubił tam jeździć, kochał te swoje małe i wielkie ptaki. Czwartą pasją był brydż. Ojciec Wojciechowski wspomniał, jak bardzo cenne były te spotkania. Nie ograniczały się one tylko do gry, ale stawały się okazją do rozmów o ważnych sprawach, tym bardziej że przy stoliku zasiadali dawni działacze opozycji, znamienici naukowcy, ważni politycy.

Wielu z nas, bliskich przyjaciół, dopiero podczas pogrzebu dowiadywało się o jego licznych aktywnościach, zasługach i dokonaniach, a to dlatego, że będąc z nami, raczej słuchał nas i poświęcał uwagę nam, jakby szkoda mu było czasu na opowiadanie o sobie. Z tych nielicznych osobistych wyznań zapamiętałem życzenia, jakie w dniu święceń kapałańskich przekazała mu jego mama: „Aby podczas każdej odprawianej mszy świętej Panu Jezusowi było dobrze w twoich rękach".

Szczęśliwie się złożyło, że kilka tygodni temu ojciec Jacek Pleskaczyński zdążył odebrać dwa odznaczenia: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyż Wolności i Solidarności.

Salwa honorowa na Powązkach poderwała ptaki ukryte w gałęziach drzew i wtedy dopiero zobaczyliśmy, jak licznie przybyły, by pożegnać przyjaciela...

eprasa.pl a357259d8c

Budujące rozmówki przy jajkach



Jerzy Jachowicz

W miniony piątek na bazarku przy Polnej spotkały się dwie urocze panie. Zjawiły się tam, by jak zwykle kupić świeże wiejskie jajka. Znana pisarka Maria Nurowska i młodsza od niej aktorka Maria Peszek. Jedna na omlet, druga na naleśniki.

– Po co ci aż 20? – zapytała Peszek pisarkę.

– Coraz częściej mi się zdarza, że przypalam omlety, dlatego muszę brać więcej niż... powiem ci wprost... niż za rządów Tuska. – Wystarczy, że się zamyślę o sytuacji w Polsce... o tym z Żoliborza i... omlet do wyrzucenia.

– Nie dziwię ci się. Też już ledwo wyrabiam. Czuję potworny ciężar izolacji, który mnie przygniata. Skrajna alienacja. Takie wynarodowienie, wiesz. Te święte obrazki, wyobraź sobie, figurki przy drogach. Tak mnie wkurzają. Wdzierają się wszędzie, podkopując najważniejszy filar mojego człowieczeństwa. Jawnie demonstrowaną bezbożność czy, jak kto woli, postawę ateistki.

– Rozumiem cię, kochana. Polska od czterech lat ma twarz chama! Kaczyński wpuścił do Sejmu i Senatu prostaków i chamów. Rozdaje nierobom i pijakom nasze pieniądze, bo to jego elektorat.

– Pełna zgoda. Dlatego mam problem z poczuciem przynależności do jakiejkolwiek wspólnoty. Jedyna, do której mi blisko, to gnębione środowisko LGBT. Nie jestem homoseksualna, ale jak oni wykluczana, bo moje wybory życiowe i artystyczne odbiegają od normy wyznawanej przez jego elektorat. Dlaczego musiałam wylosować tak okropną ojczyznę? Nie wiesz, Marysiu?

– To wszystko Kaczyński. Mówię ci. Teraz napiął tak strunę nienawiści, że jeśli nasza strona nie wygra wyborów, może dojść do rozlewu krwi! To samo wróży Lech Wałęsa. To człowiek obłąkany.

– Nie mów!

– Nie Wałęsa, Kaczyński.

– Rozumiem. À propos. Wiesz, co stwierdziła Manuela Gretkowska? Polityka PiS prowadzi do zmniejszania ludziom mózgów. Dodała, że wątpi, by Polacy mieli duży mózg w swych czaszkach słowiańskich.

– Absolutna prawda. Wystarczy spojrzeć na nas. Rzuca się w oczy, że nie jesteśmy Słowiankami. Popatrz wokół siebie.

– W każdej rozmowie potrafisz przywrócić mi wiarę do życia. No, to pa. Udanego omleta.

– Pa, smacznych naleśników.

CO MNIE CIESZY

List do...



Katarzyna Łaniewska

Dzisiejszy felieton będzie rodzajem listu do mojego dużo młodszego kolegi, aktora, o pięknym imieniu Redbad, którego darzę wielkim szacunkiem i sympatią.

Nazywam się Katarzyna i od wielu lat jestem na emeryturze, ale interesuje mnie to, co dzieje się z polskim teatrem i kinem. Staram się poznawać aktorów młodszego pokolenia. Z Panem czy z Tobą – bo podobno są takie zwyczaje, że mówi się na „Ty" bez przedstawiania się – mieliśmy szansę się poznać, kiedy grałam epizod w „Na dobre i na złe". Porozmawialiśmy wtedy. Z ciekawości zapytałam: „Jak to się stało, że Pan, z pochodzenia Holender, jest aktorem mówiącym przepięknie po polsku". Odpowiedział Pan, że rok wcześniej, niż dostał się do szkoły teatralnej, przyjechał Pan do Polski, że zainteresował Pana nasz kraj. Byłam tym zachwycona. Dowiedziałam się, że podczas pierwszego egzaminu komisja powiedziała, że widzi w Panu aktorski potencjał, ale daje mu rok, by pozbył się akcentu. Pan to osiągnął. To jest naprawdę wielka rzecz. Nasz język jest trudny, nawet dla urodzonych w Polsce, co niestety słyszymy w mediach. Oglądałam Pana bardzo mądry program kulturalny w TV Republika. Śledziłam Pana losy i wiedziałam, po której stronie są Pana sympatie. Byłam szczęśliwa, że tacy mądrzy ludzie, wiedzący dużo o świecie, interesują się Polską.

W wywiadzie udzielanym tygodnikowi „Sieci", w którym ośmielam się zamieścić list do Pana, tłumaczył Pan, że Pańskie pytanie zamieszczone na Twitterze nie miało na celu obrażania ludzi, jak ja nazywam, „kochających inaczej". Spotkał się Pan za to z utratą pracy. Mówił Pan też, że nie miał wsparcia wśród kolegów. Proszę przyjąć słowo starej aktorki, która wiele w życiu zawodowym i społecznym przeżyła: ma Pan moje wielkie wsparcie i podziw dla tego, co Pan robi w zawodzie i w życiu. Proszę się nie załamywać. Naprawdę ta nasza dobra zmiana, po której stronie Pan jest, nas nie zawiedzie. Można mieć inne przekonania polityczne i erotyczne, ale można pracować razem i nie można się odcinać. Przecież w zawodzie grywamy różne postaci, z którymi się utożsamiamy lub nie.

Życzę Panu wielu zawodowych sukcesów. Jestem z Panem i dużo moich przyjaciół, naszych kolegów aktorów, również.

eprasa.pl a357259d8c

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Polityczne zombie ożywają

Klecenie list wyborczych antypisu zadowoli każdego miłośnika czarnej komedii



Ryszard Makowski

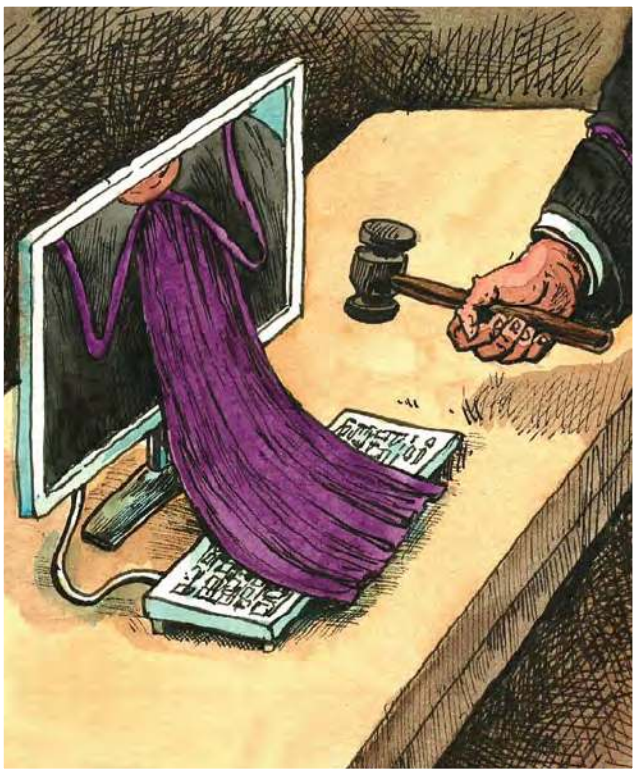
„Im ludzie wiedzą mniej o powstawaniu kiełbas i polityki, tym lepiej w nocy śpią". Tę sentencję przypisuje się Ottonowi von Bismarckowi. Patrząc na brewerie totalnej opozycji zwierającej szyki przed batalią do parlamentu, co bardziej wrażliwe organizmy pewnie cierpią na bezsenność.

Sukces zmurszałych komuchów w wyborach do europarlamentu ożywił postacie dawno wyautowane z życia publicznego z powodu ich zdecydowanie ponadprzeciętnej kreaturowatości. Nagle zaczęły z przeszłości wypełzać figury wręcz szpetne. Takich w polityce nigdy nie brakowało, ale teraz mamy kumulację. Skrzecząca pudernica, ornitolog, co chciał latać, a przywalił dziobem w trotuar, cała galeria dryfujących secesjonistów z PiS, redaktor telewizyjny ze stanu wojennego, eksprezes NIK wiejący pod immunitet, malwersanci, proaborcjoniści, korupcjoniści... Każdy, kto z porządnością nie ma nic wspólnego, został wciągnięty na piedestał. Podlano to brzydko pachnącym światopoglądowo sosem LGBT+ i dawaj robimy kampanię.

Klucz doboru totalniaków jest prosty. Im bardziej nienawidzisz PiS, tym masz większe szanse. Im bardziej chciałbyś gilotynować każdego, kto popiera PiS, tym jesteś milej widziany. Należy też wspomnieć o krzywdzie KOD. Jeden zasłużony „demokrata" z Pomorza, zamiast miejsca w pierwszej piątce, otrzymał „ósemkę": „Byle jakiej propozycji nie przyjmę". Ci, co utyskują na dobrą zmianę, niech sobie wyimaginują rządy tej nowej starej kadry opozycyjnej. I jak teraz spać?

eprasa.pl a357259d8c

***Zawistowski prezentuje:* Hejtowanie**



Wycinki z przeszłości

Dziwna sprawa z tym Sejmem. Z jednej strony w każdej kampanii odbywa się straszliwa walka o mandaty, co właśnie obserwujemy, z drugiej, gdy już się parlament ukonstytuuje, szyderstwa szybko idą w zawody z kpinami. I wystarczy sięgnąć do prasy przedwojennej, by się przekonać, że to żadna współczesna specjalność. Oto „Światowid" ze stycznia 1926 r. zamieszcza rysunek satyryczny zatytułowany „Niewdzięczne zajęcie". A cóż nim jest? Wyjaśnia to poniższy, towarzyszący ilustracji, dialog:

„– No, już ten to się w swoim życiu głupstw napisze...
– Więc to dziennikarz?
– Nie, tylko jest stenografem w Sejmie...".

Co prawda, to prawda. Ale gdzie więcej głupoty jest dzisiaj, w Sejmie czy mediach? Trudne pytanie.

(mk)



Odlatują bociany...

26 sierpnia – to właśnie ten dzień odlotowy. Dzień kulminacji odlotów...



Leszek Długosz

O Nieba, w jakie dale!
W jakie ogromy świata
W niebezpieczeństwa i trudy
Ponad górami, morzami
W afrykańskie kraje
– I nic na drogę?
Ani pół kęska, żadnego napitku
Jakiejkolwiek stąd pamiąteczki
Odrobiny dobytku?
Nieznanym podniebnym szlakiem
Bez podpowiedzi kompasu
A tylko co tam GPS z natury
Skrzydłami zwietrzy, okiem wypatrzy
O losie, tak lecieć
I trafić?
Gromadami
Rodzice z dziećmi, samotnicy
Weterani i debiutanci
– Śmiałki tegoroczne
W niestraszne im Somosierry nieba
Voyagery podążające
Stadami
– Aż taka potrzeba?
O moiście wy
Z rodzimych gniazd
Na słupach, drzewach bliskich
Bocki z nami mieszkające
Macieje, Bartki, Kleofasy
Tekle, Marianny, jakim by tam imieniem
Sąsiad z podwórka was nie uraczył
Z wiosną na gody tu zlatujące
I na matczyność i na ojcostwo
Czemu wam dłużej źle zostawać z nami?
Podpowiadają sierpnia cienie:
– Ciemna zasłona losu
– Ląd pora zmienić!
Czemu wam – tu i tam?
Nam... tylko tu pisane?
Weźcie na drogę
– Od łąk, od stawów
I ode mnie
Pospołu wierne pamiętanie...
– Polonez Ogińskiego
Niech za wami płynie
– Grany na okarynie...
Gdy wam się tam w Afryce przypomni nuta owa
Rzewna
Reszta się w myślach sama wydobędzie:
Do kraju tego tęskno nam Panie
– To rzecz pewna...
– Marzec za pasem, wracajmy!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl a357259d8c

OD A DO ZYBERTOWICZA

Paciorki i ziemia

Gdy tylko coś bardziej ciekawego na temat świata udaje mi się zrozumieć, mam odruch, by się tym z kimś podzielić. Objaśniać, ukazywać, ilustrować, a czasem przestrzegać. A ponieważ są to nierzadko rzeczy zawiłe, także dla mnie, to belferskim obyczajem rozpoczynam od wskazania pojęć kluczowych. Oto ich lista na dzisiejszy tekst: cyfrowi tubylcy, reklama behawioralna, dane osobowe, hakowanie umysłu, nadwyżka behawioralna, kapitalizm inwigilacji.

Ale zanim te złożone pojęcia powiążę w jedną całość, trzeba zacząć od ziemi.

ZIEMIA

Wiemy, że ziemia ma sporą wartość. Niektórzy, pamiętając wielkie kryzysy ekonomiczne, gdy mają nadwyżkę finansową, kupują ziemię. Choć jej cena może spaść, to ziemia – w odróżnieniu od papierowego pieniądza – przecież nie wyparuje.

PACIORKI

A paciorki? Też mają wartość. Służą do ozdoby, do odróżnienia się od innych, wyróżnienia się z tłumu. Szklane koraliki – ot, taka tańsza biżuteria. Nikt o zdrowych zmysłach nie potraktuje paciorków jako lokaty kapitału.

„HANDEL"

A jednak – mówi opowieść działająca na naszą wyobraźnię – za pewną (raczej niehurtową) ilość paciorków Indianie Ameryki Północnej w wieku XVII „sprzedali" holenderskim kolonistom wyspę Manhattan, dziś stanowiącą serce Nowego Jorku.

Dlaczego ówcześni Indianie poszli na tak kiepski interes? Między innymi z tego powodu, że dla nich to wcale nie był interes w naszym sensie. Użyteczność paciorków była dla nich oczywista, zaś ziemi nie tylko mieli w bród, ale w ogóle nie



Młodzi, buszując po internecie, otwierają bramy do podboju i zhakowania swego życia. Nie wiedzą, że czeka ich los Indian

postrzegali jej jako zasobu ekonomicznego, jako formy kapitału, na którego bazie może wyrosnąć potęga gospodarcza i polityczna. Samo pojęcie posiadania ziemi „na własność" i obrotu nią były im nieznane, nie mówiąc już o kapitale.

Po prostu w ramach ich wyobraźni, w ramach ich kultury, w ramach ich systemu społecznego długofalowy sens tej transakcji był całkowicie dla ówczesnych tubylców niewidoczny. Pewno Indianie myśleli, że paciorki w istocie dostali za darmo. Nie zdawali sobie sprawy, że właśnie otworzyli drogę do łatwego podboju i zniszczenia całego ich świata.

CYFROWI TUBYLCY

To pojęcie używane jest na określenie młodego pokolenia, które nie zna świata bez smartfonów, tabletów, komputerów. Dla pokolenia, dla którego zapytanie o coś wyszukiwarki Google jest bardziej naturalne od zwrócenia się do drugiego człowieka.

Wybitna badaczka prof. Uniwersytetu Harvarda Shoshana Zuboff zwróciła uwagę na ironię tego określenia. Cyfrowi tubylcy, którzy myślą, że za darmo surfują po internecie, za darmo korzystają z Facebooka, z Google'a z setek aplikacji i usług sieciowych, nie dostrzegają, że paciorki, którymi są atrakcje cyberświata: gry, filmiki o kotkach, memy, fora „dyskusyjne" itd. angażujące całe dnie ich życia, wymieniają na dane. Dane behawioralne, czyli informacje o swoim zachowaniu. Z danych takich, gdy jest ich dostatecznie dużo i gdy mamy właściwe algorytmy ich porządkowania, można wytworzyć tzw. nadwyżkę behawioralną – czyli wiedzę o przyszłych zachowaniach milionów ludzi. Wiedzę nader przydatną dla reklamodawców.

ANALOGIA

Dostrzegacie podobieństwo sytuacji Indian i dzisiejszej młodzieży? Polega na niewidoczności. Dzisiejsi tubylcy (cyfrowi) także nie widzą. Nie widzą spraw nie mniej podstawowych dla życia społecznego niż wartość indiańskiej ziemi dla kolonizatorów.

Dla Indian ziemia nie była przedmiotem obrotu. Nie była – ba, nie mogła być! – traktowania jako lokata kapitału. Nie pełniła dla Indian wielu innych funkcji, dla nas dziś tak oczywistych.

Dziś cyfrowi tubylcy za chwile ekscytacji przed ekranem oddają dane na temat swojego życia. Młodzi wyprzedają swoją prywatność, swoją jeszcze nie do końca uformowaną suwerenność intelektualną i autonomię moralną. Pomagają budować kapitalizm masowej inwigilacji.

Beztrosko oddają władzę na swoim (nie)myśleniem i emocjami wielkim korporacjom, których mechanizmów działania w ogóle nie pojmują. Buszując po internecie, otwierają bramy do podboju i zhakowania swego życia.

Nie mają pojęcia, co czynią. Nie wiedzą, że czeka ich los Indian.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl a357259d8c

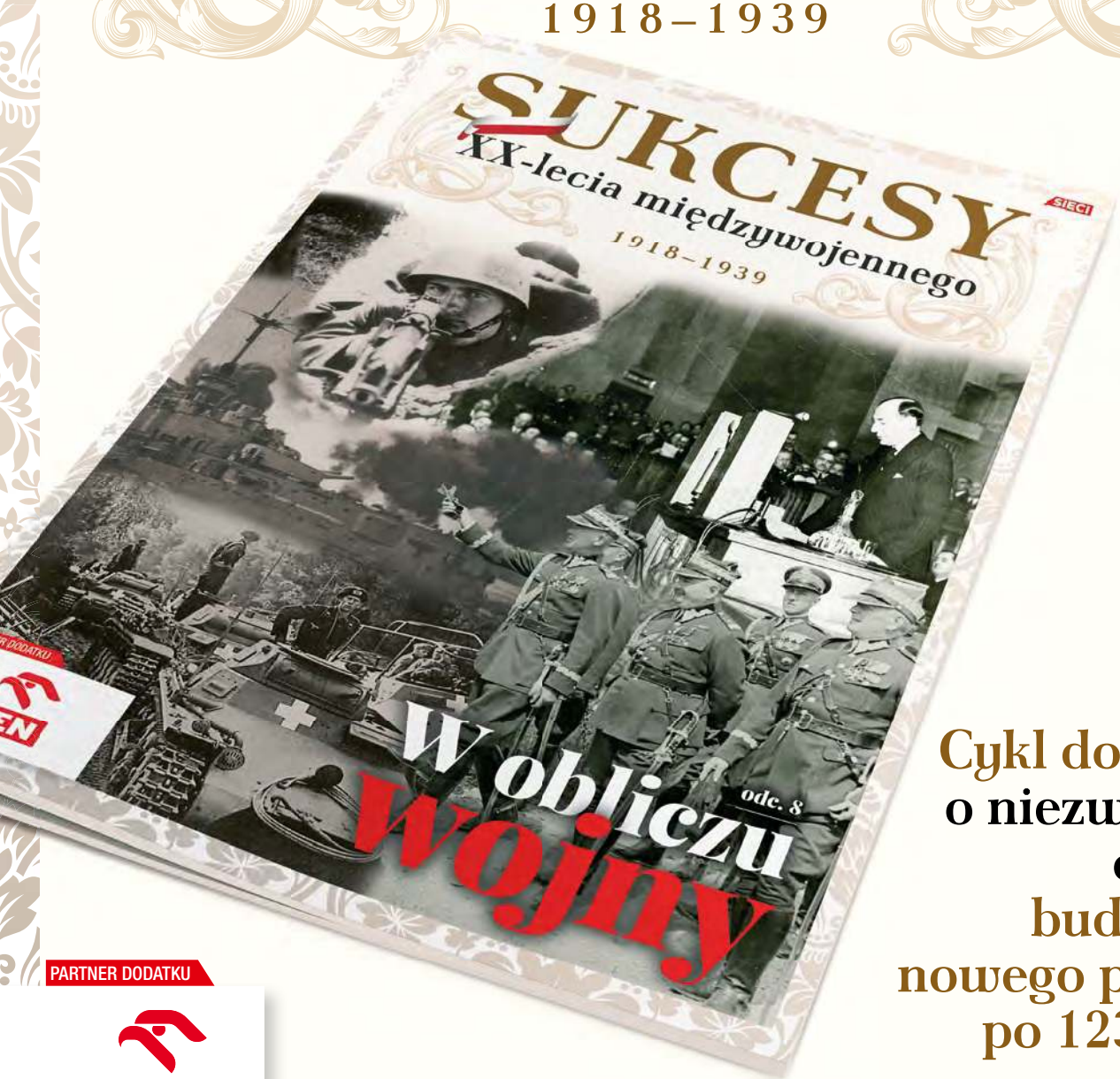
Już 2 września SIECI

i raz w miesiącu
do końca roku

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków
o niezwykłych
czasach
budowania
nowego państwa
po 123 latach
zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/a357259d8c

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł



2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500



18 X VESPA PRIMAVERA





27 X SAMSUNG GALAXY S10+



36 X THERMOMIX



45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI



270 X TABLET GALAXY TAB A



100 X GALAXY WATCH ACTIVE



100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ



200 X SŁUCHAWKI



200 X GŁOŚNIK

Lotto · EUROJACKPOT · Ekstra Pensja · Multi Multi · Mini Lotto · Super Szansa · Keno · LOTTO

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada). Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 - 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pra357259080